Aby rozpocząć lekturę,

kliknij na taki przycisk ,

który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
@literatura net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

CERVANTES

NOWELE PRZYKŁADNE

Przełożyli Zofia Karczewska-Markiewicz i Zdzisław Milner.

DEDYKACJA

MIŁOŚCIWEMU PANU DON PEDRO FERNANDEZ DE CASTRO, HRABIEMU DE LEMOS, ANDRADE Y VILLALBA, etc. etc.

Dwa błędy popełniają zazwyczaj ci, którzy swe dzieła któremuś z możnowładców przypisują. Pierwszy na tym polega, że w piśmie, które zwą dedykacją, a które winno być krótkie i zwięzłe, trafne i beznamiętne, już to dbałością o prawdę, już to chęcią pochlebstwa wiedzeni, rozwodzą się szeroko nad czynami nie tylko onego możnowładcy dziadów i pradziadów, ale jeszcze wszystkich jego krewnych, przyjaciół i dobroczyńców. Drugim błędem jest oddawać pod jego opiekę i obronę swe dzieło, aby złośliwe języki nie ośmieliły się kąsać go i szarpać. Ja tedy, od błędów takich stroniąc pomijam milczeniem godności i tytuły starożytnego i królewskiego rodu Waszej Miłości, jak również niezliczone Waszej Miłości cnoty, wrodzone i nabyte, pozostawiając nowym Fidiaszom i Lizypom trud szukania marmurów i brązów, gdzie by je mogli wyryć i wyrzeźbić, aby stawiły czoło trwałości czasów. Nie proszę też Waszej Miłości, aby pod swoją opiekę przyjęła tę książkę gdyż wiem, że jeśli złe rzeczy zawiera, choćbym ją umieścił pod skrzydłami Astolfowego hippogryfa lubo w cieniu Herkulesowej maczugi, nie omieszkają Zoile, Cynicy, Aretiny i Berniowie dać folgę złorzeczeniom, przed niczyją powagą nie uchylając czoła. Proszę tylko, aby Wasza Miłość stwierdzić raczyła, że posyłam tak, jak gdybym nic nie rzekł, dwanaście opowiadań, które gdyby były wyszły skądinąd, nie z kuźni mizernej mojej wyobraźni, stanąć mieniłyby się godne obok najcelniejszych. Takie jak są niech powędrują na łaskę i niełaskę losu, ja zaś pozostaję tutaj wielce zadowolony, iż czymś okazać mogę chęć służenia Waszej Miłości, prawdziwemu panu mojemu i dobroczyńcy. Niechaj nam Pan zachowa Waszą Miłość na długie lata.

W Madrycie, 13 lipca 1613 r.

Sługa Waszej Miłości
Miguel de Cervantes Saavedra.

PRZEDMOWA

Chciałbym, jeśliby to możliwe było, najdroższy czytelniku, oszczędzić sobie trudu napisania niniejszej przedmowy, gdyż ta, którą na czele mego „Don Kiszota" umieściłem, nie przysłużyła mi się dostatecznie, abym miał chęć i teraz podobny los sobie zgotować. Tutaj winę przypisać należy jednemu z licznych przyjaciół, jakich w ciągu mego życia, dzięki zaletom charakteru mego raczej niż rozumu, umiałem sobie zdobyć. Ów przyjaciel mógłby śmiało, jak zwyczaj każe, na pierwszej karcie tej książki umieścić drzeworyt z moim wizerunkiem, gdyż nie odmówiłby mu go słynny Don Juan de Jauregui, a w ten sposób uczyniłby zadość i swojej ambicji, i ciekawości tych, którzy pragnęliby wiedzieć, jak wygląda śmiałek wychodzący na forum świata, aby oczom narodów pokazać tyle przeróżnych wymysłów. Pod wizerunkiem taki umieściłby napis: „Ten, którego oglądać tu możecie, o orlim obliczu, cisawych włosach, gładkim a wyniosłym czole, garbatym choć kształtnym nosie, srebrzystej brodzie, która lat temu niespełna dwadzieścia złota jeszcze była, o zawiesistych wąsach, małych ustach, zębach niedorosłych (gdyż ma ich tylko sześć, a i te w złych znajdują się miejscach, nie odpowiadają bowiem sobie wzajemnie), ten człek średniego wzrostu, ani wysoki ani mały, o barwnej cerze, jasnej raczej niż ciemnej, nieco ciężki w barkach, a niezbyt lekki w nogach: ów mówię, wyobrażać ma autora „Galatei" i „Don Kiszota z La Manchy" i tego, który napisał „Podróż do Parnasu" na wzór Cezarego Caporali Perusino i inne jeszcze dzieła, z których niejedno błądzi gdzieś po świecie zapomniane i pozbawione już może nazwiska swego twórcy: nazywa się pospolicie Miguel de Cervantes Saavedra. W ciągu wielu lat był żołnierzem, a półszósta roku spędził w niewoli, gdzie nauczył się znosić cierpliwie przeciwieństwa losu. W bitwie morskiej pod Lepanto od kuli z rusznicy stracił lewą rękę; ułomnością tą się szczyci, choć obcym szpetną wydać się może; zdobył ją bowiem w najpamiętniejszym dniu, jaki oglądały wieki, walcząc pod zwycięskim sztandarem onego gromowładcy, Karola piątego, który dziś w Bogu spoczywa". Gdyby ów przyjaciel, na którego się uskarżam, nie znalazł w swej pamięci nic więcej do wyjawienia o mojej osobie, wziąłbym o czynach mych świadectw dwa tuziny i powiedział mu o wszystkim w tajemnicy; przysporzyłoby to imieniu mojemu rozgłosu i obudziłoby wśród ludzi zaufanie do mojej twórczości. Niedorzecznością bowiem jest myśleć, że wszystkie owe pochwały zawierają prawdę niezłomną, gdyż pochwały i złorzeczenia nigdy mieć nie mogą ściśle określonych granic. Koniec końców, skoro sposobność już minęła i zwiedziono mnie, tak że pozostałem jakoby bez twarzy, uciec się muszę do wymowności własnych ust, które choć jąkają się, będą umiały prawdę powiedzieć, gdyż ta i gestami daje się wyrazić.

Powiadam ci przeto (raz jeszcze, łaskawy czytelniku), że z tych nowel, które ci daję, na żaden sposób nie będziesz mógł przyrządzić sobie bigosu, gdyż ani nóg nie mają, ani głowy, ani wnętrzności, nic wreszcie czym by to wszystko zastąpić się dało: powiedzieć chcę przez to, że oświadczenia miłosne, jakie znajdziesz w niektórych, są tak poczciwe i miarą chrześcijańskich wymagań wymierzone, że nie zdołają do złych myśli pobudzić ani roztargnionego, ani nazbyt uważnego czytelnika. Dałem im miano „przykładnych", gdyż jeśli je dobrze w umyśle zważysz, nie znajdziesz takiej, z której by nie można było jakiegoś pożytecznego przykładu i nauki wyciągnąć; i gdyby nie obawa, iż rzecz niniejsza nazbyt się

rozwlecze, pokazałbym ci może jak doskonałe zebrać można owoce zarówno ze wszystkich razem jak i z każdej oddzielnie wziętej. Zamiarem moim było postawić na rynku naszej Rzeczypospolitej stół bilardowy, gdzie każdy mógłby się zabawić nie obawiając się, że kijem dostanie: zabawić się, mówię, nie narażając na niebezpieczeństwo ani duszy swej, ni ciała, gdyż przyjemne a poczciwe rozrywki pożytek raczej niż szkodę przynoszą. Tak: nie zawsze można przesiadywać w kościele, nie zawsze stać na mównicy lub zajmować się poważnymi sprawami, jakakolwiek by była ich doniosłość; trzeba mieć chwilę wypoczynku, aby umysł znużony mógł nowych sił zaczerpnąć. Oto dlaczego sadzi się topole na wolnych wśród miasta obszarach, buduje studnie u źródeł, pielęgnuje ogrody. Jedno ośmielę się powiedzieć: jeślibym podejrzewał, że nauka, jaką z tych nowel czytelnik wyciągnie, może do złych myśli go nakłonić, wolałbym uciąć rękę, która je napisała, niż do publicznego użytku je oddawać. Nie jestem już w tym wieku, kiedy człowiek może kpić sobie z tamtego świata, gdyż pięćdziesiąt pięć lat sobie liczę i bliżej końca jestem niż początku. Ta jest droga, na którą skierował mnie mój umysł i wrodzone skłonności, a zaznaczę jeszcze, że jestem pierwszym, który pisał nowele w kastylskim narzeczu; owe bowiem nader liczne nowele, które po kastylsku drukiem ogłoszono, są tłumaczone z obcych języków, te zaś są moje własne, nie naśladowane ani kradzione. Umysł mój je spłodził, moje pióro na świat je wydało i oto wzrastają teraz w objęciach prasy drukarskiej. Po nich, jeśli mi życia starczy, dam ci „Prace Persilesa", książkę, która z Heliodorem ośmiela się iść w zawody, choć nie do tego stopnia, aby miała ręce do głowy podnosić. Ale przed tym jeszcze ujrzysz dalszy ciąg czynów bohaterskich Don Kiszota i przygód Sancho Panzy; następnie przyjdzie kolej na „Tygodnie w ogrodzie". Wiele obiecuję, gdy tak mało sił mi pozostaje; ale któż zdoła okiełznać pragnienia? Na jedno tylko chcę zwrócić uwagę: skoro ośmieliłem się przypisać te nowele wielkiemu hrabiemu de Lemos, jakaś tajemnica musi w nich być ukryta, która je ponad inne wywyższa.

Oto wszystko, i niechaj ci Bóg błogosławi, a mnie da dość cierpliwości, abym zniósł wszystko zło, które powie o mnie niechybnie niejeden znawca nazbyt drobiazgowy.

Vale.

CYGANECZKA

Zda się, że Cyganie i Cyganki po to jedynie na świat przychodzą, aby kierować się na złodziei: rodzą się z ojców złodziei, wychowują się ze złodziejami, uczą się na złodziei i koniec końców wyrastają z nich złodzieje, ruchliwi a natrętni; przy tym chęć kradzieży i samo złodziejstwo tak głęboko są w nich zakorzenione, że nie opuszczają ich aż do śmierci.

Otóż jedna z cór tego narodu, pewna stara Cyganka, która zasłynąć by mogła w szlachetnej nauce Cacusa, wychowała, podając ją za swą wnuczkę, młodą dziewczynę, której dała na imię Preciosa, a którą nauczyła wszystkich swych sztuk cygańskich, obłud i złodziejskich podstępów. Owa to Preciosa wyrosła na tak doskonałą tancerkę, że w całej cyganerii nie znalazłbyś jej równej, a była przy tym najpiękniejsza i najrozumniejsza nie tylko między Cygankami, ale między najsłynniejszymi na świecie pięknościami. Ani żary słoneczne, ani wiatry gwałtowne, ani zmiany klimatu, na które Cyganie bardziej są wystawieni niż inni ludzie, nie zdołały przyćmić piękności jej lica ani opalić jej ramion; a co bardziej jeszcze jest uwagi godne, choć wychowana była przez ludzi nieokrzesanych, wszystko w niej zdawało się zdradzać szlachetniejsze nad cygańskie urodzenie, gdyż była niezmiernie ugrzeczniona i rozumna. Przy tym wszystkim posiadała krztę bezczelności, nie tyle jednak, aby w czymkolwiek okazywać miała wolne obyczaje; bynajmniej: mimo swojego dowcipu i pozornego trzpiotostwa była tak cnotliwa, że w jej obecności żadna Cyganka, stara czy młoda, nie ośmielała się śpiewać lubieżnych pieśni ani używać słów nieprzystojnych. Spostrzegła się wreszcie Cyganica, jaki skarb nieoceniony wypielęgnowała w osobie swej wnuczki i stara orlica postanowiła, by jej orlątko spróbowało lotu swych skrzydeł i nauczyło się żyć z mozołu własnych szponów.

Wzrosła tedy Preciosa, wzbogacając się coraz bardziej w śpiewki najrozmaitsze, sielanki, zwrotki, seguidille[1] i zarabandy[2], a nade wszystko wydoskonaliła się w romancach, które śpiewała ze szczególnym wdziękiem. W istocie, chytra babka rychło spostrzegła, że wszystkie owe talenty i powaby w połączeniu z młodością i gładkim obliczem jej wnuczki, łacno stać się mogą przynętą, która nie omieszka przysporzyć jej zasobów. Szukała więc owych pieśni i skrzętnie je zewsząd zbierała, a znalazł się niejeden poeta, który jej w tym dziele dopomógł; bywają bowiem poeci, którzy piszą dla Cyganów i sprzedają im swe utwory, podobnie jak bywają poeci dla ślepców, których jedynym zajęciem jest tworzyć pieśni o cudownych wypadkach, a którzy później mają udział w zyskach: wszystko zdarza się na tym świecie, a głód nieraz zniewala najszlachetniejszych do zajęć, o jakich nigdy im się nie śniło.

Wychowała się Preciosa w różnych częściach Kastylii, a kiedy skończyła lat piętnaście, domniemana babka zawiozła ją do stolicy i zamieszkała z nią w starej dzielnicy miasta, gdzie Cyganie zazwyczaj stają obozem, w polach świętej Barbary, myśląc że w pobliżu dworu, gdzie wszystko można sprzedać i wszystko kupić, rychło znajdzie nabywcę na swój towar.

---

[1] Seguidilla – melodia tańca hiszpańskiego i forma rytmiczna wiersza.

[2] Zarabanda – skoczny taniec hiszpański, który nic nie ma wspólnego z powolnym tańcem francuskim, znanym pod mianem sarabande. (Przyp. tłum.).

Pierwszy tedy występ Preciosy w Madrycie miał miejsce w dzień świętej Anny, patronki i opiekunki miasta: szła otoczona chórem tanecznym złożonym z ośmiu Cyganek, czterech starych i czterech młodych i jednego Cygana, wielkiego tancerza, który orszak prowadził. Choć wszystkie jej towarzyszki były wymuskane i dobrze odziane, Preciosa pośród nich wyglądała tak uroczo, że rozkochały się w niej oczy wszystkich, którzy na nią patrzyli. Ponad dźwięk tułumbasu i kastanietów, ponad zapał taneczny wzniósł się głos, który wynosił pod niebiosa piękność i talent Cyganki i zbiegli się chłopcy, by spojrzeć na nią, a mężczyźni, by ją podziwiać. Lecz kiedy poczęła śpiewać (gdyż śpiew towarzyszył owym tańcom), wtenczas dopiero tryumf Preciosy dosięgnął szczytu, a sędziowie zabawy przyznali jej jednogłośnie pierwszeństwo i ofiarowali klejnot, którym miał być nagrodzony najlepszy taniec. Orszak wszedł następnie do kościoła Najświętszej Marii Panny i zatrzymał się tam przed świętej Anny sławetnym obrazem, a Preciosa, gdy wszystkie jej towarzyszki tańce ukończyły, ujęła w dłonie tułumbas z dzwonkami i lekkimi stopami szerokie zataczając kręgi, zaśpiewała następujące romance:

Nieocenione drzewo,
Co skąpiło owoca,
W ciągu lat, które mogły
Przyoblec je żałobą
I zniweczyć przeczyste
Małżonka urojenia,
Gdy przy chwiejności losów
Pierzchała już nadzieja:
Z owej to tedy zwłoki
Zrodzić miały się swary,
Że wygnano z świątyni
Męża najpoczciwszego.
Święta ziemio bezpłodna,
Otoś w końcu wydała
Taką mnogość owocu,
Że świat cały dziś żywi.
Niepoślednia mennico,
Skąd wyszedł wizerunek,
Który Bóg za wzór przyjął,
Gdy wśród ludzi przebywał.
Matko Córki Najświętszej,
W której Pan zebrać raczył
Wszystką potęgę świata
Dla ludzi niepojętą.
Przez was wszystkich i przez nią
Bądź nam, Anno, schronieniem,
Gdzie nasze utrapienia
Pójdą szukać pocieszeń.
Aż do wiadomych granic
Wszak masz, nie wątpię wcale**,**
Nad wnukiem Twoim władzę,
Bogobojna i cicha.
Żeś przeto współmieszkanką
Siedziby przenajświętszej,
Byłaby krewnych rzesza

Sąsiedztwu Twemu rada.
Jakaż córka! a wnuk Twój!
I zięć jaki! Bez zwłoki,
Dla dobrej przecież sprawy,
Twą radość byś śpiewała.
Lecz Ty, pokorna Matko,
Byłaś jeno tą szkołą,
Gdzie nauki pokory
Pobierała Twa Córka.
A teraz, przy Jej boku,
Najbliżej Ojca Pana,
Tak wysoko przebywasz,
Że myśl moja się słania.

Śpiew Preciosy wprawił w podziw wszystkich, którzy jej słuchali. Jedni mówili:

– Niechaj Bóg czuwa nad tobą, dziewczyno!

Inni:

– Szkoda, że Cyganką jest ta mała: prawdziwie zasłużyła sobie, aby urodzić się córką jakiegoś możnego pana.

Znaleźli się wśród tłumu i grubianie, którzy mówili:

– Niech tylko podrośnie dziewczyna, a już ją tam nauczą rozmaitych sztuczek; niezgorsze wiąże sieci, na które się niejedno tkliwe serce złowi.

Ktoś inny, bardziej ludzki, a mniej niesforny, widząc ją, z jakim wdziękiem w tańcu się porusza, odezwał się:

– Ot tak, córko, ot tak, aniołku mój, a tańcże mi, a depcże drobny pył, aby drobniejszy był.

Preciosa zaś nie przestając tańczyć, odparła:

– Będę ci go deptała, choćbym zadeptać miała.

Skończyły się nieszpory, skończył się obchód świętej Anny, a Preciosa powróciła do swoich, nieco zmęczona, ale w jednym dniu tak zasłynęła z urody i dowcipu, rozumu i talentu, że chórem mówiono o niej w całej stolicy.

Po dwóch tygodniach Preciosa znowu zawitała do Madrytu wiodąc za sobą trzy inne dziewczęta z tułumbasami i nowy taniec mając w zapasie. Towarzyszki jej zaopatrzyły się zawczasu w różne romance i śpiewki wesołe, lecz przyzwoite; Preciosa bowiem nie pozwalała, aby ktokolwiek przebywając w jej towarzystwie śpiewał sprośne pieśni, a i sama ich nie śpiewała i wielu było takich, którzy szanowali ją za tę wstydliwość. Nigdy na krok nie oddalała się od niej stara Cyganka, która nad nią jak Argus czuwała, w obawie snadź, aby jej kto nie porwał, lub nie urzekł. Nazywała ją swą wnuczką, a Preciosa uważała Cygankę starą za swą babkę.

Na ulicy de Toledo, czyniąc zadość żądaniom tych, którzy się im przyglądali, dziewczęta rozpoczęły tańce i z gawiedzi, która przez miasto szła za nimi, zbita ciżba utworzyła się wkoło. Podczas gdy tańczyły, Cyganka zbierała od obecnych jałmużnę: istnym deszczem miedzianym ciężkie ósmaki i czwartaki spadały na tacę; i gładkie oblicze bowiem mocne jest budzić w sercach litość uśpioną. Gdy skończył się pierwszy taniec, Preciosa z takimi słowy zwróciła się do tłumu:

– Niech każdy z was da po cztery czwartaki, a zaśpiewam sama jedna przepiękną romancę, w której mowa o tym, jako pani nasza, Donna Margarita w Valladolid, poszła do kościoła świętego Laurentego na wywodziny. Powtarzam wam, że ta romanca jest niezmiernie piękna, a napisał ją pewien poeta, który przy innych jest niby w wojsku kapitan wobec kompanii.

Ledwo skończyła, wszyscy prawie, którzy ją otaczali, głośno wołać poczęli:

– Śpiewaj, Precioso, a oto moje cztery czwartaki.

I posypały się monety miedziane tak gęstym gradem, że stara Cyganka ledwo nadążyć mogła, aby wszystkie pozbierać.

Gdy przeto ukończyła swe żniwo, Preciosa wstrząsnęła dzwonkami tułumbasu i płynnie a zamaszyście taką zaśpiewała romancę:

Największa królowa świata
Wychodzi na wywodziny,
A jest z ceny i z imienia
Jak klejnot niepospolity.
Patrzą na nią wszystkie oczy,
Wszystkie serca dla niej biją:
Na wsze strony jej uroda,
Przepych i nabożność słyną.
Jako wymowne świadectwo,
Że bierze początek z Nieba:
U jej boku Austrii słońce,
A z nim: nadobna jutrzenka.
Z tyłu zaś dąży jej śladem
Gwiazda, której życie dała
W noc dnia, który jest dla świata
Źródłem wielkiego płakania.
A gdy w niebie są gwiazd zbiory,
Które świetlne tworzą wozy,
W innych wozach – inne niebo
Mnóstwo gwiazd błyszczących zdobi.
Oto stary idzie Saturn;
Gładząc brodę dziarsko spieszy,
Rzeński, choć przygarbion wiekiem:
Snadź podagrę radość leczy.
Dalej, bożek gadatliwy
Z pochlebców zgrają przemożną.
Kupida, wśród inicjałów,
Perły i rubiny zdobią.
Oto idą Marsa dzieci:
Niejeden młodzieniec strojny,
Tak lśniący cały od zbroi,
Że własnym cieniem się płoszy.
U boku samego słońca –
Jupiter; gdyż nie ma dzieła
Trudnego dla dworzanina,
Gdy własna praca go wspiera.
W licach niejednej boginki
Blady księżyc się przegląda,
A w piękności gładkich twarzy
Wenus jawi się nadobna.
Małe Ganimedy tłumnie
Uwijają się wśród owej
Rzeszy, lśniące od galonów,
I na wszystkie biegną strony.

Spełnia się miara podziwu:
Wszystko olśniewa przepychem
I najwspanialsze klejnoty
Tutaj zdają się być nikłe.
W bogate strojny tkaniny
Mediolan kroczy wspaniały,
Indie przybrane w diamenty,
Arabia z aromatami.
Jedni knują złe zamiary,
Innych czerw zawiści toczy,
Ale większość serc jest wierna
Hiszpańskiej prawomyślności.
Wszędy radość się rozsiadła
I odbiegły niepokoje:
Na ulicach i na placach
Wszystko radością szalone.
Krociom błogosławieństw niemych
Milczenie usta otwiera.
I zgraja chłopców powtarza,
Co dorośli w chór śpiewają.
Mówią: „Latorośli winna,
„Niechaj rosną twe konary
Tak, aby przez lat tysiące
Cień ramionom twym dawały:
Imieniu twemu na chwałę,
I Hiszpanii na ozdobę,
By w tobie Kościół miał chlubę,
A postrach wieczny – Mahomet".
Inni takie prawią słowa:
„Żyj nam, gołębico biała,
Któraś nam na wychowanie
Orły z dwóch koron oddała;
Abyśmy mogli swobodnie
Przeciw drapieżcom się bronić.
Ty naszym synom lękliwym
Orlej odwagi przysporzysz".
Oto inny głos wyrasta
Uroczysty a donośny;
Ktoś przez usta i przez oczy
Wielką radość swoją głosi:
„Ten klejnot, który nam dajesz,
Perło Austrii niepoślednia.
Ileż zatargów uśmierzy!
Ileż widm krwawych zażegna!
Ileż nadziei on budzi!
Ileż on obaw przysparza,
‚Iluż on obaw przysparza,
Gdy tyle innych obali!"
Przyszli tedy do świątyni
Feniksa, co spłonął w Rzymie,

Ale w narodów pamięci
I w chwale wieczystej żywie.
Przyszli przed obraz żywota,
Przed obraz niebiosów Pani,
Która dziś, za swą pokorność,
Po gwiazdach depce nogami.
U stóp Matki wraz i Panny,
Córki i Oblubienicy
Boga, padłszy na kolana,
Wota Małgorzata czyni:
„Coś mi z szczodrej dała dłoni,
Tobie dziś przynoszę w darze,
Nieszczęście bowiem się szerzy
Tam, gdzie łaski Twojej zbraknie.
Płodów moich pierwociny
Daję Ci, Cudowna Pani:
Rzuć na nie okiem łaskawym,
Niech się w cnocie doskonali.
Ojca jego wspomnij, proszę,
Co, jak Atlas, pod ciężarem
Tylu mocarstw się ugina,
Nad wszystkimi dzierżąc władzę.
Wiem ja, że królewskie serce
Bożej woli jest posłuszne.
A pokorne Twoje modły
Pan Bóg chętnym przyjmie uchem".
Przestała mówić królowa
I rozległo się śpiewanie:
Hymny wzwyż od ziemi płyną
Wiekuistą głosząc chwałę.
Gdy się modły ukończyły,
Z królewskim ceremoniałem
Ów niebiański orszak cały
Tym co przyszedł, wrócił szlakiem.

Ledwo Preciosa skończyła swą romancę, poruszyło się otaczające ją grono słuchaczy i znawców niepospolitych i liczne głosy połączyły się w jeden chór podziwu.

– Śpiewaj dalej, Precioso – wołano – a czwartaki posypią się jak piasek.

Dwieście z górą osób otaczało Cyganki, przyglądając się tańcom i słuchając ich śpiewów, a właśnie w chwili gdy zapał największego dosięgał szczytu, przechodził przygodnie ulicą jeden z dwóch burmistrzów stolicy. Widząc ciżbę tak liczną, zapytał, jaka by była radości ich przyczyna: odpowiedzieli mu, że słuchają śpiewu uroczej Cyganki. Burmistrz, ile że był z natury ciekawy, podszedł bliżej, postał krótką chwilę, ale dbały o powagę, jaką wobec zebranego pospólstwa godności swej był winien, nie czekając, aż skończą się tańce i pieśni, odejść musiał. Młoda Cyganka jednak wydała mu się ze wszech miar godną uwagi, posłał przeto do starej Cyganicy jednego ze swych paziów, który miał jej powiedzieć, aby o zmroku ze swymi wychowankami udała się do jego domu, gdyż chciał pan burmistrz, aby żona jego, Donna Clara, je usłyszała. Paź uczynił, co mu polecono, a stara odpowiedziała, że nie omieszkają udać się na wskazane miejsce.

Skończyły się tańce i śpiewy i Cyganki na inną podążyły ulicę. Podszedł w trakcie tego do

Preciosy paź jakiś, nader starannie odziany i wręczając jej złożony arkusz papieru, rzekł:

– Precioso miła, zaśpiewaj romancę, którą tu napisano: wiersz to bardzo piękny, a jeśli zechcesz, inne podobne będę ci od czasu do czasu przynosił i nie wątpię, że wkrótce zasłyniesz z najlepszego doboru romancy na świecie całym.

– Chętnie dar przyjmuję – odparła Preciosa – ale proszę, niechże waszmość słowa dotrzyma i w przyszłości często mi swoje utwory przynosi, pod warunkiem jednak, aby nie było w nich nic przeciw dobrym obyczajom; jeśli zaś waszmość chce, abym mu za wiersze jego płaciła, postanówmy cenę od tuzina. Tuzin prześpiewany, tuzin zapłacony, mrzonką by to bowiem było myśleć, że za wiersze z góry będę płaciła.

– Niechaj mi pani Preciosa najmilsza na papier choćby z góry da pieniądze – rzekł paź – a to mi wystarczy; jeśliby zaś któryś z moich utworów okazał się nazbyt rozwiązły lub nie dość piękny, liczyć go nie będziemy.

– Wybór sama czynić będę – odparła Preciosa.

Z tymi słowy, wraz z towarzyszkami swymi ruszyła w dalszą drogę. Gdy tak szły ulicą, z jakiegoś zakratowanego okna kilku mężczyzn zawołało na nie. Preciosa podeszła do kraty, która dość nisko nad ziemią się znajdowała i ujrzała w obszernej a bogato ustrojonej sali parterowej liczne grono mężczyzn, z których jedni zabawiali się chodzeniem wzdłuż i wszerz, inni – grami najrozmaitszymi.

– A czy chcą panowie oddać nam na szczęście, co wygrają? – zapytała Preciosa, zwyczajem Cyganek z lekka sepleniąc, co jest w ich mowie właściwością przez sztukę nabytą, a bynajmniej nie wrodzoną cechą. Na głos Preciosy od gry powstali grający, a przechadzający się zaniechali swej przechadzki i wszyscy zbiegli się do okna, aby przyjrzeć się jej z bliska, gdyż doszła już była do nich jej sława. Odparli przeto chórem:

– Prosimy, niechże wejdą Cyganeczki; wszystko, co zechcą, im oddamy.

– A proszę nas aby nie zwodzić – rzekła Preciosa – gdyż drogo to może paniczów kosztować.

– Słowo honoru, że nie zwodzimy – odparł jeden z obecnych – wejdź jeno śmiało, córko miła, a pewna być możesz, że cię tu palcem nikt nie ruszy. Przysięgam na odznakę, którą na ramionach noszę. – I wskazał ręką na order Calatravy.

– Jeśli chcesz wejść do nich, Precioso – rzekła jedna z trzech młodych Cyganek, które jej towarzyszyły – idź z Bogiem, ale ja wchodzić nie myślę do domu, gdzie tylu mężczyzn się zebrało.

– Powiem ci, Krystyno – odparła Preciosa – że kobiecie strzec się należy z jednym mężczyzną sam na sam pozostać, a nie z tyloma; tam bowiem, gdzie ich wielu, pierzcha raczej obawa, by nas któryś z nich słowem lub czynem nie skrzywdził. O jednej rzeczy, Krystyno miła, zapewnić cię mogę: że kobieta, która postanowiła sobie niezłomnie zachować swą cnotę, zachowa ją, choćby znalazła się sama jedna wśród całej roty żołnierzy. Prawda, trzeba od pokus trzymać się z daleka, ale od tych tylko, do których przyznać się możemy jeno w ukryciu.

– Wejdźmy więc, Precioso – odezwała się na tę przemowę Krystyna – lepiej bowiem umiesz trafić do przekonania niż uczony jaki.

Stara Cyganka dodała im odwagi i weszły wszystkie razem.

Ledwo Preciosa przekroczyła próg komnaty, młodzieniec, który order Calatravy nosił, spostrzegł, że papier jakiś za stanik ma wsunięty i podszedłszy bliżej chciał go jej odebrać. Preciosa widząc, że już go w ręku trzyma, zawołała:

– Nie zabieraj mi waszmość tego papieru, gdyż są to wiersze, które przed chwilą dopiero mi wręczono i nie zdążyłam jeszcze ich przeczytać.

– A umiesz ty czytać? – zapytał jeden z obecnych.

– I pisać nawet umie – pochwyciła stara Cyganka – bo wnuczkę moją tak wychowałam, jak gdyby była córką adwokata lub uczonego.

Młodzieniec rozłożył papier i spostrzegłszy, że wewnątrz leżał zawinięty dukat złoty, rzekł:

– Doprawdy, Precioso, widzę że do tego listu opłatę za porto nawet dołączono. Weź ten dukat, który przy wierszach znalazłem.

– Widzę – rzekła Preciosa – że mój poeta snadź myśli, iż nędzę cierpię; pewno, dziwniejsza to rzecz, że mi poeta dukaty złote śle w darze, niźli że ja podarki przyjmuję. Jeśli mam w każdym jego utworze taki datek znajdować, niechże mi całe „Romancero" przepisze i wszystkie romance jedną po drugiej przyśle, ja zaś podejmuję się wszystkie te posyłki należycie w palcach wypróbować, a gdy twarde wewnątrz będą, z wdzięcznością je przyjmę.

Cyganeczka słowami tymi wzbudziła podziw we wszystkich, którzy jej słuchali, a przyczynił się do tego zarówno jej dowcip jak i wdzięk szczególny, z jakim mówić umiała.

– Niechże waszmość czyta – ciągnęła dalej Preciosa – i głośno proszę czytać: przekonamy się, czy talent tego poety jest równie niepospolity jak jego hojność.

I młodzieniec przeczytał następujące wiersze:

Cyganko, którą imieniem
Preciosy ludzie nazwali!
Snadź dobre imię wybrali,
Gdyż wszystko w tobie – kamieniem.
Mówią bowiem twoje oczy
I twój przykład to wykaże,
Że na świecie zawsze w parze
Gładkie lice z wzgardą kroczy.
Jeśli równie, jak twe wdzięki,
Twoja pycha wzrastać będzie,
Wielbicieli mając wszędzie,
Słyszeć będziesz ofiar jęki.
Bazyliszka nosisz w łonie,
Gdyż zabijasz twym spojrzeniem
I niszczysz wszystko płomieniem,
Który w oczach twoich płonie.
Znak to łaski jest wyraźny,
Gdy mieszkaniem ci szałasy,
I gdy takie wydał krasy
Manzanares niepokaźny.
Będzie przeto dla ojczyzny,
Równie jak Tag złotonośny,
Rodem Preciosy rozgłośny –
Bardziej niźli Ganges żyzny.
Dobre losy wróżysz z ręki,
A złe czynisz; gdyż nie mogą
Nigdy jedną dążyć drogą
Twe zamiary i twe wdzięki.
Choć z niezmienną patrzysz twarzą
Na twych wielbicieli rzeszę,
Za zamiary cię rozgrzeszę:
Wdzięki twe – śmiertelnie rażą.
Z czarodziejstwa słynie cały
Naród twój; lecz jak pożarów,
Nie zapomni nikt tych czarów,

Co się z ręki twej sypały.
Bowiem kędy zwrócisz kroki,
Czarująca i zwycięska,
Szerzy się za tobą klęska,
I w twych oczach są uroki.
Więc uroków tych brzemieniem
Wtłaczasz serca do otchłani;
Wzrok twój nas śmiertelnie rani.
Śpiew – przejmuje upojeniem.
Znasz tysiące oszołomień,
Którymi serca zniewalasz;
Czy się zbliżasz, czy oddalasz,
Zawsze jeden niecisz płomień.
Wszystko kruszysz licem gładkim;
A me serce, zachwycone
Tym, że przez cię jest więzione,
Prawdy tej wymownym świadkiem.
Dla ciebie, klejnocie cenny,
W tych słowach paź twój się kryje,
Który umiera, choć żyje –
Pokorny, biedny, płomienny.

– O biedzie swej pisze mój poeta w ostatnim wierszu – odezwała się Preciosa – zły to znak. Zakochani nigdy nie powinni mówić, że są biedni, gdyż, moim zdaniem, w początkach zalotów ubóstwo jest wrogiem nieubłaganym miłości.

– Któż cię tego nauczył, dziewczyno? – zawołał jeden z obecnych.

– A któż miał mnie uczyć? – odparła Preciosa. – Czyż nie mam swego rozumu w głowie? Czyż nie mam już piętnastu lat? Przecież ani ułomna nie jestem, ani na umyśle upośledzona. Rozum Cyganek przez inne przechodzi koleje niż rozum mieszczuchów. My zawsze bywamy nad wiek rozwinięci i nie masz na świecie Cygana głupiego ani gnuśnej Cyganki. Spryt, dowcip, przebiegłość – są dla nas środkami do życia: na każdym kroku rozwijamy przeto nasz umysł nie pozwalając, aby pleśń go sobie obrała za siedlisko. Widzicie panowie te dziewczyny, które wraz ze mną przyszły? Stoją i milczą, i zdać się może, że trzech zliczyć nie umieją. Otóż pociągnijcie je jeno za języki, a przekonacie się waszmoście, co myśleć o nich. U nas dwunastoletnia dziewczyna wie tyle, co dwudziestopięcioletnia, gdyż pierwsze nauki pobierała u samego czarta i życie było jej szkołą, a ono w ciągu jednej godziny więcej może nauczyć niźli najlepszy profesor przez rok cały.

Wszyscy słuchali nadobnej Cyganki z wielką uwagą. Grający dali jej obiecane pieniądze, a za nimi i ci, którzy nie grali toż samo uczynili. Stara Cyganica zgarnęła do trzosu trzydzieści reali, po czym bogatsza niż Krezus i od ptaka weselsza zebrała swe owieczki i udała się z nimi do burmistrza, obiecawszy, że któregoś dnia przyjdzie ze swą szczupłą trzodą zabawić owe grono, które okazało się tak hojnym.

Donna Clara, żona pana burmistrza, uprzedzona już była, że do jej domu mają przyjść Cyganki i otoczona służebnicami swymi i ochmistrzyniami wyczekiwała ich z niecierpliwością, a przyłączyło się też do nich kilka ochmistrzyń z sąsiedztwa. Ledwo weszły Cyganki, uroda Preciosy zaiskrzyła się między nimi jak blask kagańca między innymi pomniejszymi światłami. Wszystkie obecne panie otoczyły ją zwartym kołem: jedne ją ściskały, inne patrzyły się na nią, te ją błogosławiły, tamte – chwaliły. Donna Clara mówiła:

– O tych włosach prawdziwie powiedzieć można, że są ze szczerego złota; a oczy ma jak dwa szmaragdy.

A pani z sąsiedztwa rozpływała się nad każdym z osobna szczegółem jej osoby i w zachwycie swym wyliczała wszystkie jej wdzięki. Gdy zaś przyszła kolej na mały dołek, który Preciosa miała na podbródku, zawołała:

– Co za dołek! Tu muszą ugrzęznąć wszystkie oczy, które spojrzą na nią.

Usłyszał te słowa pewien dworzanin o długiej brodzie i dłuższym jeszcze życiu, który na sali się znajdował, i zawołał:

– To nazywa Wasza Miłość dołkiem? Ha, albo niewiele dołków w życiu widziałem, albo to jest nie dołek, lecz grób dla wszelkich pragnień serdecznych. Klnę się na Boga, tak cudna jest ta Cyganeczka, że gdyby ze srebra była lub z masy perłowej, nie mogłaby być piękniejsza. Czy umiesz wróżyć?

– Znam trzy czy cztery sposoby – odparła Preciosa.

– I to też? – zawołała Donna Clara – jak mi Bóg miły i zdrowie mego męża, burmistrza, musisz mi powróżyć, dziewczę złote i srebrne, i perłowe, i karbunkułowe, i aniele niebieski, a więcej nie mogę już powiedzieć.

– Proszę tylko małej dłoń pokazać – rzekła stara – i aby na liniach krzyżowych monetę jaką położyć, a zobaczą państwo, jakie cudowne rzeczy wam powie; bo dziewczyna umie więcej niż doktór m e d y c y n y.

Pani burmistrzowa sięgnęła do kieszeni, ale nie znalazła w niej ani szeląga, zwróciła się więc do swych pokojówek prosząc, aby dały jej czwartaka, ale okazało się, że ani z nich żadna, ani pani z sąsiedztwa pieniędzy nie miały. Widząc to, Preciosa rzekła:

– Wszystkie linie krzyżowe, ile że są krzyżami, dobre są: ale najlepsze są krzyże srebrne lub złote, a gdy naznaczyć krzyż na dłoni miedzianą monetą, szkodzi to wróżbom; tak ja przynajmniej sobie tuszę, a państwo niechaj wiedzą o tym. Wolałabym przeto na pierwszym krzyżu ujrzeć dukat złoty, real ośmiokrotny lub przynajmniej poczwórny[3]. Jestem bowiem jak zakrystianie, którzy radują się, kiedy im hojną dać ofiarę.

– Rozkoszna jest ta mała – rzekła pani z sąsiedztwa i zwracając się do obecnego dworzanina, zapytała:

– A waszmość, panie Contreras, czy nie masz pod ręką jakiego reala poczwórnego? Zechciejże mi go pożyczyć, a zwróci ci go doktor, mój małżonek.

– A mam ja poczwórnego reala, ale zastawiłem go za dwadzieścia dwa maravedi w gospodzie, gdzie mi wczoraj taki rachunek podano za wieczerzę. Proszę, niechaj mi państwo dadzą tę kwotę i lecę na skrzydłach go wykupić.

– Nie mamy tu wszystkie razem czwartaka, a Waszmość żądasz dwudziestu dwóch maravedisów – rzekła Donna Clara. – Ejże, panie Contreras, zawsze byłeś waszmość figlarzem.

Jedna z obecnych pokojówek, widząc, jak liche dom posiada zasoby, zapytała zwracając się do Preciosy:

– Powiedz mała: a czy to na nic się nie zda, jeśli krzyż naparstkiem srebrnym naznaczyć?

– Przeciwnie – odparła Preciosa – najlepiej to właśnie naparstkiem krzyż naznaczyć, pod warunkiem jednak, aby naparstków była dostateczna ilość.

– Jeden mam tylko – rzekła pokojówka – jeśli ten wystarczy weź go, z tym warunkiem, że i mnie powróżysz.

– Za jeden naparstek tyle wróżb! – zawołała stara Cyganka. – Wnuczko, kończ prędko, bo noc się zbliża.

Wzięła Preciosa naparstek i ująwszy rękę pani burmistrzowej tak mówić poczęła:

[3] Jednostką monetarną był w Hiszpanii real. Real podwójny srebrny (real de à ocho, de plata) miał wartość dwa razy większą. Bywały też reale poczwórne (de à cuarto) i na osiem zwyczajnych (de à ocho). Real miał 17 maravedi, m a r a v e d i cztery c z w a r t a k i (cuartos), osiem ó s m a k ó w (ochavos); Dukat złoty – 1458 maravedi, srebrny – 568. (Przyp. tłum.)

Piękna pani, piękna pani,
Ręce masz, jak srebro, białe,
Więcej ciebie mąż twój kocha
Niźli króla Alpuhary.
Tyś jak gołębica cicha,
Lecz chwilami bywasz sroga,
Mściwa, jak Orańska lwica,
Lub tygrysica Okanii.
Ale w jednym okamgnieniu
Gniew z oblicza twego pierzcha
I znów jesteś, jak owieczka,
Dobra, cicha i pogodna.
Dużo walczysz, jadasz mało;
Zazdrość twe serduszko gryzie;
Bo hulaką jest pan burmistrz
I spod jarzma się wymyka.
Kiedyś jeszcze panną była
Panicz kochał cię nadobny;
Przeklęte trzecie osoby,
Co nie ważą upodobań.
Jeślibyś mniszką została
Byłabyś klasztoru głową,
Bo masz liczne na to znaki,
Aby zostać przełożoną.
O tym mówić bym nie chciała,
Lecz na cóż milczenie zda się?
Raz jeszcze zostaniesz wdową
I znów cię za mąż wydadzą.
Nie płacz, piękna moja pani,
Boć nie zawsze my, Cyganki,
Ewangelię wykładamy
Otrzyj łzy, nadobna pani.
Jeśli śmierć cię porwie wcześniej
Niż burmistrza, twego pana,
Wystarczy to, by zaradzić
Wdowieństwu, które ci grozi.
Odziedziczysz nader rychło
Po kimś majątek pokaźny;
Syn twój będzie kanonikiem;
W jakim kościele?... nie widzę.
Lecz w Toledo być nie może.
Mieć będziesz córkę blondynkę:
Jeśli wstąpi do zakonu
Dygnitarką pono będzie.
Jeżeli mąż twój nie umrze
W przeciągu czterech tygodni,
Zostanie korregidorem
W Burgos albo w Salamance.
Znamię masz: o, jakże piękna!
Chryste! toć to miesiąc prawie!

Słońce, co na antypodach
Ciemne doliny oświeca!
    Ślepiec, aby je zobaczyć,
Dałby chętnie szeląg z górą:
O, uśmieszek wykwitł teraz,
Tak się wdzięcznie śmiejesz, pani!
    Strzeż się jeno, by nie padać,
A na plecy w szczególności,
Gdyż dla dam twojego stanu
Niebezpieczne to upadki.
    Więcej ci powiedzieć mogę,
Lecz na piątek to odłożę:
Będą rzeczy nader miłe,
Ale trosk też będzie sporo.

Skończyła wróżyć Preciosa, a inne obecne białogłowy wysłuchawszy, co powiedziała, rade by były o losie swym czegoś się dowiedzieć i wszystkie o dalsze wróżby nagabywać ją poczęły; ona jednak wróżby do piątku odłożyła odebrawszy przyrzeczenie, że przyniosą reale srebrne, aby niemi ponaznaczać krzyże.

W trakcie tego nadszedł pan burmistrz i wszyscy jęli mu o Preciosie opowiadać cuda. On Cygankom tańczyć kazał i nie omieszkał się przekonać, że pochwały, których Preciosie nie skąpiono, rzetelnie były zasłużone. Sięgając tedy do kieszeni znak uczynił, że zamierza dać jej coś w upominku. Próżno jednak szukał, macał się i skrobał na wszystkie strony; pustą rękę wyjął w końcu z kieszeni i rzekł:

– Jak mi Bóg miły, nie mam przy sobie ani szeląga. Donna Claro, dajże Preciosie reala, a ja później ci go zwrócę.

– Dobryś, mój panie! – zawołała pani burmistrzowa – a gdzież całego reala szukać? Wszyscy razem, jak nas tu widzisz, nie mieliśmy nawet czwartaka, aby przy wróżbach krzyż na dłoni naznaczyć i chcesz, abym reala miała? Daj jej waszmość tymczasem drobnostkę jakąś z twych kosztowności, a już za następnym razem, gdy do nas Preciosa zawita, lepiej ją ugościmy.

Na to burmistrz odezwał się:

– Otóż, aby się upewnić, że Preciosa do nas powróci, nic jej nie dam dzisiaj.

– Ha – rzekła Preciosa – jeśli nic nie dostanę, nigdy już tutaj nie wrócę; a raczej owszem: przyjdę jeszcze, aby tak dostojnym państwu się przysłużyć, ale przygotuję się na to z góry, że wyjdę z pustymi rękoma i w ten sposób zaoszczędzę sobie przynajmniej zawodu. Zbieraj waszmość plony twej pracy, mości burmistrzu, zbieraj jeno, a będziesz miał pieniądze; lecz nie zaprowadzaj nowych porządków, bo wszyscy tu z głodu pomrzecie. A proszę ja waszmości: słyszałam od ludzi (i chociaż młoda, rozumiem, że niepoczciwe są to rzeczy), słyszałam, że z każdego rzemiosła ściąga się pieniądze, aby pokryć nimi koszta rozmaitych urzędów i aby ci, którzy urzędy te piastują, mogli się starać o wyższe stanowiska.

– Niechaj sobie ludzie mówią, co chcą – odparł burmistrz – ale sędzia, który sprawiedliwe wydaje wyroki, nie będzie potrzebował wypłacać się za nic i uczciwie pełniąc swe obowiązki sam sobie zasłuży, aby go na wyższe naznaczono stanowisko.

– Mówisz waszmość jak święty, mości burmistrzu – odezwała się Preciosa – wprowadzaj jeno w czyn twe słowa, a wystarczy ci łachmanów, abyśmy z nich mogli relikwie skroić po twej śmierci.

– Nazbyt dużo, zda się, wiesz, Precioso – rzekł burmistrz – dość tego: postaram się, aby cię Ich Królewskie Mości na dwór wezwały, bo królewski z ciebie kąsek.

– Na dworze każą mi być błaźnicą – odparła Preciosa – a ja nie będę umiała błaznować i

wszystko przepadnie. Jeśliby tam szło tylko o dowcip, jeszcze bym może umiała podołać zadaniu; ale w niektórych pałacach błazeństwo bardziej niż rozum popłaca: ja wolę pozostać nadal Cyganką ubogą i niech się dzieje, jak Pan Bóg zarządzi.

– Hejże, mała – wtrąciła stara Cyganka – dość tych rozpraw, bo nazbyt dużo mówisz i zdawać by się mogło, że umiesz więcej, niż cię nauczyłam. Nie wysilaj tak myśli, bo z tropu zbić cię mogą. Mów raczej o rzeczach, które twym latom przystoją, a nie imaj się spraw tak górnolotnych, bo im kto wyżej buja, tym łacniej spaść może na ziemię.

– Diabeł chyba siedzi w tych Cygankach – zauważył burmistrz.

Dziewczyny pożegnały się z obecnymi, a gdy już odejść miały, ta sama pokojówka, która dała Preciosie swój naparstek, rzekła do niej:

– Powróż mi, Cyganeczko, albo oddaj naparstek, gdyż nie mam innego do roboty.

– Nie zapominajże waszmościanko, pani pokojówko – odparła Preciosa – że raz już wróżyłam; postaraj się więc o inny naparstek albo odłóż tymczasem na bok twą robótkę, a w piątek za to przyjdę i takie powiem ci cuda, że równych i w powieści rycerskiej nie znajdziesz.

Ruszyły Cyganki nasze w drogę i zmieszały się niebawem z tłumem wieśniaczek, które na Anioł Pański wychodzą z Madrytu kierując się ku swym domom. Znalazły się między nimi takie, którym jedna była z Cygankami droga i z którymi one, gwoli większemu bezpieczeństwu, chętnie do obozu wracały; stara Cyganka bowiem w ciągłej żyła obawie, aby jej Preciosy nie porwano.

***

Zdarzyło się pewnego poranku, że gdy towarzyszki nasze wraz z innymi Cygankami, nadzieją nowego zysku wiedzione, kierowały się do Madrytu, wszedłszy w niewielką dolinę, która o kroków pięćdziesiąt przed miastem się znajduje, ujrzały młodego junaka o dorodnym obliczu, odzianego w wytworny strój podróżny. Miecz jego i puginał, który miał do boku przypasany, jak się zwykło mówić, kapały od złota. Miał na głowie kapelusz z wstęgą bogato wyszywaną i różnych kolorów piórami ozdobiony. Zatrzymały się Cyganki na jego widok, zdumione, że tak dorodny młodzieniec tą drogą, o podobnej godzinie, sam i pieszo wędruje. On podszedł do nich i zwracając się do starej Cyganki, rzekł:

– Zaklinam cię na Boga, matko miła, pozwól, abym tobie i Preciosie na osobności dwa słowa powiedział, które na dobre wam wyjdą.

– Mów, proszę – odparła stara – pod warunkiem jednak, abyśmy zbytnio z drogi nie zboczyły i by nam ta rozmowa nazbyt wiele czasu nie zajęła.

To rzekłszy zawołała Preciosę i wraz z młodzieńcem o kroków dwadzieścia oddaliły się od reszty towarzystwa.

Zatrzymały się, a młodzieniec tak do nich przemówił:

– Tak niezmiernie oczarowany jestem urodą i wdziękami Preciosy, że choć wszelkie możliwe czyniłem wysiłki, aby uniknąć tego spotkania, dłużej nie umiałem nad sobą panować ani odwlekać kroku, który czynię. Ja, panie moje (i zawsze was będę, zaiste, paniami moimi mianował, jeśli niebo pozwoli aby marzenia moje się ziściły), szlachcicem jestem, a ubiór, który noszę, słowom moim świadkiem. – Tu uchyliwszy płaszcza ukazał na piersi oznaki jednego z najwyższych orderów Hiszpanii. – Jestem synem takiego a takiego (gdyż dla rozgłośnego rodziny owej imienia nazwisk tu nie wymieniamy). Ojciec stanowi moją opiekę i ochronę; jestem jedynakiem i na pokaźny spadek liczyć mogę. Ojciec mój przebywa obecnie w stolicy, gdyż stara się o pewne wysokie stanowisko, a uczynił już odpowiednie kroki i liczyć prawie na to może, że postawi na swoim. A jeśli wspominam o moim rodzie szlachetnym, o nazwisku, które noszę i o godności, którą wkrótce posiąść mogę, czynię to dlatego, że pragnąłbym być wielkim panem, aby Preciosę ze skromnego jej stanu podnieść do

mojej wysokiej godności, uczynić ją równą sobie i nazwać moją panią. Nie po to się do niej zbliżam, aby ją uwieść; zresztą prawdziwa miłość, jaką czuję, nie pozwoliłaby mi podobne żywić zamiary: pragnę jedynie służyć jej w sposób, który ona sama uzna za najlepszy; jej wola jest moją wolą; ale wobec niej z wosku jest moja dusza, na której wszystko, co zechce, będzie mogła wycisnąć, a kiedy przyjdzie zachować ślady jej dłoni, wosk stanie się marmurem, którego twardość działaniu wieków opór stawia. Jeśli słowom moim dajecie wiarę, moja nadzieja nie zazna omdlenia; lecz jeśli o prawdzie ich wątpicie, lękiem napełni mnie wasza niewiara. Oto me imię (tu imię swe powiedział); rodowe moje nazwisko już wam znane; dom, gdzie mieszka mój ojciec, znajduje się na takiej a takiej ulicy; są tam sąsiedzi, od których zasięgnąć możecie wiadomości, a i ci, którzy nie mieszkają w sąsiedztwie, niejedno wam mogą powiedzieć; i godność bowiem, i nazwisko mego ojca, i moje własne imię dostatecznie są znane, aby mogli wam je powtórzyć w podwórcach pałacu i w całej stolicy. Wziąłem ze sobą sto dukatów złotych, aby wam je wręczyć jako zakład i cząstkę niepokaźną tych bogactw, którymi zamierzam obsypać was w przyszłości; nie odmówi bowiem majątku ten, który duszę daje.

Podczas gdy młodzieniec mówił, Preciosa przyglądała mu się uważnie i zapewne niezgorzej spodobały się jej i jego słowa, i postawa. Toteż, zwracając się do starej, rzekła:

– Proszę mi, babko, wybaczyć, że pozwolę sobie odpowiedzieć temu panu, który tak bardzo zakochanym być się zdaje.

– Odpowiedz, co zechcesz – odparła stara – znam bowiem twój rozum i wiem, że dobrą dasz odpowiedź.

I Preciosa tak mówić poczęła:

– Ja, szlachetny panie, choć Cyganką jestem, ubogą i skromnego rodu, mam tu wewnątrz mój rozumek niewielki, który do wielkich rzeczy mnie popycha. Mnie ani obietnice nie wzruszą, ani datki nie przełamią, ani zmiękczą poddańcze słowa, ani mnie miłosne tyrady przerażą. Choć liczę tylko lat piętnaście (według obliczeń mojej babki, na święty Michał je skończę), jednak rozum mam jak stara i pojmuję więcej, niżby z mego wieku można wywnioskować, a to bardziej dzięki wrodzonym zdolnościom niż doświadczeniu. Tak tedy wiem, że miłosne uniesienia są w młodych zakochanych niby porywy nieokiełznane, które wolę wysadzają z zawiasów tak, że druzgocąc wszelkie przeszkody rzuca się ona zapamiętale śladem swych pragnień i nieraz, gdy myśli, że spotkała wymarzonego przez oczy anioła, spotyka w istocie piekło swych utrapień. Jeśli zakochany dopnie celu swych marzeń, z posiadaniem zmniejsza się pragnienie i wówczas, kiedy otworzą się oczy rozsądku, zawiedziony kochanek często przekonać się może, iż nienawidzi teraz tej, którą otaczał niegdyś uwielbieniem. Obawa, aby i mnie coś podobnego nie spotkało taką nieufność we mnie budzi, że żadnym słowom nie wierzę i wątpię o wielu nawet czynach. Jeden mam klejnot, a klejnotem tym kwiat mego dziewictwa, i nie sprzedam go za żadne obietnice ani dary, bo koniec końców byłby sprzedany, a jeśli kupiony być może klejnot taki, zaiste, nie jest pono z szlachetnego kruszcu zrobiony. Nie wydrą mi go również podstępy żadne i mamidła: zabiorę go raczej ze sobą do grobu i do nieba może, niźli narażać się będę na to, aby go senne urojenia miały skalać i zbezcześcić. Dziewictwo jest kwiatem, którego – jeśli to możliwe – nawet w wyobraźni nie należy kalać: róża, kiedy się ją od krzaka różanego odłączy, jakże prędko więdnie i usycha! Ten jej dotyka, tamten ją wącha, inny z listków obrywa i wreszcie kwiat w rękach prostaczych się rozpada. Jeśli waszmość po ten skarb przyszedłeś, nie inaczej go zdobędziesz jak więzami małżeńskimi skrępowany; bo jeśli dziewictwo ugiąć się może, to tylko pod tym jarzmem świętym, gdyż w ten sposób stracone nie przepadnie, a jeno stanie się narzędziem rozkoszy, która nosi w sobie obietnicę zysków nieprzepłaconych. Jeślibyś zechciał być mym mężem, ja żoną twoją będę; ale postawię ci warunki i będziesz musiał przejść uprzednio przez różne próby. Przede wszystkim wiedzieć muszę, czy istotnie jesteś tym, za którego się podajesz. Następnie, jeśli dowiem się, że prawdę

powiedziałeś, będziesz musiał opuścić dom twych rodziców i w naszych zamieszkać namiotach, a przywdziawszy strój cygański przez dwa lata w naszej szkole będziesz pobierał nauki: przez ten czas będziemy mogli poznać się wzajemnie i należycie się do siebie przyzwyczaić. Po upływie dwóch lat, jeśli będziemy z siebie wzajemnie zadowoleni, oddam ci się za żonę. Ale aż do tego czasu będę ci jeno siostrą w codziennym obcowaniu i niewolnicą na twe usługi. Pomyśl, że podczas tego nowicjatu zdarzyć się może, iż odzyskasz wzrok, którego teraz pozbawiony być musisz, otworzą ci się oczy i nabierzesz przekonania, że należało umykać co żywo od tego, za czym teraz tak usilnie gonisz; w takim wypadku odzyskasz wolność i jeśli szczerą skruchę okażesz, wina będzie ci wybaczona. Jeśli teraz, znając warunki, chcesz zostać w milicji naszej żołnierzem, wiesz, co ci począć wypada, a raz jeszcze powtarzam, że dopóki wszystkim warunkom nie uczynisz zadość, jednego palca mojej ręki dotknąć ci nie pozwolę.

Zdumiał się młodzieniec na przemowę Preciosy tak, że pozostał jak osłupiały, z oczyma w ziemię wpatrzonymi, szukając widocznie w myślach, jaką ma dać odpowiedź. Preciosa widząc jego zakłopotanie odezwała się znowu:

– Są to rzeczy zbyt doniosłe, aby w tak krótką chwilę, jaką nam tutaj czas nastręcza, można było ostatecznie coś postanowić. Wróć waszmość do miasta, pomyśl dobrze nad tym, co ci czynić wypadnie, a co dzień na tym samym miejscu spotkać mnie możesz rano i pod wieczór, idącą do Madrytu lub powracającą do taboru.

Młody szlachcic odparł jej na to:

– Kiedy niebo kazało mi cię pokochać, Precioso moja, postanowiłem uczynić dla ciebie wszystko, czego by wola twoja ode mnie zażądała, choć nigdy na myśl mi nie wpadło, abyś mogła wymagać tego, co z ust twoich słyszałem. Ale skoro takie powzięłaś postanowienie, niechaj moja wola do twojej się nagnie: od tej chwili możesz za Cygana mnie uważać i wszelkie, jakie zechcesz, czynić nade mną doświadczenia: znajdziesz mnie zawsze, jak dzisiaj, uległym i rozkazom twoim powolnym. Powiedz mi, kiedy chcesz, abym przywdział strój cygański: ja wolałbym, aby to zaraz mogło nastąpić, gdyż pod pozorem wyprawy do Flandrii mógłbym rodziców moich zmylić i wydobyć od nich nieco grosza; przygotowania do podróży mogłyby potrwać koło tygodnia. Tym, którzy mają mi niby towarzyszyć, będę umiał tak zamydlić oczy, że celu swego dopnę. O jedno wszakże, Precioso, prosić cię będę, jeśli wolno mi już teraz prośbę mieć do ciebie i błaganie. Otóż prosić cię chciałem, abyś, z wyjątkiem dnia dzisiejszego, ile że możesz dzisiaj zasięgnąć wiadomości o moim rodzie i godności mego ojca, nie chodziła do Madrytu, gdyż lękam się, by jedna z nader licznych sposobności, jakie tam nadarzyć się mogą, nie pozbawiła mnie szczęścia, które tak drogo mnie ma kosztować.

– A, to już nie, miły panie – odparła Preciosa. – Wiedz waszmość, że mieć muszę swobodę nieograniczoną i nie pozwolę, aby zakłócać ją miało widmo zazdrości; ale zechciej też waszmość zrozumieć, że swobody tej nie nadużyję: z daleka już każdy pozna, że obyczajność moja równa jest przynajmniej mojemu trzpioctwu. Otóż, pierwsze brzemię, jakie waszmości chcę narzucić, to brzemię zaufania, które winieneś we mnie pokładać. Czyż nie wiesz o tym, że kochankowie, którzy zaczynają od zazdrości, są to albo prostacy, albo zarozumialcy?

– Szatan chyba w tobie siedzi, dziewczyno – przerwała jej w tym miejscu stara Cyganka – mówisz rzeczy, których nie umiałby powiedzieć kolegiat z Salamanki: ty wiesz o miłości, ty wiesz o zazdrości, wiesz o zaufaniu... Ależ skąd to wszystko? Nie mogę wyjść z podziwu i słucham cię, jak gdybyś była nawiedzona i gadała po łacinie, nie rozumiejąc ani słowa.

– Cicho, babko – odparła Preciosa – wszak dobrze wiesz, że wszystko, co mówię to jeno fatałaszki i kpiny w porównaniu z tym, co prawdziwie leży mi na sercu.

Każde słowo Preciosy i rozsądek, który okazywała, i spokój, z jakim mówiła, wszystko to dolewało oliwy do ognia, którym gorzało łono zakochanego młodzieńca. Stanęło w końcu na tym, że po tygodniu spotkać się mieli na tym samym miejscu i wówczas miał on zdać sprawę

z obrotu, jaki by rzeczy wzięły, im zaś pozostawiony był czas dostateczny, aby się mogły o prawdzie jego słów przekonać. Wyjął młodzieniec z kieszeni sakiewkę złotem wyszywaną i powiedziawszy, że znajduje się w niej sto złotych dukatów, wręczył ją starej. Preciosa pozwolić nie chciała, aby stara dar przyjęła, ale Cyganka rzekła jej:

– Cicho, mała: oto najlepszy dowód, jaki ten pan mógł dać, że w nasze ręce zdaje swoje losy, gdy broń składa na znak uległości; zresztą, ten, kto daje, zawsze i wszędzie okazuje tym samym, że ma szlachetne serce. Nie zapominaj, co mówi przysłowie: „Dwakroć daje, kto rychło; a trzykroć, kto ochotnie daje". W dodatku nie chcę, aby Cyganki straciły z mojej winy sławę uczciwości, którą zdobyły sobie w ciągu tylu wieków. Sto dukatów chcesz, abym odrzuciła, Precioso? Sto dukatów, które zaszyć się dadzą w fałdę sukni niewartej dwóch reali i które nosić można przy sobie niby akt własności ziemskiej na łąki Estremadury? A jeśli któryś z naszych synów, wnuków albo krewnych wpadnie w ręce sprawiedliwości, jakież dowody niewinności równie wymownie zadźwięczą w uszach sędzi lub pisarza sądowego jak te dukaty, które dostaną się do ich kieszeni? Trzy razy za trzy różne przewinienia już na mnie oprawca chłostę gotował: otóż, za pierwszym razem wykupił mnie dzban monet srebrnych, za drugim – sznur pereł, a za trzecim – czterdzieści reali ośmiokrotnych, które dostałam za odpowiednią ilość czwartaków i za którą to zmianę zapłaciłam o dwadzieścia reali więcej. Nie zapominaj, mała, iż rzemiosło nasze każe nam iść drogą pełną niebezpieczeństw i nieuniknionych zasadzek, gdzie łatwo się potknąć, a nie ma ochrony skuteczniejszej jak herb niezwyciężony wielkiego Filipa[4]*;* nie można iść dalej niż jego p l u s u l t r a. Za dublona o dwóch twarzach posępne oblicze prokuratora radosnym się staje, a jego śladem rozjaśniają się twarze wszystkich zwiastunów śmierci, którzy dla nas, biednych Cyganek, są istnymi harpiami i wolą krew żłopać niż znęcać się nad opryszkami wielkich dróg. Choćby w największej nędzy i w łachmanach nas widzieli, nie uwierzą naszemu ubóstwu, gdyż mówią, że jesteśmy niby kaftany górali z Belmontu, w strzępach całe i wytarte, a pełne dublonów.

– Na miłość Boską, babko, dosyć tych rozpraw, bo zda się wszystkie prawa ludzkie do tego wniosku chcesz sprowadzić, że winnaś zatrzymać pieniądze – a zatrzymajże je i niech ci pójdą na zdrowie; bodajbyś je zakopała w takim miejscu, aby nigdy już światła dziennego nie ujrzały, ani żeby okazała się tego potrzeba. Ale trzeba będzie dać coś naszym towarzyszkom, bo oto długą chwilę na nas czekają i pewno już się niecierpliwią.

– Tak zobaczą one szeląga z tych pieniędzy, jak własne uszy widzą – odparła stara. – Ten dobry panicz niechaj poszuka czy pozostało mu trochę monet srebrnych albo czwartaków kilka i niech je tamtym rozda, gdyż drobnostka jakaś wystarczy, aby je zadowolić.

– Mam tu coś jeszcze – odparł nasz junak i wyjął z kieszeni trzy reale ośmiokrotne, które rozdzielił następnie między Cyganki, a one, tak obdarowane, okazały swą radość i zadowolenie w dobitniejszy sposób, niżby to uczynił dyrektor trupy teatralnej, kiedy odniósłszy zwycięstwo nad swym współzawodnikiem słyszy, jak na zaułkach ulic pospólstwo wita go wołaniem: v i c t o r , v i c t o r.

Koniec końców, jak to już wyżej było powiedziane, postanowiono, że po tygodniu młodzieniec zjawi się na tym samym miejscu i że jako Cygan będzie się nazywał Andrzej Caballero, gdyż w obozie byli Cyganie tego imienia. Nie ośmielił się Andrzej (gdyż od tej chwili tak go będziemy nazywali) uściskać Preciosy na pożegnanie, ale w jednym spojrzeniu całą oddawszy jej duszę, bez niej, jeśli powiedzieć można o człowieku, że bez duszy zostaje – wrócił do Madrytu, a Cyganki, jego śladem toż samo uczyniły.

Preciosa, nieco wzruszona bohaterskim postanowieniem Andrzeja, choć życzliwość raczej ku niemu czuła niż istotną miłość, chciała dowiedzieć się niezwłocznie, czy w rzeczy samej był tym, za kogo się podawał. Weszła tedy do Madrytu, ale ledwo kilka ulic przebyła, gdy spotkała się oko w oko z tym samym paziem-poetą, od którego dostała była wiersze z

[4] Herb królewski widniał na monetach hiszpańskich. (Przyp. tłum.)

dołączonym do nich dukatem. Ten, gdy ją zobaczył, zbliżył się do niej pytając:

– Witam cię, Precioso; a przeczytałaśże wiersze, które tamtego dnia ci dałem?

Preciosa odrzekła na to:

– Zanim jakąkolwiek waszmości dam odpowiedź, jedną prawdę wyjawić mi musisz: na życie osoby, która najdroższa ci jest na świecie, zaklinam cię o to.

– Oto zaklęcie tak przemożne – odparł paź – że choćbym prawdy tej wyjawienie przypłacić miał życiem, powiem ci, o cokolwiek mnie zapytasz.

– Otóż – rzekła Preciosa – chcę wiedzieć, czy losu zrządzeniem nie jesteś waszmość poetą.

– Jeśli poetą jestem – odparł paź – nie inaczej jak zrządzeniem losu być nim mogę. Lecz wiedz o tym, Precioso, że nader nieliczni są ci, którzy na miano poety sobie zasłużyli; ja przeto nie jestem poetą, lecz tylko poezji miłośnikiem. Gdy pisać chcę, wierszy u ludzi się nie dopraszam i po cudzych książkach ich nie szukam: te, które ci dałem, są moje własne i moje również są te, które daję ci teraz; ale nie znaczy to, iżbym był poetą, od czego uchowaj mnie Boże.

– Tak źle jest być poetą? – zauważyła Preciosa.

– Źle nie jest – odparł paź – ale mnie się wydaje, że niedobrze to być tylko i wyłącznie poetą: poezja powinna być jak drogocenny klejnot, którego właściciel nie nosi na co dzień i którym nie chełpi się przed wszystkimi swymi znajomymi ani na każdym kroku, ale który trzyma w ukryciu i pokazuje ludziom wówczas tylko, kiedy ma po temu powody. Poezja jest to przepiękna dziewica, czysta, cnotliwa, rozumna, dowcipna, skromna, która zawsze umie utrzymać się w granicach najdoskonalszej przyzwoitości: lubi samotność, z leśnymi źródłami gawędzi, łąki są jej pocieszeniem, drzewa – ukojeniem, a kwiaty ją radują; ona wreszcie sama naucza i upaja wszystkich, którzy z nią obcują.

– A jednak – wtrąciła Preciosa – słyszałam ja o niej, że nędzę cierpi i ma w sobie coś z żebraczki.

– Przeciwnie – odrzekł paź – każdy poeta jest bogaty, gdyż każdy zadowolony jest ze swego stanu: a nieliczni są śmiertelnicy, którzy taką filozofię umieją w czyn wprowadzić... Ale czemu, Precioso, zadałaś mi to pytanie?

– Dlatego – odparła Preciosa – że dotychczas wszystkich poetów miałam za nędzarzy i wielce byłam zdumiona znajdując ów dukat, który w swoje wiersze zawinąłeś. Ale teraz, kiedy wiem, że nie jesteś poetą, a tylko poezji miłośnikiem, rozumiem, że możesz być i bogaty, choć wątpię o tym, gdyż wystarcza, że wiersze piszesz, aby przypuścić, że dla tej samej przyczyny i majątek musisz trwonić; mówią bowiem, że nie ma poety, który by umiał, co posiada, zachować lub zdobyć to, czego nie posiada.

– Otóż ja do takich nie należę – odparł paź – piszę wiersze, a nie jestem ani bogaty, ani ubogi. Ale bez żalu i ubolewań, które germańczyków darom towarzyszą, mogę dać dukata i dwa, komu mi się żywo spodoba. Przyjmij, Precioso-klejnocie, ten drugi z rzędu papier i tego drugiego dukata, którego znajdziesz wewnątrz, nie zastanawiając się nad tym, czy jestem poetą, czy nie. Chcę tylko, abyś myślała i wierzyła niezłomnie, że ten, który te podarki ci czyni, pragnąłby mieć bogactwa Midasa, aby tobie złożyć je w darze.

To mówiąc paź wręczył Preciosie papier złożony, a ona do ręki go biorąc wyczuła, że wewnątrz znowu dukat się znajdował. Rzekła więc:

– Długie życie wróżę tej kartce, gdyż ma w sobie dwie dusze: jedna do dukata należy, druga – do wierszy, bo zawsze pełno w nich znajdziesz dusz i serc. Ale proszę wiedzieć, mości paziu, że nie chcę tyle dusz przy sobie nosić i jeśli nie wyjmiesz pierwszej, ja drugiej nie przyjmę. Chcę, abyś waszmość był dla mnie poetą, a nie dawcą i tylko w ten sposób możemy pozostać przyjaciółmi: zapamiętaj sobie, że dukat choćby był najtwardszy, nie wynagrodzi braków w układzie wiersza.

– Skoro więc chcesz, Precioso, abym dla ciebie był nędzarzem – rzekł paź – nie odrzucaj duszy, którą posyłam ci w tym papierku i zwrócić mi dukata, wystarczy mi bowiem, że ręką

go dotkniesz, abym zachował go do końca życia jako relikwię świętą.

Wyjęła Preciosa dukat i pozostał jej papier, ale nie chciała czytać go na ulicy. Paź pożegnał się i odszedł wielce zadowolony, myśląc, że Cyganka już mu ulec musiała, skoro tak łaskawie doń mówiła.

Preciosa tymczasem uważnie szukając domu, który miał należeć do ojca Andrzeja, nigdzie do tańców się nie zatrzymywała i w krótkim czasie znalazła ulicę, gdzie dom się znajdował. Przekonała się bez trudu, że ulica dobrze jej była znana. Doszedłszy do połowy jej długości, Preciosa podniosła wzrok ku balkonowi żelaznemu ze złoceniami, po którym dom Andrzeja poznać miała. Na balkonie tym ujrzała mężczyznę pięćdziesięcioletniego, który miał na piersiach order w kształcie krzyża czerwonego, a pełen był powagi i godności. Ledwo ujrzał dziewczyny, zawołał:

– Wejdźcie na górę, małe, dadzą wam tutaj jałmużnę.

Na te słowa zjawili się na balkonie trzej inni mężczyźni, między którymi znajdował się i zakochany Andrzej. Ten, gdy ujrzał Preciosę, zbladł i bliski był omdlenia: tak wielkim wzruszeniem napełnił go jej widok. Weszły na górę wszystkie Cyganki, prócz starej, która pozostała na dole, aby się dowiedzieć od służby, czy Andrzej prawdę powiedział. Gdy dziewczyny wchodziły do pokoju, starszy mężczyzna mówił do reszty towarzystwa:

– Niewątpliwie musi to być owa piękna Cyganeczka, o której mówią, że po Madrycie chodzi.

– Tak to ona – odezwał się Andrzej – a nikt nie zaprzeczy, że jest najpiękniejszym stworzeniem pod słońcem.

– Tak mówią – rzekła Preciosa, która wchodząc słyszała te słowa – ale doprawdy mylić się muszą o połowę istotnej ceny; ładna jestem niewątpliwie, ale nie śni mi się wierzyć, iżbym tak piękna była, jak to ludzie radzi głoszą.

– Jak mi życie Janeczka, syna mego, miłe – rzekł starszy szlachcic – zapewniam cię, że piękniejsza jeszcze jesteś, niż ludzie głoszą, urocza Cyganko.

– A któryż to jest Janeczek, syn waszmości? – zapytała Preciosa.

– Ten oto młodzieniec, który przy tobie stoi – odparł szlachcic.

– Doprawdy – rzekła Preciosa – myślałam, że waszmość zaklina się na głowę jakiegoś dwuletniego dziecka: patrzcie mi go, jaki chłop dorodny, a Janeczkiem go nazywają. Jak mi Bóg miły, już by mógł być żonaty, a po pewnej linii, którą ma na czole, poznaję, że zanim trzy lata upłyną, stanie na ślubnym kobiercu i nawet żonę dostanie nader sobie gwoli, jeśli tylko do tego czasu gdzieś jej nie zawieruszy lub na inną nie wymieni.

– Wspaniale! – zawołał jeden z obecnych – dowiedzmyż się, co też Cyganeczka po liniach poznać może.

Cyganki, które przyszły były z Preciosą, usunęły się tymczasem wszystkie w jeden kąt pokoju i tak się skupiwszy, aby ich słów nie usłyszała reszta towarzystwa, szeptem rozmawiać poczęły. Rzekła Krystyna:

– Patrzcie, dziewczyny, toż to ten sam panicz, który dziś dał nam trzy reale ośmiokrotne.

– On to, istotnie – pochwyciły tamte – ale nic mu nie przypominajmy i nie mówmy do niego, jeśli on do nas nie przemówi; może nie chce być poznanym. Cóż my o tym wiemy?

Gdy jej trzy towarzyszki taką prowadziły rozmowę, Preciosa tymczasem dalej ciągnęła swe wywody:

– U mnie, co oko widzi, to wnet głowa dorozumie: i bez linii wiem ja o mości Janeczku, że jest nieco kochliwy, rozhukany i do postanowień ostatecznych skory, że nieraz obiecuje rzeczy trudne do urzeczywistnienia; od kłamstwa jeno Boże go uchowaj, gdyż gorszej wady nie masz na świecie. Wkrótce odbędzie podróż daleką, ale nie wie lewica, co czyni prawica: człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi i panicz myśli może, iż jedzie do Sewilli, a znajdzie się w Rzymie.

Jan odrzekł jej na to:

– Doprawdy, Cyganeczko, wiele rzeczy trafnie o mnie powiedziałaś, ale myli cię przypuszczenie, że kłamcą jestem, przeciwnie bowiem, chełpię się tym, że zawsze mówię prawdę. Co się zaś dalekiej podróży tyczy, słusznie rzekłaś, gdyż przy Boskiej pomocy, za cztery lub pięć dni zamierzam do Flandrii jechać. Ale grozisz mi, że zboczę z drogi, a ja nie chciałbym, aby jakiś nieoczekiwany wypadek podróży mojej stanął na przeszkodzie.

– Dość słów, paniczu – odparła Preciosa – Bogu jeno zaufaj, a wszystko dobrze pójdzie. Wierzaj, że nic nie wiem z tego, co mówię, ale gdy gadam jak kołowrotek, nie dziw, że czasem uda mi się trafnie coś powiedzieć; obecnie chciałabym namówić cię, abyś podróży zaniechał i uspokoił raczej porywy twego serca, abyś pozostał w domu, u boku twych rodziców i był im pociechą w starości, gdyż nie podobają mi się wcale te podróże do Flandrii; a nade wszystko, kiedy chodzi o tak młodych, jak ty, zapaleńców. Poczekaj, aż podrośniesz nieco, abyś mógł znosić należycie trudy wojny, tym bardziej że we własnym domu przyjdzie ci walki staczać niepoślednie, gdy sercu twemu wypowiedziały wojnę miłosne potęgi. Uspokój się, uspokój, zapaleńcze mały, namyśl się dobrze, zanim staniesz przed ołtarzem. A teraz daj nam jałmużnę w imieniu Boga i swoim własnym, gdyż doprawdy zdaje mi się, że z dobrego jesteś rodu, a jeśli przy tym i słowa dotrzymujesz, rada się przekonam, że wszystko inne trafnie przepowiedziałam.

– Powtarzam ci, mała – rzekł Jan, który miał nazywać się później Andrzej Caballero – iż we wszystkim, co powiedziałaś, masz słuszność, prócz tych obaw, które zda się żywisz, wątpiąc o mej prawdomówności, gdyż tu mylisz się. Słowa, które na polu dałem, dotrzymam w mieście i dokądkolwiek losy mnie zaprowadzą: czyż kłamcy wolno mienić się szlachcicem? Mój ojciec da ci jałmużnę i w Boga, i w moim imieniu, gdyż doprawdy dziś rano wszystkie moje zasoby oddałem pewnym damom, które za miastem spotkałem: jeśli jednej z nich zwłaszcza lekkoduszność równa jest jej piękności, zaprawdę nie liczę na wygraną.

Słysząc te słowa, Krystyna wspomniała swą poprzednią uwagę i rzekła zwracając się do towarzyszek:

– Słuchajcie, dzieweczki; niech mnie zabiją, jeśli nie mówi o owych trzech realach, które nam dał dziś rano.

– To być nie może – odparła jedna z dwóch pozostałych – mówi bowiem, że były tam damy jakieś, my zaś damami nie jesteśmy; a jeśli w istocie ten młodzieniec jest tak prawdomówny, jak to sam utrzymuje, nie skłamałby i tutaj.

– Błahe to kłamstwo – rzekła druga – które nikomu szkody nie wyrządza, a zdać się może na coś temu, który je mówi. Ale widzę, że panicz nic nam nie daje i że nie każą nam tańczyć.

Tu zjawiła się we drzwiach stara Cyganka i rzekła:

– Kończ prędko, wnuczko, gdyż późno już, a sporo jeszcze roboty zostaje nam na dzisiaj i niemało trzeba będzie obracać językiem.

– Cóż nowego, babko – zapytała Preciosa – czy jest syn czy córka?

– Syn i śliczny chłopak – odpowiedziała stara – pójdź ze mną, Precioso, a istne cuda usłyszysz.

– Daj Boże, aby jeno matka nie umarła z wycieńczenia – rzekła Preciosa.

– Wszystko pójdzie dobrze – odparła stara – tym bardziej że poród był najzupełniej normalny i dziecko jest zdrowe jak ryba.

– Czy pani jakaś porodziła? – zapytał ojciec Andrzeja Caballero.

– Tak, panie – odparła Cyganka – ale poród ten taką otoczony jest tajemnicą, że wie o nim, oprócz mnie, tylko Preciosa i jeszcze jedna osoba: nie możemy więc powiedzieć, o kim mowa.

– Ani my chcemy o to pytać – wmieszał się jeden z obecnych. – Ale nieszczęsna ta osoba, która waszym językom powierza swą tajemnicę i cześć swoją w wasze składa ręce.

– Nie wszystkie złe jesteśmy – odparła Preciosa. – Może znajdą się między nami takie,

które z większym prawem mówić mogą o swej dyskrecji i uczciwości niż którykolwiek z obecnych tutaj panów. Pójdźmy już, babko, gdyż za nic nas tutaj mają; nie jesteśmy przecież złodziejkami i nikogo o łaskę nie prosimy.

– Nie gniewaj się, Precioso – rzekł ojciec Andrzeja – gdyż ciebie przynajmniej pewno nikt nie mógłby o zły uczynek posądzić: dość spojrzeć na ciebie, aby pierzchły wszelkie podejrzenia, a twoje lica wystarczą za gwarancję twej uczciwości. Zaklinam cię, Cyganeczko, potańczcie trochę, ty i twoje towarzyszki. Mam tu dla was dublon złoty o dwóch twarzach, ale żadna z nich nie jest tak piękna jak twoja, choć dwóch królów są to wizerunki.

Stara, ledwo usłyszała te słowa, zawołała:

– Dalej, dziewczynki, co żywo suknie zakasać i czyńcie, co panowie każą.

Ujęła Preciosa tułumbas w dłonie i Cyganki poczęły zataczać kręgi taneczne, a z takim wdziękiem rozpuszczały i znowu ściągały więzy, którymi były skrępowane, że śladem ich nóg dążyły oczy wszystkich obecnych, a nade wszystko oczy Andrzeja, które tak w nogach Preciosy się plątały, jak gdyby tam miał się dla nich raj wymarzony znajdować. Ale los tak zrządził, że wkrótce raj w piekło mu się zamienił. Zdarzyło się bowiem, że wśród zapału tanecznego upadł Preciosie papier, który wręczył jej paź, a ledwo upadł, podniósł go ten sam z gości, który o Cygankach tak niedobre miał pojęcie i rozłożywszy go, zawołał:

– Doskonale! oto mamy sonecik. Dość tańców teraz: posłuchajcie raczej, co tu napisano, gdyż o ile z pierwszego wiersza sądzić mogę, sonet nie należy wcale do najgorszych.

Przykro zrobiło się na razie Preciosie, która wierszy jeszcze nie była przejrzała; poczęła przeto prosić, aby sonetu nie czytano i domagała się zwrotu papierka, a upór, z jakim obstawała przy swoim, rozjątrzał jeszcze w Andrzeju, niby ukłucia ostrogi, chęć usłyszenia tego utworu. Wreszcie mężczyzna, który papier z ziemi podjął, przeczytał głośno następujący sonet:

Kiedy Preciosa w tułumbas uderzy
I słodkie tony w powietrzu zadzwonią,
Perłami – dźwięki, które budzi dłonią
I kwiatem – słowo, co na ustach leży;
Skoro z ust w przestrzeń niby ptak pobieży,
Słoneczną, zda się, pojone harmonią,
Sny – od szaleństwa ledwo duszę bronią,
Gdy do nadludzkich wspina się rubieży.
Ona – najmniejszym z włosków swoich mroczy
Dusz tysiąc, które straciły nadzieję,
A dążą za nią w słotę i zawieję.
Ślepotą rażą, jak słońce, jej oczy...
U stóp jej – Amor, pokonany, mdleje,
Chłonąc z rozkoszą zapach jej warkoczy.

– Jak mi Bóg miły – rzekł ten, który sonet odczytał – poeta, który to napisał, ma talent niepospolity.

– Nie jest to poeta, mój panie, ale paź nader wytworny i zda się być uczciwym człowiekiem – odparła Preciosa.

– Zastanów się nad tym, co rzekłaś, Precioso, bacz pilnie, gdy co powiedzieć zechcesz. Chciałaś pazia pochwalić, a twoje słowa wbiły się, jak sztylety, w serce Andrzeja, który cię słucha. Nie wierzysz, dziecko? Odwróć jeno głowę, a ujrzysz go, jak oparł się o krzesło, bliski omdlenia i potem śmiertelnym pokryty. Nie myśl, dziewczę nadobne, iż Andrzej z figlów tylko cię kocha: najdrobniejsze roztargnienie twoje rani go i niepokoi. Podejdź doń teraz i kilka słówek szepnij mu na ucho, ale takich, aby trafiły wprost do serca i przywróciły

mu zmysły; a jeśli nie chcesz, przynoszę mu co dzień sonety miłosne na twoją cześć pisane, a przekonasz się wkrótce, jaki wywrą na nim skutek.

Wszystko stało się jak powiedziano, gdyż Andrzej wysłuchawszy sonetu, począł czynić tysiące najrozmaitszych przypuszczeń: nie zemdlał wprawdzie, ale zbladł tak przeraźliwie, że ojciec odezwał się do niego:

– Cóż ci to, Janku, iż zbladłeś tak, jak gdybyś miał zemdleć za chwilę?

– To nic – rzekła Preciosa – niechaj mi jeno waszmość pozwolą powiedzieć mu kilka słów na ucho, a ręczę, że nie zemdleje.

To mówiąc zbliżyła się do niego i rzekła szeptem, nie poruszając prawie wargami:

– I ty chcesz zostać Cyganem? Jakże zniesiesz, Andrzeju, wszystkie trudy koczowniczego życia, skoro wątły papierek przyprawia cię o omdlenie? – Po czym, uczyniwszy mu pół tuzina krzyżów na sercu, oddaliła się.

Andrzej odetchnął głęboko, dając niby poznać, że ulżyły mu słowa Cyganki. Wreszcie dublon złoty o dwóch twarzach znalazł się w rękach Preciosy, a ona przyrzekła swym towarzyszkom, że zmieni go na drobne i między nie rozdzieli. Ojciec Andrzeja poprosił ją, aby zapisała mu słowa, które Janowi rzekła na ucho, chciał bowiem na wszelki wypadek znać to zaklęcie. Ona odparła, że chętnie je wyjawi, dając do zrozumienia, że choć słowa zaklęcia wydawać się mogły nieco żartobliwe, miały jednak moc sobie właściwą przeciw biciu serca i zawrotom głowy. Zaklęcie tak brzmieć miało:

Główeńko, główeńko miła,
Czemuś się tak zasępiła?
Mów, jak mówią ludzie prości:
Cierpliwości, cierpliwości!
Niech w twe oczy
Czar uroczy
Chyżo wkroczy;
Pozbądź troski
I na palec patrzaj Boski:
Ujrzysz rzeczy,
Których widok cię uleczy;
Czar poprawi
Święty Krzysztof, gdy się zjawi.

– Wystarczy połowę tych słów powiedzieć na ucho osobie, która na zawrót głowy cierpi i sześć razy znak krzyża uczynić jej na sercu, aby cierpienie pierzchło, jak ręką odjął – dodała Preciosa.

Stara Cyganka, gdy usłyszała to zaklęcie i objaśnienie, które po nim nastąpiło, osłupiała ze zdumienia, a bardziej jeszcze osłupiał Andrzej, widząc na jakie to pomysły umiała się zdobyć przebiegłość Preciosy. Sonet pozostał w ręku domowników, gdyż Cyganeczka przekonawszy się już, jak niebezpieczne jest przyprawiać zakochanych o niepokój i porywy zazdrości, nie chciała upominać się o swoją własność, aby oszczędzić Andrzejowi ponownych katuszy.

Dziewczyny pożegnały się z towarzystwem, a Preciosa na odchodnym rzekła głośno do Jana:

– Wiedz waszmość, że w tym tygodniu każdy dzień jest dla odjeżdżających szczęśliwy i nie ma dni feralnych. Zbieraj się przeto możliwie najrychlej, gdyż czeka cię życie dostatnie, swobodne i nader przyjemne, jeśli tylko z nowymi warunkami zechcesz się pogodzić.

– Nie takie jest życie żołnierza – odparł Jan – i więcej pono na zależność trzeba liczyć niźli na swobodę. Mimo wszystko jednak zobaczę, co mi czynić wypadnie.

– Zobaczysz waszmość więcej, niż ci się zdaje – rzekła Preciosa. – Niech cię Bóg

prowadzi, dorodny junaku.

Te ostatnie słowa dodały Andrzejowi otuchy, a Cyganki odeszły wielce zadowolone z gratki, która im się dostała. Dublon został rozmieniony i podzielony na równe części, choć stara Cyganica zatrzymywała zawsze dla siebie półtora raza więcej, niż jej w udziale przypadało, zarówno ze względu na swój wiek jak i na to, że była niejako igłą magnesową, która reszcie wskazywała kierunek żeglugi wśród tego oceanu tańców, zabaw, talentów i nawet sztuczek złodziejskich.

***

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy wczesnym rankiem, na wynajętym mule, nie zabrawszy ze sobą żadnego pachołka, udał się Andrzej Caballero na miejsce swego pierwszego spotkania z Cygankami. Zastał tam Preciosę i jej babkę, a one, poznawszy przybysza niezwłocznie, z niemałą radością go przyjęły. Polecił im, aby zaprowadziły go do taboru, zanim dzień nastanie i ci, którzy by go szukać mogli, na ślad jego wpadną. Cyganki, ile że uprzedzone będąc, przyszły same, zawróciły wraz z nowo przybyłym i wkrótce wszyscy troje znaleźli się wśród namiotów. Wprowadzono Andrzeja do jednego z nich, największego, jaki był w obozie. Zbliżyło się niebawem kilkunastu Cyganów, młodych i dorodnych, których stara już była uprzedziła o przybyciu nowego towarzysza, a nie potrzebowała im polecać, aby wiadomości tej nie rozgłaszali, gdyż, jak powiedziano już wyżej, wszyscy oni umieją dotrzymać tajemnicy z niebywałą skrupulatnością. Ci, ledwo weszli, dostrzegli muła, na którym Andrzej przyjechał i jeden z nich rzekł:

– Tego będziemy mogli we czwartek sprzedać w Toledo.

– A, to nie – rzekł Andrzej – gdyż nie ma muła najemnego, którego by nie znali wszyscy przewodnicy, jacy po Hiszpanii wędrują.

– Jak mi Bóg miły, mości Andrzeju – odparł jeden z Cyganów – choćby ten muł posiadał znamiona równie nieomylne jak te, które dzień sądu ostatecznego mają zwiastować, tak go tutaj przedzierzgniemy, że nie pozna go ani matka, która go na świat wydała, ani właściciel, który go wychował.

– A jednak – rzekł Andrzej – tym razem trzeba będzie uczynić, co postanowiłem: muła należy zabić i pochować w takim miejscu, aby najdrobniejszej kosteczki po nim nie zostało.

– Grzech to wielki – zawołał drugi Cygan – pozbawić życia takie niewiniątko! Niech Andrzej poczciwy takich rzeczy nie mówi, a na jedno się zgodzi: przyjrzyj mu się panicz uważnie, tak aby każdy szczegół pozostał ci w pamięci, później pozwól mi zająć się jego losem, a jeśli poznasz go po upływie dwóch godzin, niech mnie zaćwiczą jak Murzyna, który chciał pokosztować swobody.

– Na żaden sposób – odparł Andrzej – nie zgodzę się darować mułowi życia, choćby miano na nim skórę zmienić. Dopóki ziemia go nie przysypie lękać się będę, aby mój ślad nie został wykryty; jeśli zaś chodzi o korzyść, jaką możecie ze sprzedaży osiągnąć, nie przybywam do tego bractwa tak ogołocony ze wszelkich zasobów, abym nie mógł zapłacić wam za wstęp ceny czterech mułów.

– Skoro tego sobie życzy pan Andrzej Caballero – rzekł drugi Cygan – niech umrze niewiniątko, choć Bóg mi świadkiem, że z bólem serca na to się zgadzam, choć zwierzę nie tylko jest młode, ale jeszcze widocznie nie przemęczone, co między najemnymi mułami rzadko się zdarza; nie ma nawet znaków bicza na karku: za wierzchowca snadź przeważnie służył.

Odłożono stracenie muła do wieczora, tymczasem zaś odbył się ceremoniał przyjęcia Andrzeja na Cygana. Wyniesiono więc wszystkie sprzęty z najlepszej w obozie szopy i przyozdobiono ją gałęziami i tatarakiem, po czym posadzono Andrzeja na belce dębowej, dano mu do rąk młotek i obcęgi i przy dźwięku dwóch gitar, na których dwaj Cyganie grali,

kazano mu dwa razy podskoczyć. Następnie obnażono mu jedno ramię i opasawszy je nowiutką wstęgą jedwabną, dwoma obrotami pałki drewnianej z lekka ściśnięto węzeł. Przy tym wszystkim obecna była Preciosa, a z nią wiele innych Cyganek starych i młodych, z których jedne patrzyły na Andrzeja z podziwem, inne – z miłością: taka bowiem była jego dorodność junacka, że nawet Cyganie pokochali go od pierwszego wejrzenia.

Gdy skończyły się wyżej wymienione ceremonie, jakiś stary Cygan ujął za rękę Preciosę i stanąwszy z nią przed Andrzejem, w te słowa przemówił:

– Tę oto dziewczynę, kwiat piękności i chlubę wszystkich Cyganek mieszkających w Hiszpanii, oddajemy ci lubo na żonę, lubo na przyjaciółkę, z tych dwu bowiem rzeczy wybrać możesz, co bardziej upodobaniom twoim dogodzi, gdyż życie nasze swobodne i dostatnie, żadnym przepisom ani ceremoniom światowym nie podlega. Przypatrz się jej dobrze, zobacz, czy wszystko ci się w niej podoba, a jeśli znajdziesz rzecz jaką, która by niezadowolenie w tobie wzbudziła, z grona dziewic, jakie tutaj są obecne, wybrać możesz którą zechcesz, a my damy ci tę, którą sobie upatrzysz; wiedz jednak, że raz wybranej nie wolno ci dla innej porzucić, ani z mężatkami lub z dziewicami się swatać. My zachowujemy nienaruszalnie prawo przyjaźni: żaden nie pożąda własności drugiego; żyjemy wolni od gorzkiej choroby zazdrości i nieprzystępni dla niej. Choć pośród nas niejedno spotkasz kazirodztwo, nigdy nie znajdziesz cudzołóstwa. A jeśli się zdarzy, że któraś z naszych żon albo towarzyszek przewini, po wymiar kary nie chodzimy do sądu; myśmy tu sami sędziowie i kaci naszych żon i towarzyszek: z równą łatwością je zabijamy i grzebiemy gdzieś w górach albo na pustkowiu, jak gdyby szkodliwymi były zwierzętami; nie masz krewnych, którzy by je pomścili ani rodziców, którym by trzeba zdawać rachunek z ich śmierci. Tak w ciągłej żyjąc trwodze, w ciągłym strachu, zachowują one czyste obyczaje, my zaś mamy spokój zapewniony: niewiele mamy rzeczy, które by nie były wspólną własnością, oprócz żony lub towarzyszki, gdyż chcemy, aby każda należała do tego, któremu przypadła w udziale. Pośród nas starość jest równie rozwodu przyczyną jak śmierci; jeśli kto pozostał młodym, wolno mu żonę starą opuścić i wybrać inną, upodobaniom jego i latom gwoli. Takimi oto i innymi jeszcze prawami sami się rządzimy i żyjemy szczęśliwi. Myśmy panami pól i łąk, lasów i gór, rzek i potoków: góry darmo dają nam opał, drzewa – owoce, winnice – grona winne, sady – jarzyny, źródła – wodę, rzeki – ryby, a zagajniki – zwierzynę; cień dają nam skały, świeże powietrze – urwiska, domami są nam pieczary. Dla nas wszelkie nawałnice są podmuchami zefiru, śnieżyce – chłodnym tchnieniem, kąpielą – deszcze, muzyką – grzmoty i pochodniami – błyskawice. Dla nas twarda ziemia – puchową pościelą, zaś spalona od słońca skóra naszych ciał jest nam pancerzem ochronnym. Tak lotni jesteśmy, że nie stoją nam na przeszkodzie ani kraty żelazne, ani okopy z rowami, ani nas gnębią mury wysokie; naszej wytrwałości ani sznury nie zdławią, ani tortury nie obrażą, ani widok kata ją zwycięży. Między „tak” i „nie” nie czynimy różnicy, jeśli nam tego potrzeba; wolimy być męczennikami raczej niż spowiednikami. Dla nas we wsiach zwierzęta juczne się chowają, dla nas w miastach krają się kieszenie: żaden orzeł ani inny ptak drapieżny tak chyżo nie spada na zdobycz, którą sobie upatrzył, jak my, kiedy sposobność jakaś się nadarzy, z której sobie zysk obiecujemy. Mamy wreszcie wiele zalet, które szczęśliwy wynik naszych wysiłków nam wróżą; w więzieniu bowiem – śpiewamy, na torturze – milczymy, we dnie – pracujemy i nocą kradniemy, a raczej ostrzegamy ludzi, aby nikt nie zaniedbał dać baczenie, kędy mienie swoje chowa. Nie gnębi nas troska, abyśmy nie narazili naszego honoru, ani nam dodaje ducha żądza wzmożenia go. Nie tworzymy stronnictw, nie spędzamy nocy bezsennych na pisaniu memoriałów, nie towarzyszymy magnatom i nie dworujemy możnym tego świata: zamiast dachów złotych i pysznych pałaców, mamy te oto szopy i przenośne namioty; zamiast malowideł i krajobrazów flamandzkich, na każdym kroku daje nam sama przyroda te urwiska wyniosłe i śnieżne skały, łąki przestronne i gęste lasy. Myśmy astrologowie wiejscy, gdy bowiem zawsze niemal śpimy pod gołym niebem, zawsze, we dnie czy nocą, wiemy, która

jest godzina; widzimy co dzień, jak jutrzenka usuwa na bok i gasi gwiazdy na niebie, jak wznosi się, zrazu różowa, a później biała, radością napełniając sfery powietrzne, chłodząc wodę i rosą skraplając ziemię, i jak jej śladem słońce wychodzi, złocąc szczyty (według słów poety) i trefiąc gór grzbiety. Obca nam obawa, aby nas nieobecność jego nie zmroziła, kiedy muska nas zaledwie z ukosa swymi promieniami i nie lękamy się jego żaru, kiedy prostopadle z zenitu w nas godzi. Z jednakową zawsze twarzą witamy upał słoneczny i mrozy, niedostatek i urodzaj. Jednym słowem, żyjemy z mozołu własnych rąk i mamy wszystko, czego zapragnąć możemy, gdyż zadowalamy się tym, co posiadamy. Rzekłem ci to wszystko, szlachetny młodzieńcze, abyś wiedział, jakie życie cię czeka i znał warunki naszego bytu, które ci tutaj w grubych zarysach odmalowałem. Niezliczone mnóstwo innych szczegółów odkryjesz z czasem, przebywając z nami i dowiesz się rzeczy nie mniej godnych uwagi jak te, o których słyszałeś.

To rzekłszy umilkł wymowny Cygan, Andrzej zaś oświadczył, że niezmiernie mu było przyjemnie zapoznać się z tak chwalebnymi statutami, że zamierza zastosować się we wszystkim do tych zwyczajów, opartych na tak trwałych podstawach polityki i zdrowego rozsądku i żałuje tylko, iż nie dowiedział się wcześniej o wesołym trybie życia, jaki wiodą. Dodał, że od tej chwili wyrzeka się i swego tytułu szlacheckiego, i próżnej pychy ze swego dostojnego rodu, składając wszystko pod ich jarzmo, a raczej pod prawa, którymi się rządzili, skoro tak cennym skarbem nagradzając chęć służenia im, oddają mu boską Preciosę, za którą on porzuciłby korony i cesarstwa, a raczej po to jeno pożądałby ich, aby u stóp ukochanej je złożyć.

Odparła mu na to Preciosa:

– Skoro panowie prawodawcy postanowili, że jestem twoją i w twoje ręce mnie oddali, ja, z prawa mojej woli, które silniejsze jest od wszystkich innych, wywiodłam, że jeśli zgadzam się do ciebie należeć, to tylko pod warunkami, któreśmy wspólnie z tobą rozpatrzyli, zanim między nas przybyłeś: dwa lata żyć musisz w naszej kompanii, zanim wolno ci będzie uczynić ze mnie twoją towarzyszkę; w ten sposób ani tobie za lekkomyślność nie przyjdzie pokutować, ani ja za pośpiech nie będę zwiedzioną. Warunki obalają prawa: jeśli zechcesz zastosować się do tych, które ci postawiłam, być może, iż ja twoją zostanę, a ty moim; jeśli zaś nie zgadzasz się na nie, muł twój jeszcze nie zabity, odzież twoja nie naruszona i z pieniędzy, które zabrałeś, nie brak ani szeląga: nieobecność twoja w domu dnia całego nawet nie trwała, a do zmierzchu dość czasu jeszcze pozostaje, abyś mógł się namyślić i postanowić, co ci czynić wypada. Ci oto panowie mogą oddać w twoje ręce moje ciało, ale nie duszę, która jest wolna, urodziła się wolna i wolna będzie, dopóki ja sama nie zechcę jej ujarzmić. Jeśli pozostaniesz z nami, szanować cię będę; jeśli wrócisz do swoich, nie będę cię goniła, gdyż, według mego zdania, miłosne uniesienia dopóty nie dają się ujarzmić, dopóki nie zastąpi im drogi rozsądek albo rozczarowanie. Nie chcę, abyś był dla mnie jak myśliwy, który gdy złapie jednego zająca, porzuca go potem, by uganiać się za innym, który przed nim ucieka. Bywają oczy, które na pierwsze wejrzenie nie umieją odróżnić szychu od złota, lecz z czasem poznają się na różnicy między szlachetnym metalem a nędzną imitacją: mówisz o mej piękności, że wolisz ją niż słońce i cenisz bardziej niż złoto; a któż mnie zapewni, że z bliska nie wyda ci się ona jeno własnym cieniem i nie powiesz, gdy się jej dotkniesz, że wszystko w niej tylko ułudą? Daję ci dwa lata czasu, abyś się przekonał, co wybrać winieneś, co odrzucić; jeśli bowiem chodzi o przedmiot, który raz kupiony nie prędzej może być odrzucony jak ze śmiercią, dobrze to, aby nabywca miał czas przyjrzeć i poznać wszystkie jego wady i zalety. Bo ja nie kieruję się tą samą barbarzyńską i zuchwałą samowolą, którą snadź moi krewni postawili sobie za prawo, gdy opuszczają swe żony i kary im wymierzają według własnego widzimisię: ja, ile że nie zamierzam postępowaniem swoim na żadną karę sobie zasłużyć, nie chcę też mieć za towarzysza człowieka, który by zdolny był bez przyczyny mnie porzucić.

– Dobrze mówisz, Precioso – przerwał jej w tym miejscu Andrzej. – Jeśli przeto chcesz,

abym rozproszył twe obawy przysięgając ci, że ani na krok nie odstąpię od tego, co mi rozkażesz, powiedz, jakiej wymagasz ode mnie przysięgi albo w jaki inny sposób mogę cię o szczerości moich zamiarów zapewnić: cokolwiek postanowisz, chętnie uczynię.

– Przysięgi i obietnice, które składa więzień w nadziei, że wolność odzyska za ich sprawą – odparła Preciosa – rzadko się spełniają; tę samą miarę, zda mi się, należy przykładać do przysięgi zakochanego, który, aby celu swego dopiąć, obiecywać będzie skrzydła Merkurego i gromy Jupitera, jak to mi się wydarzyło z pewnym poetą, który przysięgał na nurty Styksu, że mi te dowody swej miłości przyniesie w darze. Nie chcę ja przysiąg, mości Andrzeju, ani obietnic: choć, aby ten nowicjat, który postanowiłam, wszystko między nami rozstrzygnął i moją rzeczą będzie bronić się, gdybyś w czymkolwiek zamierzał mnie skrzywdzić.

– Niech więc będzie jak mówisz – rzekł Andrzej – o jedną rzecz tylko poprosić chcę tych panów, a moich towarzyszów: oto oddadzą mi oni przysługę, jeśli w ciągu pierwszego miesiąca przynajmniej nie będą mnie zmuszali do żadnej kradzieży, gdyż zdaje mi się, że musiałbym wziąć niejedną lekcję, aby zostać dobrym złodziejem.

– Cicho, synu – rzekł stary Cygan – wierz mi, iż tak cię tutaj wymusztrujemy, że wkrótce będziesz istnym orłem w naszym rzemiośle, a kiedy dobrze je poznasz, tak w nim zasmakujesz, że palce będziesz sobie oblizywał. Czyż to nie dziw, gdy człowiek wychodzi rano z próżnymi rękoma i obciążony ładunkiem wraca wieczorem do domu?

– Widziałem ja i takich, którzy spod chłosty wracali do domu – wtrącił Andrzej.

– Pieczone gołąbki... wszak znasz przysłowie – odparł starzec. – Wszyscy na tym świecie wystawieni bywamy na przeróżne niebezpieczeństwa: złodzieja – rzemiosło, które uprawia, naraża na galery, chłostę i szubienicę; ale czyż dlatego, że okręt jakiś rozbije się lub utonie, inni mają zaniechać żeglugi? Ładnie by to było, gdyby dlatego że wojna pochłania ludzi i konie, znieść miano rzemiosło żołnierza. Zresztą, wiedzieć musisz, że być skazanym przez sąd na chłostę jest to dla nas tyle, co uzyskać prawo noszenia znaku szlachectwa na plecach, a większy to zaszczyt, niż najwyższy order na piersi mieć zawieszony. Sztuka na tym jedynie polega, aby nie popsuć sobie szyków w kwiecie lat młodych i przy pierwszych już przewinieniach, bo jeśli chodzi tylko o połechtanie pleców albo o robienie drągiem w wodzie na galerach, wszystko to rzeczy dla nas splunięcia niewarte. Andrzeju, synu miły, odpocznij teraz w gnieździe pod naszymi skrzydłami, a kiedy nadejdzie czas po temu, własnego damy ci spróbować lotu i to w takim miejscu, że nie wrócisz do nas bez zdobyczy. A co rzekłem, to rzekłem: palce będziesz sobie oblizywał po każdej kradzieży.

– Otóż – rzekł Andrzej – aby wynagrodzić wam, co mógłbym ukraść przez te pierwsze czasy nowicjatu, pragnę między wszystkich, którzy są w taborze rozdzielić dwieście eskudów złotych.

Ledwo Andrzej powiedział te słowa, rzuciła się ku niemu chmara Cyganów, którzy, chwyciwszy go za ramiona, podnieśli w górę z okrzykami: „Vivat, vivat wielki Andrzej" dodając: „I niechaj żyje, niechaj żyje nam Preciosa, ukochana jego!" Cyganki toż samo uczyniły z Preciosą, a nie obeszło się bez znaków zazdrości ze strony Krystyny i innych dziewczyn, które przyglądały się tej scenie; zawiść bowiem obiera sobie siedzibę zarówno w szałasach barbarzyńców jak w chatach pastuchów i pałacach książęcych: ciężko ci na duszy, gdy widzisz jak szczęście sprzyja sąsiadowi, który nie położył więcej zasług od ciebie samego.

Uczciwszy tedy w ten sposób młodych, Cyganie zasiedli do stołu, po czym przystąpiono do sprawiedliwego podziału przyrzeczonych pieniędzy, wreszcie znowu wszyscy chórem jęli chwalić Andrzeja i wynosić pod niebiosa piękność Preciosy. Nadeszła noc, zarżnięto muła i pogrzebano go w taki sposób, że Andrzej przestał lękać się, aby jego ślad nie został wykryty; wraz z mułem pogrzebano i wszystkie jego cacka, jako to siodło, wędzidło i strzemiona, na wzór Indian, którzy każą umieszczać sobie w grobowcu najdroższe ich klejnoty.

Andrzeja w zachwyt wprawiło zarówno wszystko, co widział i słyszał jak i umysł

Cyganów, i postanowił sobie swe przedsięwzięcie doprowadzić do końca, nie przejmując jednak od nowych towarzyszów ich obyczajów lub przynajmniej unikając wszelkich po temu sposobności; myślał bowiem, że będzie mógł spod ich praw się wyłamać i dzięki pieniądzom, którymi rozporządzał, nie słuchać ich, gdyby mu kazali ręki przyłożyć do złych czynów.

Nazajutrz po swym przybyciu Andrzej poprosił nowych towarzyszy, aby przenieśli się na inne miejsce i od Madrytu się oddalili, lękał się bowiem, że odkryć go mogli, gdyby w okolicach stolicy pozostał. Odpowiedzieli mu, że już postanowili byli przenieść się w góry, pod Toledo i z tego miejsca przedsiębrać wycieczki do okolicznych miejscowości, wszędy szukając zysku. Zwinęli przeto namioty i ofiarowali Andrzejowi oślicę, aby im na niej towarzyszył; on jednak daru nie przyjął i nie chciał chodzić inaczej jak piechotą, służąc za pachołka Preciosie, która na innej oślicy się usadowiła; oboje radzi byli niezmiernie: dziewczyna, że tak dorodnego posiada giermka, Andrzej zaś, że znajduje się nieustannie u boku tej, z której uczynił panią swoich myśli.

O, wszechwładna potęgo tego, którego nazywają słodkim bogiem goryczy! (Miano nadane mu przez próżność ludzką i niedbałość). Jakże niepodzielnie umiesz zawładnąć naszymi myślami! Jakże bezlitośnie z nas się naigrawasz! Szlachcicem jest Andrzej, i młody, i rozsądny; nieustannie prawie na dworze się wychowywał, otaczany zawsze pieczołowitością swych bogatych rodziców; i oto od wczoraj do dziś wszystko zmieniło się w jego życiu: zwiódł swych przyjaciół i swe sługi, oszukał nadzieje, jakie rodzice w nim pokładali, porzucił drogę do Flandrii, gdzie miał wypróbować swą odwagę i rodowi swemu chwały przysporzyć; wszystko, aby paść do nóg młodej dziewczyny, stać się jej pachołkiem, niebaczny na to, że owa dziewczyna, choć piękna nad wyraz, była przecież tylko Cyganką. Ten jest przywilej piękności, która porywa za czuprynę i do nóg swoich rzuca najsilniejsze duchy.

Po czterech dniach przybyli do pewnej wioski, oddalonej o dwie mile od Toledo i tam rozłożyli swój tabor, ofiarowawszy uprzednio miejscowemu alkadowi kilka srebrnych przedmiotów, jako zastaw gwarantujący mu, iż nic nie skradną w okręgu podległym jego jurysdykcji. Gdy to czyniono, wszystkie stare Cyganki, a z nimi kilka młodych i mężczyźni, rozproszyli się po okolicy, nawiedzając jednak tylko miejscowości o cztery mile przynajmniej odległe od wsi, gdzie stali obozem. Poszedł z nimi Andrzej na pierwszą lekcję złodziejstwa; ale choć niejednej udzielili mu na tej wycieczce nauki, nie imała się go żadna; raczej godnym okazał się szlachetnej krwi, która płynęła w jego żyłach; przy każdej kradzieży, jakiej dopuszczali się jego nauczyciele krajało mu się serce i zdarzyło się kilkakrotnie, że poruszony do głębi łzami poszkodowanych, zwracał im z własnych pieniędzy koszt przedmiotów skradzionych przez jego towarzyszy. Doprowadzało to Cyganów do rozpaczy: mówili mu, że wykracza przeciw ich statutom, które litości wzbraniają do ich serc dostępu, w przeciwnym bowiem razie zaprzestać by musieli kradzieży, co wręcz niezgodne było z ich upodobaniami. Andrzej tedy, widząc, jaki sprawa obrót bierze, oznajmił im, że pragnie kraść na własną rękę i nie chce, aby ktokolwiek towarzyszył mu w jego wyprawach: oświadczył, że ma dość lekkości w nogach, aby umknąć przed niebezpieczeństwem i dość odwagi, aby stawić mu czoło; chciał przeto, aby nagroda lub kara za wszystko, co ukradnie, jego wyłącznym była udziałem. Cyganie próżno silili się odwrócić go od tego zamiaru, przekładając, że w takim może znaleźć się położeniu, gdzie konieczna będzie pomoc zarówno przy napaści jak przy obronie; próżno usiłowali przekonać go, że jedna osoba nie może zagarnąć wielkich łupów: Andrzej o niczym nie chciał słyszeć. Postanowił niby kraść na własną rękę, w istocie zaś zamierzał trzymać się z dala od swych towarzyszy i kupować co dzień z własnych pieniędzy przedmiot jakiś, o którym mógłby następnie powiedzieć, że to owoc kradzieży, nie obciążając w ten sposób swego sumienia. Do takiego uciekłszy się wybiegu, w miesiąc niespełna przyniósł swym towarzyszom więcej pożytku niżby to uczynić mogli czterej najwytrawniejsi Cyganie, a Preciosa radowała się widząc jak zręcznym i obrotnym złodziejem jest jej czuły kochanek. Mimo wszystko jednak obawiała się jakiegoś nieszczęścia, gdyż za wszystkie

skarby Wenecji nie chciałaby widzieć Andrzeja w niebezpieczeństwie. Zniewolona podarkami, które jej czynił i przysługami, jakie jej wyświadczał, tyle przynajmniej miała dlań życzliwości.

Nieco dłużej niż miesiąc pozostali w okolicach Toledo, gdzie dobre mieli żniwo (choć kończył się już wrzesień), i stamtąd skierowali się do Estremadury, ziemi bogatej i ciepłej. Andrzej miewał z Preciosą długie a poczciwe miłosne rozmowy i z wolna w jej sercu rosnąć poczęło uczucie, gdyż dojrzała jak liczne zalety posiada jej kochanek. Toż samo Andrzej: gdyby miłość jego wzmóc się była zdolna, wzmogłaby się; tak niezrównane były cnotliwość, uroda i rozum Preciosy.

Gdziekolwiek stawali obozem, wszędy Andrzej zdobywał pierwsze nagrody jako skoczek i szybkobieg, gdyż w nogach od wszystkich innych był silniejszy; w kręgle i w piłkę grywał niepospolicie i rzucał dyskiem z niezwykłą sprawnością. Toteż imię jego zasłynęło na całą Estremadurę i nie ostało wkrótce wioski, gdzie by nie mówiono o junackiej dziarskości Andrzeja Caballero, o jego wdziękach i obrotności, a jednocześnie rósł rozgłos Preciosy i nie było miasteczka, wsi, ni zagrody, gdzie by nie wzywano ich na święta parafialne, imienny i inne zabawy. W ten sposób tabor wzbogacał się i życie płynęło w nim wesoło i dostatnio, a młodzi kochankowie szczęśliwi byli, gdy spotkały się ich spojrzenia.

***

Pewnego razu, gdy tabor rozłożony był na skraju dębowego lasu, nieco opodal traktu głównego, rozległo się nagle wśród nocy szczekanie psów, zajadłe i niezwykle długotrwałe. Wyszło kilku Cyganów, a z nimi Andrzej, aby przekonać się, na kogo tak szczekają i ujrzeli opędzającego się od nich jakiegoś mężczyznę w białej odzieży, którego dwa kundle zębami trzymały za nogę. Zbliżyli się, uwolnili go od zwierząt i jeden z Cyganów zapytał:

– Któż do licha sprowadził cię tutaj, człowieku, o tej porze i tak daleko od drogi? Kraść może przychodzisz? Ha, prawdziwie, do dobrej zawinąłeś przystani.

– Nie przychodzę kraść – odparł zapytany – i nie wiem, czy daleko jestem od drogi, czy blisko, choć widzę dobrze, iż z drogi musiałem zboczyć. Ale powiedzcie mi panowie, czy jest tu w okolicy zajazd jaki lub wioska, gdzie bym mógł przenocować i opatrzyć rany od ukąszeń waszych psów.

– Nie ma ani wsi, ani gospody, w której mógłbyś znaleźć przytułek – odparł Andrzej – ale w namiotach naszych znajdzie się miejsce dla ciebie, gdzie będziesz mógł i wypocząć, i rany twe opatrzyć.

– Niech wam Bóg zapłaci – rzekł nieznajomy. – Prowadźcie mnie co rychło, gdzie zechcecie, gdyż ból w nodze dokucza mi niezmiernie.

Podeszli doń Andrzej i jakiś Cygan litościwy (gdyż nawet wśród demonów są lepsi i gorsi, a wśród wielu złych ludzi zazwyczaj kilku dobrych się znajdzie) i ująwszy go z obu stron pod ramiona powiedli ze sobą.

Noc była widna, księżycowa, tak że bez trudu poznać mogli, iż nieznajomy był młody, dorodny i postawny: miał na sobie odzież z tkaniny białej, a przez pierś i ramiona przepasana była niby koszula czy worek płócienny. Znaleźli się wkrótce w namiocie Andrzeja, pośpiesznie zapalili światło i babka Preciosy jęła niezwłocznie opatrywać rany nieznajomego, uprzedzona już bowiem była o przyjściu pokąsanego; wzięła tedy nieco psich kudłów, rozmoczyła je w oliwie i umywszy uprzednio winem dwie rany, które miał na lewej nodze, przyłożyła do nich kudły z oliwą i pokryła rozmarynem tartym; następnie czystym płótnem przewiązała mu nogę, przeżegnała rany i rzekła:

– Śpij, przyjacielu, a za dni kilka, jeśli Bóg dopuści, rany się zagoją.

Podczas gdy pokąsanego tymi otaczano zabiegami, Preciosa stała przed nim wpatrując się weń uporczywie, a on również spoglądał na nią uważnie, co nie uszło baczności Andrzeja; w

ten jednak sposób wszystko sobie tłumaczył, że Preciosa wszystkie oczy przykuwać do siebie musiała swą urodą. Wreszcie gdy młodzieńcowi rany opatrzono, pozostawiono go samego na barłogu suchego siana nie zapytawszy nawet tymczasowo, kto zacz, skąd przychodzi i kędy zmierza.

Ledwo oddalili się, Preciosa zawołała Andrzeja na stronę i rzekła mu:

– Czy pamiętasz, Andrzeju, ów papierek, który mi upadł na ziemię, kiedy z mymi towarzyszkami tańczyłam w twoim domu? Złą chwilę, zda się, wówczas przeżyłeś!

– Pamiętam odparł Andrzej – był tam sonet na twoją cześć pisany, i niezgorszy.

– Wiedz tedy, Andrzeju – ciągnęła dalej Preciosa – że autorem sonetu jest ten pokąsany młodzieniec, który leży tam na sianie, a nie mam co do tego żadnych wątpliwości, gdyż w Madrycie mówił ze mną dwa czy trzy razy i nawet dał mi bardzo dobre romance. W stolicy, jeśli się nie mylę, był paziem, lecz nie z tych pospolitych, a na usługach jakiegoś wielkiego pana. Prawdziwie, powiadam ci, Andrzeju, że chłopiec jest dobrze ułożony, rozumny i nader poczciwy, tak że nie wiem wcale, co myśleć o tym zjawieniu się jego wśród naszego taboru w takim dziwnym stroju.

– Co myślisz o tym, Precioso? – odrzekł Andrzej – jedną tylko widzę odpowiedź: że ta sama siła, która mnie uczyniła Cyganem, kazała mu przedzierzgnąć się w młynarza i iść szukać cię po świecie. Ach, Precioso, Precioso! Jakże jasno widzę teraz, że chełpisz się tym, iż nie ja jeden tylko uległem potędze twojej krasy. Jeśli tak jest w istocie, zgładź mnie pierwej, a później zabijesz tamtego, lecz nie chciej jednocześnie dwu ofiar poświęcać na ołtarzu twej zdrady, aby nie powiedzieć – twej piękności.

– Na Boga żywego! – zawołała Preciosa – jakże miękki jesteś, na jakże cienkim włosku wisieć muszą twe nadzieje i zaufanie, które we mnie pokładasz, jeśli z taką łatwością wbił się w twe serce twardy miecz zazdrości! Powiedz mi, Andrzeju, jeśliby w tym wszystkim było coś przemyślanego, podstęp jakiś, czyż nie umiałabym milczeć i ukryć przed tobą, kim jest ten młodzieniec? Czyż tak głupia jestem, abym ci sama kazała wątpić o mej zacności i dobrych chęciach? Zaklinam cię, Andrzeju, dość już tego; zniszcz w twoim sercu obawy; a jutro wypytasz go o wszystko i dowiesz się, kędy idzie i po co do nas przyszedł. Być może, iż mylą cię twoje podejrzenia; a gwoli twemu zadowoleniu, skoro do tego doszło, że zadowolić cię muszę, cokolwiek ci o swojej osobie powie, każ mu, proszę, bez zwłoki ruszyć w dalszą drogę, gdyż wszyscy u nas są tobie posłuszni i przeciw twej woli nikt nie przygarnie go do swego namiotu. Jeśli uczynisz, jak mówię, wierzaj mi na słowo, że nie wyjdę z mego szałasu i ani jemu się nie pokażę na oczy, ani nikomu, o kim mi powiesz, iż nie zechcesz, aby mnie oglądał.

Po chwili dodała jeszcze:

– Wiedz, Andrzeju, nie to mi przykre, że zazdrość czujesz, ale że wątpić możesz o mnie.

– Dopóki mnie szaleńcem nie zobaczysz, Precioso – odparł Andrzej – wszystko inne słabe tylko da ci wyobrażenie, do jakiego stanu doprowadzić może człowieka gorzka i okrutna choroba zazdrości. Mimo wszystko, uczynię, co każesz, i dowiem się, jeśli to możliwe, kim jest ów przybysz, kędy zmierza i czego szuka. I zdarzyć się może, iż po nitce, którą niebacznie ukaże, dojdę do kłębka i odkryję, jakie wiązał na mnie sieci.

– Zdaje mi się – rzekła Preciosa – że zazdrość nigdy rozumowi takiej nie pozostawia swobody, aby mógł sądzić rzeczy wedle istotnej ich doniosłości: zazdrośni patrzą zawsze przez powiększające szkiełka, które z karłów czynią olbrzymów i prawdę z urojenia. Zaklinam cię na miłość naszą, Andrzeju, postępuj w tym wypadku i we wszystkim, co dotyczy naszych zobowiązań, trzeźwo i z rozwagą; a jeśli nad wszystkim dobrze się zastanowisz, wiem że przyznać mi będziesz musiał palmę najwyższą prawości, rozsądku i prawdomówności.

Z tymi słowy pożegnała Andrzeja, on zaś z sercem pełnym udręczeń i uczuć najsprzeczniejszych, jął wyczekiwać świtu, aby wysłuchać spowiedzi rannego.

Jedno tylko mógł przypuszczać: że ów paź przyszedł do taboru zwabiony tam urodą Preciosy; wiadomo bowiem, że swój swego i w piekle pozna. Z drugiej strony słowa Preciosy takie wzbudziły w nim zaufanie do jej prawości, że postanowił od tej chwili, zbywszy podejrzeń, złożyć całkowicie losy swoje w jej ręce.

Doczekał się wreszcie Andrzej brzasku (choć zdało mu się, że dłużej niż zazwyczaj dał na siebie czekać): odwiedził pokąsanego, wypytał go o imię, cel podróży i przyczynę, dla której tak późno z dala od traktu głównego przebywał; przede wszystkim jednak zapytał, jak się czuje i czy mu rany jeszcze dokuczają. Młodzieniec odrzekł mu na to, że czuje się lepiej i ból w nodze ustał całkowicie, tak że mógłby niezwłocznie puścić się w dalszą drogę. Na pytanie tyczące się jego osoby i celu podróży tyle jeno odpowiedział, że nazywa się Alonso Hurtado i zmierza do kościoła Najświętszej Marii Panny z La Roche, we Francji, gdzie pewną sprawę zamierza załatwić; dodał, że wędruje nocą, aby prędzej dojść do celu swej podróży i oto zbłądziwszy, znalazł się przypadkowo wśród taboru, gdzie psy nań napadły; reszta była Andrzejowi wiadoma.

Nie przekonała Andrzeja taka odpowiedź i zdało mu się raczej, że wszystko to było czczym wymysłem. Poprzednio podejrzenia poczęły mu w sercu nurtować, rzekł przeto:

– Bracie mój, gdybym był sędzią, a tobie przyszło za występek jakiś przeze mnie być sądzonym i gdybym zadać ci musiał te same, co teraz pytania, odpowiedź którą dałeś, zmusiłaby mnie, abym przycisnął cię do muru. Nie chcę wiedzieć, kim jesteś, jak się nazywasz, ani dokąd idziesz; ale na to zwrócę ci uwagę, że jeśli wypada ci ukrywać cel twojej wędrówki, zręczniej mógłbyś kłamać: mówisz, że idziesz do La Roche we Francji, a miejscowość tę zostawiasz po prawej ręce, o jakieś trzydzieści mil wstecz, za sobą; wędrujesz nocą, aby dojść rychlej do celu, a zbaczasz z traktu i błądzisz wśród zarośli i lasów dębowych, gdzie nie ma nawet ścieżki, a cóż dopiero drogi. Wstań, przyjacielu, naucz się kłamać i idź sobie z Bogiem. Ale w zamian za dobrą radę, jaką ci daję, nie zechceszże wyznać mi bez ogródek jednej rzeczy? Przeczuwam, że powiesz mi prawdę, skoro kłamiesz tak nieudolnie. Powiedz mi, czy nie jesteś tym samym na wpół paziem, na wpół szlachcicem, którego widywałem w stolicy? Cieszyłeś się pono sławą wielkiego poety i napisałeś jakieś romance i sonet na cześć pewnej Cyganki, która niedawno chodziła po Madrycie, gdzie zasłynęła swą pięknością niepospolitą. Powiedz mi całą prawdę, a przyrzekam ci pod słowem szlachcica i Cygana, że zachowam tajemnicę, jeśli tego ode mnie zażądasz. Wiedz, że na nic nie zda ci się przeczyć i zapewniać mnie, że nie jesteś tym, o którym mówię, bo nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że tę samą twarz oglądałem w Madrycie, którą teraz widzę. Zapewne sława twego niepospolitego talentu uczyniła, że częstokroć przyglądałem ci się uważnie, jako człowiekowi wybitnemu; toteż oblicze twoje tak wyryło się w mojej pamięci, że teraz nawet, gdy odmienne nosisz szaty, poznałem cię bez trudu. Nie mieszaj się, wysłuchaj mnie bez trwogi: wiedz, że przyszedłeś nie do kryjówki złodziei, ale do schroniska, które będzie dla ciebie przytułkiem i obroną przeciw twym wrogom. Przypuszczam ja jedną rzecz, a jeśli jest w istocie, jak myślę, za łaskę losu poczytywać sobie możesz, że ze mną się spotkałeś. Przypuszczam tedy, że zakochałeś się w Preciosie (tej samej pięknej Cygance, dla której wiersze pisałeś) i poszedłeś jej szukać po świecie, co w moich oczach bynajmniej cię nie poniża, lecz raczej chlubę ci przynosi. Bo choć Cyganem jestem, wiem jak daleko sięga wszechmożna władza miłości i przez jak zmienne koleje przechodzą ci, którzy dostali się pod jej panowanie i jej prawom są posłuszni. Jeśli jest, jak mówię, a nie wątpię, że tak jest w istocie, wiedz że Cyganka twoja mieszka pośród nas.

– Tak – rzekł pokąsany – wiem, że Preciosa jest tutaj, gdyż tej nocy ją widziałem.

Usłyszawszy te słowa, Andrzej zmartwiał cały, zdawało mu się bowiem, że odpowiedź ta była potwierdzeniem wszystkich jego przypuszczeń. Młodzieniec tymczasem ciągnął dalej:

– Widziałem ją tej nocy, ale nie odważyłem się powiedzieć, kim jestem, gdyż nie było to miejsce po temu.

– Tak więc – rzekł Andrzej – jesteś istotnie poetą, o którym mówiłem?

– Tym samym jestem – odparł zapytany – nie mogę i nie chcę temu przeczyć. Być może, iż w tym właśnie miejscu, gdzie się zgubionym być mniemałem, sądzone mi było znaleźć me zbawienie, jeśli lasom nieobca jest przyjaźń, a górom gościnność.

– Niewątpliwie – odparł Andrzej – my zaś, Cyganie, umiemy dotrzymać tajemnicy jak nikt na świecie. Tak tedy możesz mi zaufać i otworzyć przede mną twe serce, a w moim znajdziesz zawsze szczerą życzliwość. Preciosa jest bliską moją krewną i posłuszna mi będzie, cokolwiek zechcę z nią uczynić; jeślibyś chciał ją za małżonkę, i ja, i wszyscy jej krewni przyjmiemy cię z radością na męża dla niej; jeśli chcesz z niej uczynić twą przyjaciółkę, nie będziemy się krzywili, pod warunkiem jednak, że będziesz miał pieniądze, gdyż chciwość zawsze i wszędzie nam towarzyszy.

– Pieniędzy sporo posiadam – rzekł młodzieniec. – W rękawach tej oto koszuli, którą przewiązaną mam przez ramię, spoczywa czterysta dukatów złotych.

Tu Andrzej po raz drugi zaniepokoił się śmiertelnie, wyobrażając sobie, że jego współzawodnik po to tyle pieniędzy zabrał ze sobą, aby odbić mu lub kupić jego zdobycz. Rzekł tedy, choć język plątać mu się zaczynał:

– Sporo to w rzeczy samej. Nic ci więcej nie pozostaje jak zdjąć maskę i dalejże do dzieła! Dziewczyna nie jest głupia i bez trudu pozna, że dobrze na tym wyjdzie, gdy zgodzi się zostać twoją.

– Niestety, przyjacielu mój! – zawołał młodzieniec – chcę, abyś wiedział, że gdy szaty pazia na ubiór młynarza przemieniłem, posłuszny byłem innym zgoła względom niż potędze miłości lub pragnieniu posiadania Preciosy; są bowiem w Madrycie samym ładne dziewczęta, które umieją sercem i duszą zawładnąć tak samo i lepiej jeszcze niż najpiękniejsze Cyganki, choć wyznać muszę, że uroda twej krewniaczki przewyższa wszystkie, jakie dotychczas oglądałem; jeśli widzisz mnie w tym stroju, wędrującego piechotą i przez psy pokąsanego, wiedz, że przyczyną tego nie miłość, lecz mój los nieszczęsny.

Słuchając tych słów, Andrzej jął z wolna odzyskiwać zachwianą pewność siebie w miarę wzrastającego prawdopodobieństwa, że zamiary chłopca inne były, niż on to sobie był uroił: pragnąc więc położyć kres nieporozumieniu, począł znowu zapewniać podróżnego, iż całkowicie może mu zaufać i opowiedzieć swe przygody, a ten odezwał się wreszcie w te słowa:

– Mieszkałem w Madrycie u pewnego dworzanina, któremu służyłem nie jako panu, ale jako krewnemu. Ten miał syna, jedynego spadkobiercę, który ze względu zarówno na więzy krwi, jakie nas ze sobą łączyły, jak i na to, żeśmy rówieśnicy byli i jedne mieli upodobania, postępował ze mną jak z bratem i żyliśmy w wielkiej ze sobą przyjaźni. Zdarzyło się, że ów młodzieniec zakochał się w pewnej pannie z dobrej rodziny i niewątpliwie byłby ją chętnie pojął za żonę, gdyby, jako dobry syn, nie musiał woli swej zastosować do wymagań swych rodziców, którzy pragnęli dla niego lepszego ożenku. Mimo wszystko jednak składał jej hołdy w tajemnicy przed wejrzeniami tych, których języki mogłyby rozgłosić publicznie jego upodobania; jedynie moje oczy były świadkami jego zamierzeń. Pewnej tedy nocy, którą los wybrał chyba umyślnie, aby nas unieszczęśliwić, gdy przechodziliśmy razem ulicą koło domu, gdzie owa panna mieszkała, ujrzeliśmy stojących u wejścia dwóch mężczyzn – jak nam się zdało, rosłych i silnych. Krewny mój chciał przekonać się, jacy byli owi ludzie, lecz ledwie kilka kroków ku nim postąpił, chwycili obaj za szpady i puginały i skierowali się w naszą stronę, my zaś również dobyliśmy broni i skrzyżowały się nasze miecze. Walka krótką trwała chwilę: rychło nie stało nam przeciwników, gdyż położyliśmy ich trupem dwoma pchnięciami naszych mieczów (dziwny i niebywały wypadek). Gdy takie niepożądane zwycięstwo odniosły – zazdrość mego krewnego i moja, pomocna mu ręka – wróciliśmy do domu i zabrawszy ze sobą wszystkie pieniądze, jakie mogliśmy zagarnąć, udaliśmy się potajemnie do klasztoru świętego Hieronima, gdzie postanowiliśmy przeczekać do rana, aż

wykryją zabójstwo i okaże się, na kogo padną podejrzenia. Dowiedzieliśmy się wkrótce, że na nas żadne nie ciążyły poszlaki, a przezorni zakonnicy poradzili nam, abyśmy wrócili do domu i nieobecnością naszą nie wzbudzali podejrzeń. Jużeśmy byli postanowili do tych rad się zastosować, gdy zawiadomiono nas, że żandarmeria aresztowała we własnym ich domu rodziców panny i ją samą i że spośród służby, która poczyniła zeznania, jedna pokojówka powiedziała, iż pani jej we dnie i nocą częste przechadzki odbywała w towarzystwie mojego krewnego. Poczęto tedy nas szukać, a gdy znaleziono tylko liczne ślady naszej ucieczki, w całej stolicy rozeszła się wieść o naszej winie i uważano nas powszechnie za zabójców dwóch szlachciców (gdyż szlachcicami byli i z najpierwszych rodów). Wreszcie (ile że takie było zdanie hrabiego, mego krewnego i zakonników), przebywszy dwa tygodnie w klasztorze postanowiliśmy innej szukać kryjówki. Mój towarzysz, wraz z jednym z mnichów, przywdziawszy habit zakonny, poprzez Aragon skierował się do Włoch, zamierzając udać się stamtąd do Flandrii i zastosować się później do obrotu, jaki by wzięła sprawa. Ja postanowiłem rozstać się z nim, aby losy nasze odmienne były i niezależne od jednej tylko drogi, którą byśmy do odwrotu wybrali. W inną tedy skierowałem się stronę i przedzierzgnąwszy się w pachołka klasztornego, wyszedłem w towarzystwie jednego z zakonników, który opuścił mnie w Talawerze. Stamtąd aż tutaj doszedłem sam, wędrując wciąż z dala od wielkich dróg i oto wczorajszej nocy znalazłem się wśród tych dębów, gdzie zdarzyło mi się wiadome ci już nieszczęście. Jeśli zaś pytałem o drogę do La Roche, uczyniłem to w tym jedynie celu, aby coś odpowiedzieć na pytanie, gdyż doprawdy nie wiem nawet, gdzie leży La Roche, choć przypominam sobie, że wyżej znajdować się musi od Salamanki.

– Istotnie – rzekł Andrzej – pozostawiłeś La Roche za sobą po prawej ręce i o dwadzieścia mil prawie od miejsca, gdzie się znajdujemy; widzisz więc jak prostą zmierzałeś drogą, jeśli tam się kierowałeś!

– Zamierzałem właściwie – odparł chłopiec – udać się do Sewilli, gdzie mieszka pewien możny genueńczyk, serdeczny przyjaciel hrabiego, mego krewnego: posyła on często do Genui wielkie ładunki srebra i chcę go prosić, by wyprawił mnie wraz z załogą, która ładunkom tym zwykła towarzyszyć. W ten sposób będę mógł niewątpliwie dostać się do Kartageny, a stamtąd do Włoch, wkrótce bowiem nadejść mają dwie wielkie galery po nowy transport srebra. Oto, druhu miły, moja historia; przyznaj sam: wszak śmiało twierdzić mogę, że owocem jest raczej nieszczęsnego losu niźli fantazją miłosną. Otóż, jeśli zechcecie, panowie Cyganie, towarzyszyć mi aż do Sewilli, skoro również tam zmierzacie, wynagrodzę was sowicie, przypuszczam bowiem, że w waszym towarzystwie wędrując czułbym się bezpieczniejszy niż teraz, kiedy ciągły lęk mnie płoszy.

– Chętnie wezmą cię moi towarzysze ze sobą – odparł Andrzej – a jeśli nie pójdziesz z naszym taborem (gdyż nie wiem jeszcze, czy do Andaluzji zmierzamy), przyłączymy cię do innego, z którym powinniśmy spotkać się za dwa lub trzy dni; oddając im zaś część pieniędzy, które masz przy sobie, unikniesz jednocześnie innych, większych przykrości.

Z tymi słowy Andrzej opuścił go i poszedł zdać reszcie Cyganów relację z opowieści chłopca i jego zamiarów, a nie omieszkał wspomnieć o sowitej zapłacie i wynagrodzeniu, jakie obiecywał. Wszyscy radzili, aby zatrzymać go w taborze; jedna tylko Preciosa sprzeciwiała się temu, babka jej zaś oświadczyła, że nie może iść do Sewilli ani w okolice, gdyż o kilka lat wcześniej spłatała tam była figla pewnemu czapnikowi zwanemu Triguillos, a który dobrze był znany w mieście całym. Kazała go, mianowicie, pogrążyć, nagiego z wieńcem cyprysowym na głowie, w kadzi pełnej wody i w takiej pozycji czekać miał aż północ wybije na zegarze; następnie miał wyjść z kadzi, aby wykopać z ziemi wielki skarb, który wedle zapewnień Cyganki, znajdował się jakoby ukryty w pewnej części jego domu. Gdy dobroduszny czapnik usłyszał, że dzwonią na jutrznię, z takim pośpiechem jął wydobywać się ze swej kąpieli, że przewrócił się na ziemię wraz z kadzią, potłukł się i

pokaleczył skorupami, przy czym zawartość kadzi wylała się i nieborak pozostał na wpół pogrążony w wodzie, wołając, że tonie. Przybiegła tedy żona i sąsiedzi ze światłem i ujrzeli go na środku pokoju, czyniącego niby ruchy pływaka: sapał, ciągnął brzuch potężny po podłodze i machał rozpaczliwie nogami i rękoma, wołając wielkim głosem: „Ratunku, ludzie! tonę, tonę!" Taki go strach ogarnął, że myślał istotnie, iż tonie. Wyłowiono go wreszcie, usunięto niebezpieczeństwo, czapnik przyszedł do siebie i opowiedział, jakiego figla Cyganka mu wypłatała.

– Mimo wszystko – dodała stara – wykopał we wskazanym miejscu dół na sześć stóp głęboki, choć mówili mu wszyscy, że tylko zadrwić sobie z niego chciałam. I gdyby nie sąsiad, który przeszkodził mu w robocie, bowiem, kopiąc tak bez miary posad domu już sięgał, byłyby się pewno oba budynki zawaliły i pogrzebały go w swych gruzach. Przygoda ta głośną stała się w mieście i wkrótce nawet chłopcy uliczni pokazywali go palcami, opowiadając o jego łatwowierności i moim figlu.

Tą opowieścią objaśniła stara Cyganka, dlaczego nie może iść do Sewilli.

Cyganie, którzy wiedzieli już od Andrzeja, że młodzieniec ma przy sobie sporo pieniędzy, przyjęli go bez trudu do swego towarzystwa, zobowiązali się czuwać nad nim, ukrywać go do czasu, jaki sam wyznaczy i postanowili zboczyć na lewo kierując się w ten sposób do La Mancha i królestwa Murcji. Zawołali tedy chłopca i zdali mu sprawę z tego, co postanowili dla niego uczynić. On podziękował, że go do swego grona przyjęli i dał im sto dukatów złotych, aby rozdzielili je między sobą. Datek ten tak rozbroił Cyganów, że z wyniosłych stali się łagodni jak owieczki. Jedna tylko Preciosa niezbyt zdawała się zadowolona z przyjęcia, jakie zgotowano Don Sanchowi (tak bowiem młodzieniec powiedział, że się nazywa, ale Cyganie przechrzcili go na Klemensa i zawsze później nazywali tym imieniem). Również Andrzejowi markotno nieco było, że Klemens ma z nimi pozostać, gdyż zdawało mu się, że bez wielkiej potrzeby zaniechał swych pierwotnych postanowień; ten jednak, jak gdyby czytał w jego myślach, oświadczył między innymi, że nader chętnie pójdzie do królestwa Murcji, blisko bowiem będzie mu stamtąd do Kartageny, a ta okoliczność, w razie rychłego przybycia galer, których oczekiwał, w znacznej mierze ułatwić mu miała podróż do Włoch. Wreszcie, chcąc mieć go bardziej na oku, patrzeć z bliska na jego czyny i śledzić myśli, Andrzej wyraził pragnienie, aby Klemens został jego nieodstępnym towarzyszem, on zaś odpowiedział, że poczytuje sobie ten znak przyjaźni za łaskę niepospolitą. Tak więc od dnia tego przebywali zawsze razem, a dukaty rzucali garściami: biegali, skakali i ciskali dyskiem lepiej niż którykolwiek z Cyganów; rychło rozkochały się w nich Cyganki, a przez Cyganów szanowani byli ponad wszelką miarę.

Opuścili tedy Estremadurę i przekroczyli granicę prowincji La Mancha, kierując się z wolna ku królestwu Murcji. We wszystkich wsiach i zagrodach, które spotykali po drodze, odbywały się turnieje gry w piłkę, szermierki, biegu, skoków, rzucania dyskiem i innych popisów siły i zręczności, a wszędzie zwycięzcami byli Andrzej i Klemens, co o Andrzeju samym już wyżej powiedziano. Przez cały ten czas, czyli przez miesiąc z górą, nigdy Klemensowi nie nadarzyła się sposobność, której sam zresztą nie szukał, aby przemówić mógł do Preciosy; aż pewnego dnia, gdy Cyganka i Andrzej stali sami na stronie, Klemens zawołany przez nich przyłączył się do rozmowy i Preciosa odezwała się:

– Od pierwszej chwili, kiedy przybyłeś do naszego taboru, poznałam cię, Klemensie i przypomniały mi się wiersze, które dałeś mi w Madrycie; nic jednak wówczas nie powiedziałam o tym, gdyż obce mi były zamiary, które cię do nas przywiodły. Gdy dowiedziałam się o nieszczęściu, jakie cię spotkało, ciężko zrobiło mi się na duszy i niepokój jakiś wkradł się do serca, pomyślałam bowiem, że zarówno jak Jan może stać się Andrzejem, zdarzyć się może, iż Don Sancho imię swoje na inne przemieni. Mówię ci to, gdyż wiem od Andrzeja, że powiedział ci już swe prawdziwe nazwisko i zwierzył się przed tobą ze swych zamiarów (w rzeczy samej opowiedział był Klemensowi swe przygody, co pozwalało mu

teraz dzielić się z nim myślami). Nie myśl, że poznawszy cię, mało ci się przysłużyłam, gdyż dzięki szacunkowi, jakim wszyscy mnie tu otaczają i pochlebnemu zdaniu, które o tobie wyraziłam, bez trudu znalazłeś u nas przytułek i dobre przyjęcie: oby ten pobyt twój między nami jak najlepsze miał dla ciebie skutki. Chcę tedy, abyś wywdzięczył mi się za tę moją dla ciebie życzliwość, nie obrzydzając Andrzejowi jego przedsięwzięcia i abyś mu nie przekładał, iż niegodną jest rzeczą prowadzić nadal to życie tułacze; bo choć przypuszczam, że na zawory mojej woli zamknięte są jego pragnienia, przykro by mi jednak było uchwycić w nim najdrobniejszy znak żalu za czyn, który dla mnie popełnił.

Odrzekł jej na to Klemens:

– Nie myśl, Precioso jedyna, że Jan lekkomyślnie postąpił powierzając mi swą tajemnicę. Ja sam pierwej go poznałem, on zaś spojrzeniami własnych oczu zdradził już był przede mną swe zamiary; sam pierwej powiedziałem mu jego prawdziwe imię i odgadłem bez trudu, pod jakim jarzmem ugięła się jego wola, a on darząc mnie zaufaniem, na które rzetelnie sobie zasłużyłem, mojemu milczeniu powierzył swą tajemnicę: on sam niechaj będzie świadkiem, iż pochwaliłem jego postanowienie i wybór środków, jaki uczynił, aby dopiąć celu. Nie jestem bowiem, Precioso, tak krótkowzroczny, abym nie miał zrozumieć, jak daleko sięga władza gładkiego oblicza; twoja zaś uroda, ile że przekracza granice wszelkiej ziemskiej doskonałości, wystarcza, aby rozgrzeszyć winowajcę z największych błędów, jakie dla ciebie popełnił, jeśli błędami nazwać można te, które tak niepokonanych przyczyn są wynikiem. Dzięki ci, pani, za wszystko, co powiedziałaś o mnie, aby mi wstęp do kompanii tej ułatwić: wywdzięczę ci się życząc wam obojgu, aby to miłosne zagmatwanie szczęśliwie doprowadziło was do celu, abyś ty z Andrzejem twoim zasłużonej zażyła rozkoszy, Andrzej zaś ze swą Preciosą, za zgodą swych rodziców i aby w oczach naszych z tak dorodnego związku powstały najpiękniejsze latorośle, jakie wydać może przezorna matka-natura. Oto czego ci życzę, Precioso, a to samo zawsze powtarzać będę twemu Andrzejowi i przekonana być możesz, że nie usłyszy on ode mnie jednego słowa, które by zdolne było odwrócić go od jego rozsądnych postanowień.

W tak wyborne szaty ubrał Klemens swą przemowę, że Andrzej nie wiedział, czy zakochany przed nim stoi, czy pochlebca; tak lotna jest bowiem piekielna choroba zazdrości, że czepia się nawet okruszyn słonecznego pyłu, a zakochany cierpi i rozpacza, gdy któraś z nich dotknie przedmiotu jego miłości. Mimo wszystko jednak, Andrzej nie dopuścił do siebie uczucia zazdrości, ufny raczej w dobroć Preciosy niż w swą szczęśliwą gwiazdę; zawsze bowiem tak bywa, że zakochani uważają się za nieszczęśliwych, póki nie osiągną celu swych pragnień. Wreszcie Andrzej i Klemens byli towarzyszami i serdecznymi przyjaciółmi: nikt przy tym wątpić nie mógł ani o dobrych zamiarach Klemensa, ani o umiarkowaniu i skromności Preciosy, która nigdy nie dała Andrzejowi powodów do zazdrości.

Klemens rozmiłowany był w poezji, czego dowodem wiersze, które dał Preciosie, a Andrzej rymy czasem składał, obydwaj zaś byli wielkimi zwolennikami muzyki. Zdarzyło się tedy, że pewnego wieczoru, gdy stali obozem w dolinie, o cztery mile od granicy Murcji, Andrzej usadowił się u stóp moreli, a Klemens pod dębem, ujęli obaj gitary w dłonie i dla rozrywki, zachęceni ciszą nocną, zaśpiewali, odpowiadając sobie kolejno następujące wiersze:

A n d r z e j

Spojrzyj, Klemensie, na te gwiazd miriady,
Które tak niebo złocą,
Że noc już nie jest nocą
I że dzień przy niej zda się prawie blady:
W tym wzorze ujrzysz snadnie,

Jeśli twój umysł te rzeczy odgadnie,
Że to kochanki szata,
Gdzie się przesila wszelkie piękno świata.

K l e m e n s

Gdzie się przesila wszelkie piękno świata
I gdzie nieoceniona
Pani białego łona,
Dobroci pełna młode pędzi lata.
Tam wieczne płoną zorze,
Ale myśl ludzka sięgnąć jej nie może,
Gdy nie ma na swej pieczy
Wzniosłych i dziwnych, i cudownych rzeczy.

A n d r z e j

Wzniosłych i dziwnych, i cudownych rzeczy...
O, niebywałe słowa!
Niewysłowiona mowa,
Która, jak balsam, chore serce leczy.
O**,** Cyganko, twe imię
Tak jest podziwu godne i olbrzymie,
Że słów mu już nie trzeba,
Aby błyszczało wśród ósmego nieba.

K l e m e n s

Aby błyszczało wśród ósmego nieba
Jest pragnień naszych celem,
Gdy pod jej nogi ścielem
Pieśni, zaiste, godne uczcić Feba:
Dźwięk bowiem jej imienia,
Muzykę niecąc, błogość zapomnienia
Wszem zmysłom pozostawi,
Serce pocieszy i pobłogosławi.

A n d r z e j

Serce pocieszy i pobłogosławi
Syreny dźwięczne pienie,
Gdy ponad wód szemrzenie
Rzewnie płynące, senne dzieje prawi:
Toż i Cyganka młoda,
Której najmniejszą chlubą – jej uroda,
Mojego serca dziecię –

Gwiazdą wśród nieba, motylem na kwiecie.

K l e m e n s

Gwiazdą wśród nieba, motylem na kwiecie
Nadobna jest Preciosa,
Z porankiem – świeża rosa,
Zefir w upalnym igrający lecie;
Lecz czasem, na kształt gromu,
W niewinne serce godzi po kryjomu,
Przemienia lód w płomienie,
A śmierć nam niosąc, gasi w nas pragnienie.

Zdawało się, że wolny wędrowiec i w kajdany miłosne okuty Andrzej, nierychło zaprzestaną swych śpiewów, gdy nagle za ich plecami rozległ się głos Preciosy, która usłyszała ich była z daleka. Umilkli więc pieśniarze, wstrzymali oddech i słuch natężyli: Preciosa z niewysłowionym wdziękiem, jak gdyby w odpowiedzi na ich słowa, śpiewała (nie wiem, czy przez nią samą naprędce ułożone, czy też z góry przygotowane) następujące zwrotki:

Gdy w miłosnej tej przygodzie
Serce moje się lubuje,
Więcej zasług przypisuję,
Cnocie mojej niż urodzie.

Najskromniejsze drzewko boże,
Jeśli stale rośnie w górę,
Przez wzrost własny, czy naturę,
Aż do nieba sięgnąć może.

Jam miedziane jest naczynie
Polewane kruszcem cnoty,
Które, lśniąc się jak sprzęt złoty,
Zbytkiem bogactw nie zasłynie.

Ani cieszy mnie, ni boli
Cudza miłość albo wzgarda,
Bowiem losu ręka twarda
Mojej musi słuchać woli.

Co należy do mnie – czynię:
Prosta życia mego droga;
Reszta leży w ręku Boga,
A sąd jego mnie nie minie.

Wiedzieć chcę, czy gładkie lice
Takie miewa przywileje,
Że i ja tam zajaśnieję,
Gdzie mieszkają anielice.

Gdy są równe między sobą
Dusze, pana czy prostaka,
Będzie mogła byle jaka
Wśród królewskich być ozdobą.

Jeden tylko żal mam w łonie,
A ten jest mi w gardle kością,
Że majestat wraz z miłością
Nie na jednym siada tronie.

Umilkła Preciosa, zaś Klemens i Andrzej powstali, aby ją powitać. Rozmawiali później poważnie długą chwilę, a Cyganeczka w słowach swoich okazała tyle rozumu i dowcipu, że Klemens pojął nareszcie, jakim pobudkom posłuszny był jego towarzysz, gdy zamiary swe począł w czyn wprowadzać, gdyż do owej chwili śmiałe postanowienie Andrzeja w cichości ducha przypisywał raczej jego młodym latom niż dojrzałej rozwadze.

***

Nazajutrz wczesnym rankiem zwinięto namioty i tabor przeniósł się do pewnej miejscowości w okręgu Murcji położonej, a odległej od miasta o trzy mile. Tam spotkała Andrzeja przygoda, w której o mały włos życia nie postradał. Gdy według zwyczaju dano już alkadowi miejscowemu na zastaw kilka urn i srebrnych przedmiotów, Preciosa ze swą babką, Krystyną i dwiema jeszcze Cygankami, a także Klemens i Andrzej, zamieszkali w gospodzie należącej do pewnej bogatej wdowy, która miała córkę siedemnasto- czy osiemnastoletnią: córka bardziej swobodą obyczajów odznaczała się niż pięknością, a nazywała się Janina Carducha. Ta, gdy ujrzała tańce wykonywane przez Cyganki i Cyganów, została od diabła opętana i tak gwałtowną miłością zapałała do Andrzeja, że postanowiła zwierzyć mu się ze swego uczucia i nakłonić go, aby ją pojął za żonę, choćby wszyscy jej krewni mieli się temu opierać. Szukać więc jęła okazji, aby zamiary swoje mu wyjawić i znalazła ją wreszcie na podwórku, skąd Andrzej zabrać miał dwa młode osły. Gdy go ujrzała, zbliżyła się doń i pośpiesznie, aby przez nikogo nie zostać spostrzeżoną, rzekła:

– Andrzeju (znała już bowiem jego imię) – nie mam męża i jestem bogata, gdyż matka moja, prócz mnie, innych dzieci nie ma, a do niej należy ta gospoda; posiada też rozległe winnice pod miastem i cztery inne jeszcze domy. Spodobałeś mi się: jeśli chcesz pojąć mnie za żonę, mów prędko i jeśli rozsądny jesteś, pozostań ze mną, a przekonasz się, jakie życie razem będziemy prowadzili.

Zdumiał się Andrzej na te słowa i bez namysłu, zastosowując się w tym do życzenia Janiny, odparł jej:

– Panienko szanowna, zaręczony już jestem i po słowie; zresztą my, Cyganie, z Cygankami tylko się żenimy. Niech Pan Bóg waszmościankę wynagrodzi za łaskę, jaką chciała mi uczynić, ale jam jej niegodzien.

O mały włos nie padła zemdlona Janina, usłyszawszy z ust Andrzeja tę ostrą odmowę i zapewne byłaby mu odpowiedziała, gdyby w tejże chwili nie ujrzała wchodzących na podwórko Cyganek jakichś. Uciekła więc zawstydzona, namyślając się, w jaki sposób mogłaby zemsty dokonać.

Andrzej, ile że był rozważny, postanowił wziąć nogi za pas i umykać co żywo od tej okazji, którą sam diabeł mu nastręczał, gdyż w oczach dziewczyny wyczytał, że bez więzów małżeńskich się nie obejdzie, jeśliby chciał narzucić jej swoją wolę, a nie pragnął bynajmniej sam na sam z nią się zmierzyć; poprosił tedy Cyganów, aby tejże nocy opuścili miejscowość.

Oni zawsze posłuszni mu byli, i tym więc razem bez zwłoki zamiar w czyn wprowadzając, odebrawszy od alkada złożone na jego ręce fanty, ruszyli w drogę.

Panna Carducha widząc, że wraz z Andrzejem ulatuje jakoby połowa własnej jej duszy i że nie pozostaje jej dosyć czasu, aby upomnieć się mogła o spełnienie swych pragnień, postanowiła zmusić Andrzeja do pozostania w mieścinie, skoro woli jego nie umiała skłonić ku sobie. Sprawnie więc, w tajemnicy i z całą przebiegłością, jakiej tylko jej złe zamiary nauczyć ją mogły, poznawszy, które były rzeczy Andrzeja, umieściła między nimi cenny sznur korali, dwie tace srebrne i kilka innych drobiazgów ze swych kosztowności. Ledwo Cyganie opuścili gospodę, wszczęła alarm wołając, że złodzieje ci ukradli wszystkie jej klejnoty. Rychło, zwabieni krzykami, zjawili się przedstawiciele sprawiedliwości, a w ślad za nimi zbiegli się wszyscy mieszkańcy miasteczka. Cyganie zatrzymali się i jęli przysięgać, że do żadnej winy się nie poczuwają, wzywając obecnych, aby obejrzeli zawartość wszystkich wozów i wszystkie zapasy, jakie były w taborze. Zaniepokoiła się stara Cyganka, lękając się, aby przy tej rewizji nie odkryto błyskotek Preciosy i szat Andrzeja, które ona nader starannie i szczelnie w ukryciu przechowywała. Lecz poczciwa panna Carducha obawom tym rychło sama kres położyła, bo ledwo dwa tłomoki przetrząsnęli, poleciła ceklarzom, aby odszukali rzeczy należące do owego Cygana-tancerza, którego widziała dwukrotnie, jak wchodził do jej mieszkania, przypuszczała bowiem, że u niego znajdować się mogły skradzione przedmioty. Zrozumiał Andrzej, że o nim mowa i rzekł ze śmiechem:

– Panienko szanowna, oto moja garderoba i oto mój wierzchowiec z tłomokami. Jeśli wśród tych rzeczy znajdziesz waszmościanka swą własność, wynagrodzę ci szkodę w czwórnasób, a przy tym bez szemrania poddam się karze, która według prawa złodziejom grozi.

Poczęli więc przedstawiciele sprawiedliwości rozjuczać osła, otwierać tłomoki i wkrótce natrafili na zrabowane niby rzeczy. Andrzej tak zdumiał się na ten widok, że stanął jak wryty i słowa nie mógł przemówić.

– Cóż, nie odgadłam? – rzekła Janina – spójrzcie tylko na tę twarz poczciwą, pod którą kryje się złodziejska dusza.

Alkad miejscowy, który obecny był przy całej tej scenie, począł odgrażać się przeraźliwie Andrzejowi i wszystkim Cyganom, nazywając ich opryszkami i złodziejami wielkich dróg. Andrzej milczał zdumiony i gubił się w przypuszczeniach, nie podejrzewając ani na chwilę, aby podstęp był dziełem panny Carduchy. Zbliżył się doń tymczasem pewien żołnierz od innych strojniejszy, bratanek alkada i rzekł:

– Patrzcie mi go, jak się zamyśliło Cyganiątko, złodziejskie nasienie. Założyłbym się, że grymasy jeszcze będzie czynił i nie przyzna się do winy, choć wszelkie dowody mamy w ręku. Trzeba by was wszystkich na galery wsadzić: lepszą by minę miał taki nicpoń służąc Jego Królewskiej Mości niż teraz, kiedy tańcząc chodzi od wioski do wioski i kradnie po gospodach i zagrodach. Na honor żołnierski, chętnie bym go jednym szturchańcem do nóg sobie powalił.

To mówiąc żołnierz nagłym ruchem podniósł rękę i wymierzył Andrzejowi taki policzek, że wywiódł chłopca z odrętwienia i przypomniał mu, że nie nazywa się Andrzej Caballero, ale Jan i szlachetnym ród swój mieni. Rzucił się tedy na żołnierza i wyrwawszy mu w uniesieniu z pochwy własną jego szpadę, aż po rękojeść zanurzył mu ją w łono, tak że ugodzony śmiertelnie, padł na ziemię.

Tu dopiero na dobre rozległy się krzyki tłumu, tu gniewem zapłonął wuj alkad, omdlała Preciosa, a Andrzej zmieszał się widząc ją bez zmysłów. Wszyscy chwycili za broń i rzucili się ku zabójcy; wzrósł popłoch, wzmogły się krzyki, Andrzej zaś, zajęty cuceniem Preciosy, nie bronił się wcale; a Klemensa nie było przy tej nieszczęsnej scenie, gdyż wraz z wozami wyszedł już był z miasteczka. Wreszcie tak wielka chmara ludzi rzuciła się na Andrzeja, że w okamgnieniu został obezwładniony i w dwa potężne łańcuchy zakuty. Chętnie by alkad kazał

na miejscu go powiesić, gdyby mógł to uczynić: musiał jednak odesłać winowajcę do Murcji, gdyż zależny był od jej jurysdykcji. Wyprawiono Andrzeja dopiero nazajutrz, tymczasem zaś spędził dzień pełny męczarni i poniżeń, które znosić musiał od niecnego alkada, jego urzędników i mieszkańców miasteczka.

Alkad uwięził wszystkich Cyganów, jacy wpadli w jego ręce, ale większość umknęła, a między tymi znajdował się i Klemens, który lękał się, by go nie schwytano i nie poznano.

Następnego dnia, z raportem o zaszłych wypadkach i tłumem Cyganów, otoczeni licznym zastępem zbrojnych, alkad i jego urzędnicy wkroczyli do Murcji. Między innymi była i Preciosa, Andrzej zaś w łańcuchach, z rękami zakutymi w kajdany, jechał na mule. Wszyscy mieszkańcy Murcji wyszli na ich spotkanie, wiedziano już bowiem o zabójstwie żołnierza. Ale uroda Preciosy dnia tego tak rzucała się w oczy, że nie znalazłbyś między ciekawymi ani jednego, który by patrzył na nią i nie podziwiał. Wiadomość o przybyciu do miasta nadobnej Cyganki doszła do uszu pani korregidorowej, która zaciekawiona wymogła na swym mężu, aby jej jednej nie zamknięto w więzieniu. Wszyscy inni poszli pod klucz. Andrzeja zaś umieszczono oddzielnie w ciasnej celi; rychło mrok, jaki tam panował, a nade wszystko brak Preciosy, która dlań światłem była, w taki stan go wprawiły, że zdało mu się, iż do grobu chyba tylko będzie musiał stąd powędrować.

Preciosę wraz z jej babką przywiedli przed panią korregidorową, a ta, gdy ją ujrzała, rzekła:

– Prawdę mówią ci, którzy tak chwalą jej urodę.

Podszedłszy do niej tkliwie ją ucałowała i nie mogła nasycić się jej widokiem. Spytała starą Cygankę, ile lat dziewczyna mieć może.

– Piętnaście lat – odparła zapytana. – O dwa miesiące może się mylę, nie więcej.

– Tyle by miała teraz moja biedna Konstancja – rzekła korregidorowa. – Niestety, widok tej dziewczyny przypomniał mi mój los nieszczęsny.

Tu Preciosa jęła korregidorową po rękach całować i zalewając się łzami, zawołała:

– Pani, Cygan, którego uwięziono, jest bez winy, bo tamci wywiedli go z cierpliwości: nazwano go złodziejem, a nic nie ukradł; uderzono go w twarz, a w twarzy tej odzwierciedla się jeno dobroć jego serca. Zaklinam cię na Boga, pani, uczyń, aby osądzono go sprawiedliwie: niechaj pan korregidor nie kwapi się z wymiarem kary, którą prawo mu grozi. A jeśli w oczach twoich łaskę znalazła moja uroda, zachowaj mi ją zachowując życie uwięzionemu, bo jeśli jego stracę, jednocześnie i na mnie wyrok śmierci padnie. On przeznaczony mi jest na małżonka, a przeszkody niepośledniej wagi sprawiły, żem dotychczas mu jeszcze ręki nie oddała. Jeśli pieniędzy potrzeba, aby uzyskać dlań przebaczenie skarżącej strony, sprzedamy przez licytację publiczną cały nasz tabor i zapłacimy więcej, niż będą mogli od nas zażądać. O pani, jeśli wiesz, czym jest miłość, jeśli czułaś ją kiedy w sercu, jeśli i dziś jeszcze swego męża kochasz, zlituj się nade mną, gdyż kocham tego, który mi przeznaczony, całym moim sercem i duszą.

Przez cały czas, gdy to mówiła, Preciosa ani na chwilę nie puszczała rąk korregidorowej ani odrywała wzroku od jej oczu, lejąc przy tym obficie gorzkie łzy bólu i skargi.

Tymczasem nadszedł pan domu, a zastając swą żonę i Preciosę, obie we łzach całe i uściskiem splecione, stanął zdumiony zarówno ich płaczem jak pięknością Cyganki. Zapytał, jaka była tej rozpaczy przyczyna, a Preciosa nie dała mu czekać na odpowiedź, bo puściwszy ręce korregidorowej rzuciła się do nóg korregidora, wołając:

– Panie, litości! Jeśli narzeczony mój umrze, mnie z nim razem zaniosą do grobu. Niewinny jest, ale jeśli winien, niechaj na mnie spadnie kara; a jeśli to być nie może, niechaj przynajmniej sprawa zostanie odłożona, aż znajdzie się sposób przywrócenia mu wolności. Temu, który złą wolą nie zgrzeszył, z łaski nieba przyjść może ocalenie.

Nowym zdumieniem napełniły korregidora rozsądku pełne słowa Cyganki i gdyby nie był się lękał miękkości serca okazać, wraz z nią zalałby się łzami.

Stara Cyganka tymczasem zdawała się ważyć w myśli wielkie a dziwne *rzeczy* i wreszcie, po długim namyśle, rzekła:

– Niechaj waszmoście, państwo moi, poczekają chwilę: postaram się ja, aby ten płacz w śmiech się obrócił, choćbym to miała życiem przypłacić.

To rzekłszy wyszła śpiesznie, pozostawiając obecnych zmieszanych i zdziwionych jej słowami.

W oczekiwaniu aż stara powróci, ani na chwilę nie zaprzestawała Preciosa łez i błagań i myśląc, jak by przysłużyć się sprawie narzeczonego, powzięła już była zamiar zawezwać jego ojca. Tymczasem zjawiła się stara Cyganka z niewielką szkatułką pod pachą i rzekła korregidorowi i jego żonie, aby wraz z nią weszli do sąsiedniej komnaty, zamierzała bowiem w tajemnicy wielkie wyjawić im rzeczy. Korregidor myśląc, że chce mu wyjawić jakieś kradzieże przez Cyganów popełnione, wraz z nią i swą żoną przeszedł do garderoby, gdzie Cyganka, rzuciwszy się przed nimi na kolana, rzekła:

– Jeśli dobra wieść, którą wam niosę, nie wystarczy, aby wyjednać mi przebaczenie za wielki grzech, jaki popełniłam; gotowa jestem bez szemrania przyjąć karę, którą postanowicie mi wymierzyć. Ale zanim wam rzecz całą wyjawię, chciałabym, abyście mi waszmość państwo powiedzieli, czy znacie te przedmioty.

Tu wręczyła korregidorowi szkatułkę, którą przyniosła ze sobą, on zaś, otworzywszy ją, ujrzał wewnątrz jakieś błyskotki dziecięce, nie mógł jednak zrozumieć, co by mogły oznaczać te przedmioty. Rzuciła też na nie okiem pani korregidorowa, ale i ona nic pojąć nie mogła. Rzekła więc tylko: – Muszą to być ozdoby jakiegoś małego dziecka.

– Tak jest istotnie – odparła Cyganka – a do jakiego dziecka należą, dowiecie się waszmość państwo z pisma, które na tym złożonym papierze się znajduje.

Korregidor skwapliwie rozłożył papier i przeczytał:

„Dziewczynka nazywała się Donna Konstancja de Acevedo y de Meneses, jej matka – Donna Guiomar de Meneses, ojciec – Don Fernando de Acevedo, kawaler orderu Calatravy. Porwałam ją w dniu Wniebowstąpienia Pana naszego Jezusa Chrystusa, o godzinie ósmej rano, roku tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego piątego; miała dziewczynka na sobie ozdoby, które w tej szkatułce się znajdują".

Ledwo korregidorowa usłyszała, co pismo opiewało, poznała drobiazgi, które przed nią leżały, podniosła je do ust i, wycałowawszy je po tysiąc razy, padła zemdlona. Rzucił się ku niej korregidor nie pytając nawet Cyganki o swą córkę, ona zaś, gdy zmysły odzyskała, rzekła:

– Poczciwa kobieto, aniele raczej niż Cyganko! Gdzież jest właściciel tych błyskotek, gdzie, mówię, dziecina, do której należą te przedmioty?

– Gdzie jest, pani? Ależ w tym domu – odparła stara – toż to owa Cyganeczka, która przed chwilą łzy ci z oczu wycisnęła, a z wszelką pewnością powiedzieć mogę, że jest córką waszmościny, gdyż z twego domu ją wykradłam w dniu i godzinie, które na piśmie są wymienione.

Na te słowa korregidorowa zrzuciła sandałki, które miała na nogach, i pędem pobiegła do sali, gdzie pozostawiła była Preciosę. Zastała ją otoczoną ochmistrzyniami i służebnicami i jeszcze płaczącą. Rzuciła się ku niej i nie wymówiwszy ani słowa, skwapliwie jęła odpinać jej stanik. Spojrzała, czy ma poniżej lewej piersi rodzaj małego znamienia białego, z którym na świat przyszła i znalazła je bez trudu, a było już duże, urosło bowiem z wiekiem; następnie niemniej skwapliwie rozzuła ją i ukazała się noga śnieżnej białości, jak z marmuru wykuta: znalazła korregidorowa to, czego szukała, ujrzała bowiem, że dwa ostatnie palce prawej nogi częściowo były zrośnięte, którego to zrośnięcia nie chcieli przeciąć w dzieciństwie, aby jej bólu nie sprawić. Znak pod piersią, palce u nogi, błyskotki, dzień porwania, wyznanie Cyganki, wreszcie wzruszenie i radość, jakie ogarnęły rodziców, gdy ją ujrzeli, utwierdziły korregidorową w przekonaniu, że Preciosa była w istocie jej córką; toteż chwyciwszy

dziewczynę w ramiona, pociągnęła ją za sobą do komnaty, gdzie znajdowali się korregidor i Cyganka. Preciosa dała się unieść, zdumiona i zakłopotana, nie wiedziała bowiem, w jakim celu poddano ją tym wszystkim próbom i czemu korregidorowa niesie ją teraz w swych objęciach i okrywa pocałunkami. Znalazła się wreszcie Donna Guiomar, wraz ze swym cennym ciężarem, przed obliczem swego małżonka i rzucając Preciosę w objęcia korregidora, rzekła:

– Oto, panie, twa córka, Konstancja. Ona to bez wątpienia, gdyż widziałam obydwa znaki: i między palcami, i pod piersią. Zresztą mówiło mi o tym własne serce od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzałam.

– Nie wątpię o tym wcale – rzekł korregidor ściskając Preciosę – gdyż i moje serce to samo odgadło. A zresztą, cudem chyba tyle znaków nieomylnych mogło się skupić na niej.

Domownicy tymczasem chodzili zadziwieni pytając jedni drugich, co by to wszystko znaczyć miało i najrozmaitsze czynili domysły, ale wszystkie dalekie były od prawdy. Któż by bowiem przypuszczał, że ta Cyganka młoda była pańską córką?

Korregidor polecił swej żonie, starej Cygance i Preciosie, aby całe wydarzenie zachowały w tajemnicy, póki on sam wszystkiego nie wyjawi. Oznajmił również starej, że wybacza jej krzywdę, jaką mu wyrządziła wydzierając mu połowę jego duszy, gdyż na takie przynajmniej wynagrodzenie zasłużyła sobie zwracając mu ten skarb nieoceniony. Dodał, że jedno go tylko boli: iż wiedząc, jakiego rodu była Preciosa, zaręczyła ją z Cyganem, a przy tym ze złodziejem i mordercą.

– Ach, ojcze panie! – zawołała Preciosa – nie jest on Cyganem ani złodziejem, choć prawda to, że zabił człowieka. Ale ten, którego zgładził ze świata, zbezcześcił go: nie mógł więc postąpić inaczej, jak pokazać kim jest i zabić oszczercę.

– Jakże to? – rzekła Donna Guiomar – nie jest Cyganem?

Tu stara Cyganka opowiedziała pokrótce historię Andrzeja Caballero i wyjawiła, że był synem pana Franciszka de Càrcamo, kawalera orderu Santiago, że nazywał się Jan de Càrcamo i był kawalerem tego orderu, którego oznaki oddał jej był, gdy ubiór rycerski zmienił na odzież Cygana. Opowiedziała również, jaka umowa została zawarta między nim a Preciosą, gdy zobowiązali się dwa lata przeczekać, zanim postanowią ostatecznie czy pobrać się im wypadnie. Dodała wreszcie słów kilka o obyczajności obydwojga młodych i o dobroci charakteru Jana.

Wszystko to równie niemal zadziwiło uszczęśliwionych rodziców jak odnalezienie ich córki, a korregidor kazał starej przynieść ubiór i oznaki rycerskie Andrzeja. Uczyniła, co jej polecono, i wróciła wkrótce w towarzystwie jakiegoś Cygana, który niósł za nią szaty.

Podczas gdy stara tak chodziła i wracała, uszczęśliwieni rodzice zadawali Preciosie tysiączne pytania, na które ona odpowiadała z takim rozsądkiem i wdziękiem, że pokochaliby ją, choćby nawet nie byli poznali w niej swej córki. Zapytali tedy czy żywiła dla Jana głębsze jakieś uczucie. Odpowiedziała im na to, że czuje dlań tyle przyjaźni, ile winna mu była okazać przez wdzięczność, iż dla niej poniżył się aż do cygańskiego stanu; od rodziców jednak zależeć miało, do jakich granic wdzięczność tę posunie.

– Dość słów, Precioso, córko miła – rzekł korregidor – (chcę bowiem, aby to imię Preciosy pozostało ci na pamiątkę, iżeśmy cię, straciwszy, w tak cudowny sposób odzyskali): dość już, ja bowiem, jako twój ojciec, postaram się dać ci męża godnego twojego nazwiska.

Słysząc te słowa westchnęła Preciosa, a matka jej, ile że domyślna była, zrozumiała, że jej córka wzdycha z miłości dla Jana; rzekła więc zwracając się do męża:

– Panie mój, skoro Jan de Càrcamo tak możnego jest rodu i taką miłością pała dla naszej jedynaczki, czemuż byśmy jemu nie dali jej za żonę?

Odrzekł jej na to korregidor:

– Ledwośmy dzisiaj ją znaleźli, a już chciałabyś waszmościna, abyśmy znowu ją stracili? Radujmy się nią przez czas jakiś, ale nie wydawajmy jej za mąż, gdyż w ten sposób nie naszą

już będzie, lecz męża.

– Prawda to, panie – rzekła korregidorowa – każ jednak wypuścić Jana na wolność, gdyż zamknięty być musi w jakiejś ciemnicy, a bardziej pewno niż obawa kary, która go czeka, dręczy go teraz wilgoć i robactwo ohydne, to utrapienie ustawiczne nieszczęsnych więźniów, oczekujących wśród ciągłej nocy rychłoli dzień nastanie i uwolni ich od cierpień i złego towarzystwa, na które są wystawieni.

– Pójdę się z nim zobaczyć, udając niby, że po zeznania przychodzę. Raz jeszcze powtarzam, że nikt nie powinien wiedzieć o tym, co się wydarzyło, dopóki ja sam nie zwolnię was z tajemnicy.

To rzekłszy korregidor ucałował Preciosę i udał się do więzienia. Wszedł do celi, gdzie Andrzej był zamknięty, poleciwszy straży, aby go sam na sam z więźniem pozostawiono. Zastał go z pętami na nogach i rękami zakutymi w kajdany. Cela była ciemna, ale korregidor kazał odsłonić okienko w suficie, przez które skąpy promień światła wdarł się do wnętrza. Ujrzawszy Andrzeja**,** rzekł*:*

– Cóż, dobre to mieszkanie? W ten sposób chciałbym ja trzymać na smyczy wszystkich Cyganów, którzy po Hiszpanii wędrują, aby skończyć z nimi od jednego razu, podobnie jak Neron niegdyś w Rzymie poczynał sobie ze swymi nieprzyjaciółmi. Wiedz, złodzieju nazbyt pyszny, że jestem korregidorem tego miasta i chcę z ust twoich usłyszeć, czy prawdą jest, iż pewna Cyganka, imieniem Preciosa, która w waszym gronie przebywała, miała ci być poślubiona.

Usłyszawszy te słowa, Andrzej pomyślał zrazu, że korregidor zakochać się musiał w Preciosie; zazdrość bowiem jest ciałem tak lotnym, że w inne przenika nie naruszając ich wcale. Mimo wszystko jednak, odparł:

– Jeśli Preciosa powiedziała, że jestem jej narzeczonym, prawda to; jeśli zaś powiedziała, że nim nie jestem, również rzekła prawdę, gdyż być nie może, aby z jej ust wyszło kłamstwo.

– Tak prawdomówna jest? – zauważył korregidor – jak na Cygankę, wielka to zaleta. Otóż, chłopcze, powiedziała w istocie żeś przeznaczony jej na małżonka, ale że ręki ci jeszcze nie oddała. Sądząc z rozmiarów twej winy, wnoszę, że zostaniesz na śmierć skazany; ona zaś dowiedziawszy się o tym, poprosiła mnie, abym jej pozwolił przed wykonaniem wyroku cię poślubić, szczęśliwa bowiem będzie, gdy zostanie wdową po tak wielkim rzezimieszku.

– Niechże więc waszmość, panie korregidorze, spełni jej prośbę; gdy bowiem poślubiona mi zostanie, bez szemrania na tamten świat się przeniosę, wiedząc, że opuszczam to życie jako jej małżonek.

– Wielce musisz ją kochać – rzekł korregidor.

– Kocham ją tak niezmiernie – odparł więzień – że miłości mej słowami wyrazić niepodobna. Otóż, mości korregidorze, niechaj sprawa moja zostanie wyjaśniona: zabiłem człowieka, który na mój honor godził; kocham Cygankę, o której mowa, umrę bez żalu, gdy wiedzieć będę, że jej łaska mi towarzyszy, a łaska Nieba, wiem, że nas nie opuści, skorośmy wierni byli nieodstępnie naszym obopólnym zobowiązaniom.

– Dziś wieczorem tedy przyślę po ciebie – rzekł korregidor – i w domu moim Preciosa zostanie ci poślubiona, a jutro w południe będziesz wisiał na szubienicy: w ten sposób uczynię zadość i sprawiedliwości, i waszym wspólnym pragnieniom.

Andrzej wyraził mu swą wdzięczność, po czym korregidor wrócił do domu i zdał sprawę Preciosie i jej matce z rozmowy, którą miał z Janem i ze swych istotnych zamiarów.

Podczas nieobecności korregidora Preciosa opowiedziała była matce o całym swym dotychczasowym życiu: jak myślała zawsze, że jest Cyganką i wnuczką owej starej, która ją wychowała. Dodała, że zawsze o godność swą okazywała więcej dbałości niżby się można było po Cygance spodziewać.

Zapytała ją matka prosząc, aby całą prawdę powiedziała, czy kocha istotnie Jana de Càrcamo. Preciosa zawstydzona i z oczyma w ziemię utkwionymi odparła jej na to, że

uważając się za Cygankę i widząc w tym niejako szczęśliwe losu zrządzenie, gdy młodzieniec tak dostojnego rodu, jak Jan de Càrcamo chciał pojąć ją za żonę, przekonawszy się wreszcie o jego dobrym ułożeniu i zacności jego serca, spoglądała nań przyjaznym okiem; dodała jednak, że wola jej, jak już była powiedziała w żadnym razie sprzeciwiać się nie będzie temu, co oni postanowią.

Nadszedł wieczór i około godziny dziesiątej wywiedziono Andrzeja z więzienia; zdjęto mu kajdany z rąk, ale pozostawiono długi łańcuch, którym skrępowane były nogi jego i całe ciało. Dostawiono go tak, niepostrzeżonego przez nikogo prócz strażników, którzy mu towarzyszyli do domu korregidora i oględnie, w milczeniu wprowadzono go do jednej z komnat, gdzie sam pozostał. Po krótkiej chwili wszedł tam kleryk jakiś i kazał mu wyspowiadać się, mówiąc, że ma umrzeć nazajutrz. Odparł mu na to Andrzej:

– Chętnie przystąpię do spowiedzi; ale czemuż mi pierwej ślubu nie dają? A jeśli ślub dziś wezmę, smutne zaiste łoże małżeńskie mnie czeka.

Donna Guiomar, która we wszystko była wtajemniczona, wyraziła przed mężem obawę, aby Jana zbytniego niepokoju nie nabawić: według jej zdania należało zaprzestać dalszego straszenia, gdyż chłopiec mógł życiem przypłacić tę zabawę. Słuszną wydała się korregidorowi rada; zawołał więc spowiednika i powiedział mu, że Cygana najpierw zaślubić należy z Preciosą, później zaś przystąpi do spowiedzi. Andrzejowi poradził, aby z całego serca polecił się Bogu, gdyż często łaska Jego, jak deszcz ożywczy, spada na grzesznika, w którego piersi wyschło już źródło nadziei.

Wszedł tedy Andrzej do sali, gdzie znajdowali się tylko: Donna Guiomar, korregidor, Preciosa i dwie pokojówki. Kiedy Preciosa ujrzała go okutego w żelazo i ciągnącego tak wielki łańcuch za sobą, bladego na twarzy i z zapłakanymi oczyma, zamarło w niej serce i rzuciła się w objęcia matki, która stała tuż przy niej. Ta, przytulając ją do łona, rzekła:

– Uspokój się, dziecko, gdyż wszystko, co widzisz obróci się na dobro twoje i radość.

Preciosa, nie wiedząc, czego by miała się spodziewać, była niepocieszona w bólu, stara Cyganka zmieszała się, a reszta obecnych przyglądała się tej scenie, ciekawa końca.

Korregidor rzekł, zwracając się do kleryka:

– Mości księże, oto Cygan i Cyganka, którzy poślubieni być mają. Pobłogosław waszmość ich związek.

– Tego nie mogę uczynić – odparł ksiądz – jeśli nie zostaną uprzednio wypełnione niezbędne w takich razach formalności. Gdzie uczyniono zapowiedzi? Gdzie jest pozwolenie mego zwierzchnika na udzielenie ślubu?

– Zapomniałem o tym – rzekł korregidor – ale postaram się, aby wikary dał pozwolenie.

– Doskonale – odrzekł ksiądz – lecz póki pozwolenia na piśmie nie ujrzę, państwo wybaczą...

I nie dodawszy ani słowa w obawie, aby skandal jakiś z tego nie wyniknął, wyszedł z pokoju pozostawiając wszystkich w zakłopotaniu.

– Dobrze ksiądz postąpił – przerwał milczenie korregidor – być może, iż to zrządzenie Boże, aby stracenie Andrzeja na później zostało odłożone, gdyż nieodwołalnie ślub się odbędzie, a uprzednio ogłoszone być muszą zapowiedzi: zyskamy tedy na czasie, a ten na wszelkie trudności skuteczny znajdzie sposób. Teraz chciałbym wiedzieć od samego Andrzeja, czy jeśliby los zarządził, iżby bez tych wszystkich niepokojów i kłopotów zostać miał małżonkiem Preciosy, czy, mówię, wówczas zechciałby pozostać nadal Andrzejem Caballero, czy też Janem de Càrcamo wolałby się mienić?

Andrzej usłyszawszy, że wymówiono prawdziwe jego nazwisko, rzekł:

– Skoro Preciosa nie chciała nadal zachować milczenia i powiedziała, kim jestem, oświadczam, że choćby szczęście, o którym waszmość mówisz, zastało mnie władcą świata, tak nieocenione by mi się zdało, że położyłbym kres wszelkim pragnieniom nie mogąc już innego szczęścia, prócz Nieba i Łaski Wiekuistej, oczekiwać.

– W zamian przeto za te dobre chęci, mości Janie de Càrcamo, uczynię, że gdy czas po temu nastanie, Preciosę pojmiesz za żonę; zaś teraz narzeczeństwu waszemu błogosławię, oddając w twe ręce najdroższy skarb mego serca i domu mojego najcenniejszą ozdobę, a szanuj ją wedle miary słów twych własnych, gdyż w jej osobie daję ci Donnę Konstancję de Acevedo y Meneses, moją córkę jedyną, która, jeśli ci w miłości dorównywa, w szlachetności swego rodu niczym ci nie ustępuje.

Zdumiał się Andrzej na tę przemowę i na oznaki miłości, jakie mu okazywano, a Donna Guiomar w krótkich słowach opowiedziała o zaginięciu swej córki, o jej odnalezieniu i niezbitych dowodach, które Cyganka dostarczyła, stwierdzających, że ona to wykradła Konstancję z rodzicielskiego domu. Tu wzmogło się jeszcze zdumienie Andrzeja, ale i radość jego wzrosła ponad wszelką miarę: uściskał swych teściów, ojcem i matką ich mieniąc, ucałował ręce Preciosy, która ze łzami w oczach jego rąk szukała.

Tajemnica została zerwana i wieść o wydarzeniu, z ust pokojówek, które przy scenie całej obecne były, dalej w świat powędrowała; a gdy doszła do uszu alkada, wuja zabitego żołnierza, pod jej dotknięciem wnet stopniała w jego sercu chęć zemsty, gdyż wymiar sprawiedliwości nie mógł się rozciągać na zięcia korregidora.

Przywdział Jan swe szaty podróżne, które stara Cyganka mu przyniosła. Miast więzienia i oków żelaznych, miał teraz wolność i złote kajdany. Smutek Cyganów uwięzionych obrócił się w wesołość, gdyż nazajutrz na wolność zostali wypuszczeni. Wujowi zabitego obiecano dwa tysiące dukatów, ofiarowane mu, aby cofnął skargę i wybaczył Janowi, który, nie zapominając wśród szczęścia o swym towarzyszu Klemensie, szukać go kazał. Nie znaleziono go jednak ani na ślad jego zrazu nie trafiono i po czterech dniach dopiero z pewnego źródła nadeszła wiadomość, że wsiadł był w Kartagenie na jedną z dwu galer genueńskich, które tegoż dnia port opuściły.

Korregidor powiedział Janowi, iż doszła go wiadomość, jakoby ojciec jego, Don Francisco de Càrcamo, w Kartagenie właśnie korregidorem został mianowany. Wyraził tedy życzenie, aby poczekać z weselem na jego przyjazd i ojcowskie błogosławieństwo. Jan odparł, że teściowi swemu we wszystkim okaże posłuszeństwo, chciał jednak, aby przede wszystkim zaślubiono go z Preciosą. Arcybiskup pozwolił, aby po jednych tylko zapowiedziach ślub się odbył.

W dzień ślubu miasto, ile że korregidor wielce był w nim lubiany, wyprawiło wspaniałe igrzyska z iluminacją, walką byków i rzucaniem oszczepami. Stara Cyganka pozostała w domu, nie chciała bowiem z wnuczką swą, Preciosą, ani na chwilę się rozłączać.

Wieść o wydarzeniu i ślubie Cyganki rychło doszła do stolicy i Don Francisco de Càrcamo dowiedział się, że Cyganem owym, bohaterem dnia, był syn jego rodzony i że Preciosa była tą samą Cyganką, którą oglądał w swym domu. Wspomnienie jej urody sprawiło, że wybaczył synowi jego lekkomyślność, zadowolony raczej z obrotu, jaki rzeczy wzięły, gdyż dowiedziawszy się, że Jan nie udał się do Flandrii, uważał go już za straconego. Rozumiał przy tym, jak doskonałą było dlań rzeczą pojąć za żonę córkę tak wielkiego i majętnego pana jak Don Fernando de Acevedo. Przyśpieszył więc swój wyjazd i po dwudziestu dniach drogi stanął w Murcji. Z jego przybyciem nowy upust dano powszechnej radości, wyprawiono wesele, każdy opowiedział dzieje swego życia, a poeci miasta (gdyż jest ich w Murcji kilku doskonałych) podjęli się uwiecznić niezwykłe to zdarzenie i hołd złożyć jednocześnie niezrównanej urodzie Cyganki. Tak tedy i słynny licencjat Pozo napisał swój utwór, a w wierszach jego chwała Preciosy trwać będzie na wieki.

Zapomniałem powiedzieć, że kochliwa oberżystka wyjawiła przedstawicielom władz, jak niesprawiedliwie Andrzej-Cygan o kradzież został posądzony i przyznała się do swej miłości i winy; żadna jednak nie spotkała jej kara, gdyż wśród powszechnego wesela pogrzebano wszelką myśl o zemście i wskrzeszono w sercach pobłażanie.

RINCONETE I CORTADILLO

W gospodzie zwanej „del Molinillo", która znajduje się na kresach słynnych pól Alcudii, przy drodze prowadzącej z Kastylii do Andaluzji, pewnego ciepłego dnia letniego spotkało się dwóch chłopców, z których jeden mógł mieć lat czternaście lub piętnaście, drugi zaś liczył nie więcej nad siedemnaście. Byli obaj pełni animuszu, obaj niesforni, wynędzniali i oberwani: płaszczów nie mieli wcale, nosili płócienne szarawary, a skóra własnych nóg służyła im za pończochy. Przyznać trzeba, że zaopatrzeni byli w obuwie, które stokrotnie wynagradzało te braki, gdyż jeden z nich miał na nogach trepki jednako znoszone, jak zużyte, drugi – trzewiki od licznych dziur niemal przejrzyste, a bez podeszew, tak że służyły mu raczej do parady niż do ochrony stóp.

Jeden nosił zieloną czapkę myśliwską, drugi – kapelusz bez wstążki, o dnie niskim i szerokich skrzydłach. Pierwszy miał przepasaną przez ramię koloru wielbłąda koszulę, tak zwiniętą, że cała mieściła się w jednym rękawie. Drugi miał ręce wolne i nawet torby podróżnej nie posiadał; na piersiach jego natomiast widniał rodzaj wielkiego garbu, a jak się później okazało, był to rabat płócienny, usztywniony w braku krochmalu za pomocą tłuszczu, tak połamany i zużyty, że cały zdawał się być strzępami. Zawinięte weń były i schowane karty do gry, o kształcie owalnym, gdyż od częstego użycia wytarły się były ich brzegi i aby przedłużyć im żywot, obcięto je wokoło i w tym stanie pozostawiono. Obaj chłopcy spaleni byli od słońca, obydwaj mieli brudne paznokcie i niezbyt czyste ręce. Jako broń jeden z nich posiadał złamaną szpadę, drugi – nóż o żółtej rękojeści, jakimi zazwyczaj posługują się rzeźnicy.

Wyszli obaj zażyć wczasu na ganek, czyli przedsionek kryty, który u wejścia do gospody się znajduje, usadowili się naprzeciw siebie, po czym ten, który starszym być się zdawał, zagadnął młodszego:

– Z jakiejże to ziemi waszmość rodem, miłościwy panie, i kędy Bóg prowadzi?

– Ani mej ziemi nie znam, łaskawy panie – odparł zapytany – ani wiem, dokąd teraz zmierzam.

– A jednak – zauważył starszy – zaiste nie wyglądasz waszmość na człowieka, który z nieba spada, a miejsce, gdzie siedzimy, bynajmniej nie nadaje się na stałą siedzibę i prędzej czy później trzeba stąd ruszyć w dalszą drogę.

– Prawda to – rzekł młodszy – a jednak nie skłamałem twierdząc, że nie znam mojej ziemi: w istocie, moja wioska rodzinna nie jest moją, gdyż nic tam nie mam prócz ojca, który mnie nie chce uznać za swojego syna, i macochy, która też iście po macoszemu sobie ze mną poczyna; drogą zaś moją los kieruje i tam ją dopiero zakończę, gdzie znajdę niezbędne środki do podtrzymania tego nędznego żywota.

– A znaszże acan jakie rzemiosło? – zapytał starszy.

– Tyle tylko – odparł młodszy – że umiem biec jak zając i skakać jak jeleń; nożycami przy tym tnę nader składnie.

– Dobre to ostatnie, użyteczne i korzystne, gdyż znajdzie się łacno zakrystian, który odda waszmości cały swój zarobek ze Wszystkich Świętych, abyś mu na Wielki Czwartek ozdoby z papieru do przybrania ołtarza wykroił.

– Nie do takich drobiazgów służą mi nożyce – rzekł młodszy. – Mój ojciec jest, z łaski Nieba, krawcem i nauczył mnie kroić kamasze, które, jak waszmości wiadomo, są rodzajem odzieży na łydki, a które właściwiej czechczerami mianują. W rzemiośle tym doszedłem do takiej wprawy, że na majstra mógłbym zdać egzamin, gdyby mnie los nieszczęsny nie trzymał na uboczu.

– Tak to z najpoczciwszymi bywa, jeśli nie gorzej jeszcze się zdarzy – zawołał starszy – zawsze mi mówiono, że wielkie zdolności najbardziej się marnują; ale waszmość masz jeszcze czas przed sobą, aby swój los naprawić. Jeśli się nie mylę i oczom moim mogę dać wiarę, posiadać musisz inne jakieś ukryte zalety, z którymi nie chcesz jeno się zdradzić.

– A mam i inne – odpowiedział mniejszy – ale jak waszmość słusznie to zauważyłeś, nie są one z tych, które by publicznie wyznać można.

Odezwał się na to starszy:

– Otóż ja śmiało o sobie mogę powiedzieć, że jestem jednym z najbardziej zaufania godnych chłopców, jakich ta ziemia nosi. Chcąc przeto waszmość nakłonić, abyś mi swe serce otworzył, pierwej sam się tobie zwierzę, gdyż przypuszczam, że nie bez jakiegoś ukrytego celu los nas tutaj połączył i zdaje mi się, że sądzono nam od tej chwili, aż do ostatniego dnia naszego życia, pozostać prawdziwymi przyjaciółmi. Ja, miłościwy panie, jestem rodem z Fuenfrida, a miejsce to słynnym uczynili liczni i dostojni podróżnicy, którzy nieustannie tam zajeżdżają. Moje imię: Pedro del Rincon[5]; ojciec mój jest osobistością znakomitą jako urzędnik świętej Krucjaty, sprzedaje bowiem indulgencje, czyli bulle papieskie, jak je tam ludzie nazywają. Zdarzyło mi się towarzyszyć mu, gdy pełnił swe obowiązki i rzemiosła tego tak dobrze się nauczyłem, że najbieglejszemu nie ustąpiłbym w sztuce zachęcania ludzi do kupna indulgencji. Lecz dnia pewnego, bardziej niż indulgencje same, spodobały mi się pieniądze osiągnięte ze sprzedaży i wziąwszy za towarzyszkę dobrze wypchaną kaletę, wraz z nią udałem się do Madrytu, gdzie przy licznych sposobnościach, jakie tam człowiek zazwyczaj spotyka, w dni niewiele ze wszystkich wnętrzności ją wypatroszyłem i rzuciłem bardziej pomiętą niż welon ślubny po nocy weselnej. Tymczasem wpadł na mój ślad urzędnik, któremu powierzono nad pieniędzmi pieczę; schwytano mnie i tyle mego. Los nie okazał się dla mnie łaskawy, choć owi panowie z sądu, zważywszy moją młodość, niezbyt surową wymierzyli mi karę: postawiono mnie pod jakimiś drzwiami, połaskotano trochę plecy i po tej operacji zostałem wygnany na cztery lata ze stolicy. Uzbroiłem się w cierpliwość, przygryzłem wargi, zniosłem chłostę i jej łaskotki i z takim pośpiechem ruszyłem na wygnanie, że nie zdążyłem nawet porachować siniaków. Z kosztowności moich zabrałem, co się dało, a zwłaszcza to, z czego największą obiecywałem sobie korzyść: przede wszystkim więc wziąłem te oto karty (tu pokazał talię kart, którą, jak wyżej powiedziano, uwiązaną nosił na szyi) i dotychczas zdołałem za ich pomocą zarabiać na życie grając w „dwadzieścia jeden" po zajazdach i gospodach, które znajdują się przy drodze między Madrytem a miejscem, gdzie teraz jesteśmy. A chociaż widzisz waszmość, w jak opłakanym moje karty są stanie, posiadają jednak moc cudowną dla tych, którzy umieją należycie ocenić ich zalety, gdyż wtajemniczony, ilekolwiek kart zdejmie z kłody, zawsze pewny być może, że pod nimi as spoczywa. Otóż jeśli ta gra waszmości nieobca, wiesz, jak korzystnie gracz na tym wychodzi, gdy wie z góry, że ma asa w pierwszej karcie, albowiem ten liczony być może dowolnie za jeden punkt lub jedenaście. W ten sposób, ledwo stawki położono na stół, nie ma wątpliwości, że pieniądze zostaną się w domu. Oprócz tego kucharz pewnego posła nauczył mnie sposobu podejścia partnera przy grze w faraona i diabełka, którą to grę również zwą lancknechtem. I oto, jak waszmość możesz z kroju czechczerów w samej stolicy składać egzamin, tak samo ja mógłbym być po wsiach mistrzem wędrownym szulerki. W ten sposób idę przed siebie pewny będąc, że z głodu nie umrę, bo kiedy na folwarku nawet

[5] Rincon – kąt, zaułek. (Przyp. tłum.)

najnieznaczniejszym się zatrzymam, zawsze znajdzie się ktoś, komu przyjdzie ochota chwil kilka przy grze spędzić. Zresztą o prawdzie moich słów niezwłocznie się przekonamy. Zarzućmy sieci, a zobaczymy, czy nie da się wziąć na przynętę któryś z tych poganiaczy mułów, jacy tędy przechodzą. Zacznijmy, mówię, grać w „dwadzieścia jeden" między sobą, udając, że gramy poważnie, a jeśli ktoś spośród nich zechce przyłączyć się na trzeciego, wypadnie mu być pierwszym, który zostawi nam p e c u n i u m.

– I oby los okazał się nam przyjazny! – zawołał drugi chłopiec. – Za łaskę niezmierną poczytuję sobie zaszczyt, jaki mi waszmość uczyniłeś opowiadając swoje przygody, którą to opowieścią sprawiasz, że nie mogę nadal ukrywać przed tobą kolei mego życia. W krótkich tedy słowach powiem ci, kim jestem. Urodziłem się we wsi Pedroso, która leży między Salamanką a Medina del Campo. Ojciec mój, krawiec z zawodu, nauczył mnie swego rzemiosła, a ja dzięki przemyślności, którą natura mnie obdarzyła, umiejąc krajać nożycami, zabrałem się niebawem do prucia cudzych kieszeni. Uprzykrzyłem sobie skąpe życie wiejskie i ustawiczne łajania mojej macochy. Toteż wziąwszy nogi za pas, udałem się do Toledo uprawiać tam swoje rzemiosło i rychło w sztuce krajania istnych dokazałem cudów: w istocie, nie ma kalety ani kieszeni, której by moje ręce nie zwiedziły i nie skrajały moje nożyce, choćby odbywały przy niej straż Argusowe oczy. Mimo to, w przeciągu czterech miesięcy, które spędziłem w tym mieście, nigdy nie schwytano mnie na gorącym uczynku, nigdy mnie nie spłoszyli ani się za mną uganiali ceklarze, nigdy żadna skarga na mnie nie poszła do sądu. Prawda to, że będzie temu tydzień, jakiś szpieg przedajny dał znać o moich zdolnościach korregidorowi, którego moje zalety tak zaciekawiły, że zapragnął ze mną się zobaczyć; ale ja, że przez nadmierną skromność nie chcę mieć do czynienia z osobami o tak wysokim stanowisku, postarałem się, aby owo spotkanie nie doszło do skutku. Opuściłem więc miasto w tak wielkim pośpiechu, że nie zdążyłem zaopatrzyć się ani w wierzchowca, ani w grosze, ani w pojazd do powrotu i nawet zwyczajnego wozu nie zabrałem ze sobą.

– Mniejsza o to – rzekł Rincon. – Tymczasem, ponieważ znajomość już zawarta, nie mamy potrzeby pysznić się i nadymać: wyznajmy raczej szczerze, że ani pieniędzy nie mamy, ani nawet trzewików.

– Niech i tak będzie – odparł Diego Cortado[6] (gdyż tak się młodszy nazywał) – a ponieważ przyjaźń nasza, jak acan, mości Rinconie, słusznie rzekłeś, ma być stała i niezłomna, zacznijmyż ją od uświęconych zwyczajem i chwalebnych obrzędów.

Z tymi słowy powstawszy, Diego Cortado uściskał Rincona, a Rincon jego, mocno i serdecznie; po czym jęli grać w „dwadzieścia jeden" tymi samymi kartami, o których wyżej była mowa, a które były bardziej czyste od kurzu i śmiecia niźli od tłuszczu i podstępów. Toteż po kilku kolejach Cortado tak samo składnie umiał wyrzucać asa jak jego mistrz – Rincon.

W trakcie tego jakiś przewodnik mułów wyszedł na ganek zaczerpnąć świeżego powietrza i widząc grających, zapragnął przyłączyć się na trzeciego. Chłopcy chętnie go przyjęli i w niespełna pół godziny wygrali od niego dwanaście reali i dwadzieścia dwa maravedisy, co przyprawiło go o dwanaście zamroczeń i dwadzieścia dwa tysiące utrapień. Przewodnik mułów widząc, że ma z malcami do czynienia, chciał odebrać im pieniądze, gdyż myślał, że nie będą mu stawiali oporu. Lecz oni, dobywszy, jeden – swej szpady złamanej, drugi – noża o żółtym trzonku, tak dzielnie się bronili, że gdyby nie towarzysze, którzy pośpieszyli mu z pomocą, nie byłby wyszedł cało z owej utarczki.

W tej właśnie chwili przechodził drogą orszak konnych, kierując się na popas w stronę gospody del Alcade, która znajduje się o pół mili dalej. Podróżni widząc chłopców, jak się borykali z poganiaczem mułów, uspokoili ich i powiedzieli, że mogą im towarzyszyć, jeśli również zmierzają do Sewilli.

[6] Cortado – od słowa cortar, krajać, ciąć. (Przyp. tłum.)

– Tam właśnie idziemy – zawołał Rincon – jesteśmy na rozkazy ichmości, jeśli zdać się mogą na co nasze usługi.

Nie czekając odpowiedzi skoczyli naprzód, do mułów jucznych i ruszyli z orszakiem, zostawiając mulnika pobitego i pieniącego się ze złości. Gospodyni spoglądała za nimi, podziwiając przemyślność tych wisusów, gdyż niespostrzeżona podsłuchała całą ich rozmowę. A gdy poganiacz mułów dowiedział się od niej, jak plan cały z góry był uknuty, jak karty były przygotowane, jął włosy rwać z głowy i chciał biec za nimi, aby odbić swoje mienie, wołając, że hańba to i rzecz niesłychana, aby dwaj młokosi okpili tak rosłego, jak on, chłopa. Powstrzymali go jednak towarzysze radząc, aby się miarkował i nie rozgłaszał przynajmniej po świecie swej niezdarności i prostoty. Tak wreszcie przemówili mu do rozsądku, że choć nie zdołali go pocieszyć, sprawili jednak, że pozostał z nimi.

Cortado i Rincon tymczasem tak gorliwie jęli pełnić swe obowiązki posługaczy, że przez większą część drogi pozostali w tyle; a choć nadarzyła im się niejedna sposobność pomacania tłomoków ich niby-panów, nie skorzystali z niej, aby nie stracić tak pięknej okazji podróży do Sewilli, które to miasto wielce poznać pragnęli. Mimo wszystko, przy wejściu do miasta (a stanęli tam w czasie modlitw porannych), gdy zatrzymano się dla opłacenia cła za rzeczy u bramy Komornej, Cortado, nie mogąc już dłużej się opanować, aby nie rozpruć tłumoka, a raczej torby, która przytroczona była do siodła pewnego Francuza z orszaku, swym nożem o żółtym trzonku tak wielką i głęboką zadał jej ranę, że ukazały się jak na dłoni jej wnętrzności. Wyjął tedy z rozprutej torby dwie wytworne koszule, zegar słoneczny i notatnik, lecz zdobycz ta, gdy uważniejszym okiem na nią spojrzeli, bynajmniej chłopców nie zachwyciła. Toteż myśląc, że Francuz nie darmo tę torbę trzymał przy siodle i większe skarby musiał w niej ukrywać niż łup, który zagarnęli, radzi by byli raz jeszcze ją przetrząsnąć. Nie uczynili tego, przypuszczali bowiem, że brak skradzionych przedmiotów mógł już być zauważony i że podróżni zdążyli ukryć w bezpiecznym miejscu, co pozostawało. Pożegnali się jeszcze przed dokonaniem tego zamachu z towarzystwem, którego kosztem odbyli drogę, a nazajutrz spieniężyli koszule na targu pokątnym, który odbywa się koło bramy del Arenal i ze sprzedaży osiągnęli dwadzieścia reali.

Po załatwieniu tych spraw udali się na zwiedzenie miasta: osłupieli z podziwu przed ogromem i wspaniałością katedry i w zdumienie wprawił ich tłum, który zalegał wybrzeża rzeki, gdyż była to pora, kiedy się flota formuje i sześć galer znajdowało się podówczas w przystani. Na ich widok chłopcy westchnęli głęboko, z trwogą myśląc o chwili, kiedy im przyjdzie za swe winy obrać sobie na owych pokładach dożywotnie mieszkanie. Zauważyli licznych wyrostków z koszykami, którzy tamtędy przechodzili: zaciekawieni, zapytali jednego z nich, na czym polega ich zajęcie, czy wymaga wielkiego nakładu pracy i jaki daje zarobek. Chłopiec, do którego zwrócili się z tym pytaniem, Asturiańczyk jakiś, odparł, że zajęcie to bynajmniej nie męczące i że władze od trudniących się tym rzemiosłem żadnego nie pobierają czynszu. Dodał, że dzienny jego zarobek nieraz sięgał pięciu i dziesięciu reali, a za te pieniądze mógł jeść i pić i, jak książę jaki, nadrabiać miną. Nie potrzebował przy tym żadnej kaucji dawać swemu pracodawcy i pewny mógł być zawsze, że znajdzie posiłek w najmizerniejszej oberży Sewilli, gdzie dobrych zajazdów jest pod dostatkiem.

Spodobała się naszym dwom przyjaciołom przemowa Asturiańczyka, a jego zajęcie wydało im się ponętnym i jak gdyby dla nich umyślnie stworzonym, myśleli bowiem, że mając możność wchodzenia do różnych domów z posyłkami, które im powierzą, tym łacniej zdołają mieć swoją rzecz na pieczy. Postanowili więc niezwłocznie zakupić potrzebne narzędzia, gdyż bez żadnych innych przygotowań mogli zabrać się do dzieła. Asturiańczyk zagadnięty o przedmioty, które wypadało im nabyć, odparł, że każdy z nich zaopatrzyć się musi w worek i trzy koszyki ręczne, z których dwa duże, a jeden mały. W koszykach tych nosić mieli mięso, ryby i owoce, w worku zaś – chleb. Udzieliwszy im powyższych wskazówek zaprowadził ich do kramów, gdzie sprzedawano owe przedmioty, a oni, za

pieniądze pozostałe z kradzieży, kupili wszystko, czego było potrzeba. Tak dobrze pasowały do nich koszyki i z workami tak im było do twarzy, że po dwóch godzinach mogliby uzyskać tytuł adeptów nowego rzemiosła. Dozorca miejski wskazał im stanowiska, na których winni byli się znajdować: co dzień rano koło rzeźni lub na placu świętego Salwatora, w dni targu rybnego – na rynku; po południu – na brzegu rzeki, a we czwartki – na jarmarku.

Lekcji tej nauczyli się na pamięć i nazajutrz wczesnym rankiem stanęli na placu świętego Salwatora. Ledwo tam przybyli otoczyła ich chmara wyrostków, trudniących się tym samym zajęciem, którzy po olśniewającej czystości worków i koszyków łacno poznali nowicjuszów. Zasypywać ich jęli tysiącznymi pytaniami, na które chłopcy dawali odpowiedzi pełne rozsądku i rozwagi. W trakcie tego zbliżył się jakiś niby student w towarzystwie żołnierza i owi goście, zachęceni czystością koszyków naszych nowych przybyszów, do nich się zwrócili: ten, który wyglądał na studenta skinął na Cortada, żołnierz zaś – na Rincona. – „Boże dopomóż"! zawołali chłopcy żegnając się ze sobą.

– Niechże dobry zrobię początek – odezwał się Rincon do żołnierza – trzeba bowiem waszmości wiedzieć, że pierwszy mnie waść do usług bierze.

– Pewno, że niezły zrobisz ze mną początek – odparł tamten – gdyż zarabiam sporo grosza, a jestem przy tym zakochany i dziś właśnie zamierzam wyprawić ucztę dla damy mego serca i kilku jej przyjaciółek.

– Proszę tedy ładować w moje koszyki, ile dusza zapragnie – rzekł Rincon – dość sił mam bowiem i dobrej woli, aby wszystko, co się na tym placu znajduje, unieść ze sobą; a jeśli jeszcze mogę dopomóc w przyrządzeniu wieczerzy i to chętnie uczynię.

Podobała się żołnierzowi gotowość chłopca i oznajmił mu, że jeśli chce iść do niego na służbę, podejmuje się wydobyć go z nędznego stanu, w jakim się znajduje. Odparł na to Rincon, że pierwszy to dzień uprawia swe nowe rzemiosło i nie chce przedsiębrać innej pracy, dopóki przynajmniej nie przekona się, jakie owo zajęcie posiada złe i jakie dobre strony. Dał jednak słowo, że jeśli po kilku dniach próby nie przypadnie mu ono do smaku, skorzysta z zaofiarowanego sobie przez żołnierza miejsca i da mu pierwszeństwo, choćby miał posiadać wolny wybór między nim a jakim kanonikiem.

Żołnierz roześmiał się na to zapewnienie, obładował chłopca rzetelnie i pokazał mu dom, w którym mieszkała dama jego serca, aby na przyszłość, posyłając go do niej, nie potrzebował mu towarzyszyć. Rincon obiecał święcie, że wiernie będzie załatwiał wszelkie powierzone sobie sprawunki, po czym żołnierz dał mu trzy czwartaki i chłopiec lotem powrócił na plac, aby nie stracić możliwej okazji nowego zarobku. W istocie, Asturiańczyk i na to zwrócił naszym dwom towarzyszom uwagę, aby zawsze śpieszyli ze sprawunkami, dodając, że gdy drobniejszą rybę nosić im dadzą, jako to: klenie, sardynki lub skarpie, mogą śmiało raz i drugi wziąć kilka sztuk dla siebie i tyle przynajmniej zaoszczędzić na dziennych wydatkach. Zalecił im jednak, by czynili to zręcznie i oględnie, gdyż w przeciwnym razie mogli być narażeni na utratę swej dobrej sławy, a o zaufanie publiczności nade wszystko dbać należało w uprawianiu owego rzemiosła.

Mimo pośpiechu, Rincon, wracając na plac, zastał już Cortada na stanowisku. Ten podszedł do niego pytając, jak mu się powiodło. Rincon otworzył dłoń i pokazał zarobione trzy czwartaki. Na to Cortado wyjął z zanadrza kieskę, po której znać było, że w dawnych bardzo czasach pachnieć musiała bursztynem[7]. Dobrze zresztą była wypchana i Cortado rzekł, wręczając ją swemu kamratowi:

– Oto czym zapłacił mi mości student, nie licząc dwóch czwartaków, które dał z dobrej woli. Ale, na wszelki wypadek, weźże ty, Rinconie, tę kieskę i trzymaj ją przy sobie.

Ledwo Cortado tych słów domówił, ledwo zdążył w ukryciu wręczyć swój łup Rinconowi, gdy oto widzi naszego studenta, jak wraca zziajany i piekielnie zmieszany. Ten, dostrzegłszy

[7] Bursztynem wyprawiane były przedniejsze skóry. Kieska zdobyta przez Cortada była snadź nader stara, jeśli zapach bursztynu pozostał jej tylko jako wspomnienie dawnych czasów. (Przyp. tłum.)

Cortada, zbliżył się doń pytając, czy nie widział przypadkiem kieski o takich a takich znamionach, zawierającej piętnaście dukatów z nowiutkiego złota i trzy podwójne reale w drobnej monecie. Dodał, że jej brak zauważył był przed chwilą, nagabując chłopca, aby się przyznał, jeśli on to wyciągnął mu ją z kieszeni, gdy razem chodzili po zakupy. Na to z zadziwiającym spokojem odparł Cortado:

– Tyle tylko o tej kiesce mogę powiedzieć, że nie sposób, aby zginąć miała: chyba, żeś jej waszmość nie strzegł jak należało.

– A licho ją wie! – zawołał student – widocznie źle jej strzec musiałem, skoro mi ją ukradli.

– I ja jestem tego zdania – rzekł Cortado – ale póki człowiek żyw, na wszystko znajdzie radę, a tę waszmości przede wszystkim dać mogę, abyś uzbroił się w cierpliwość; wiadomo bowiem, że człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi: nie w jeden dzień Rzym zbudowano, a kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Zresztą, zdarzyć się może, że ten, kto przywłaszczył sobie kieskę, z czasem pożałuje złego uczynku, zwróci ją waszmości i jeszcze przeprosi za wyrządzoną przykrość.

– Niechby tylko zwrócił – odparł student – a darujemy mu przeprosiny.

Cortado ciągnął dalej:

– Tym mniej by mnie to zdziwiło, że obecnie biskupi co dzień klątwy rzucają na złodziei, a kto skrzętnie bierze się do dzieła, ten pewnym być może, że uda mu się, co przedsięwziął. Nie chciałbym, zaiste, aby ta kieska znajdowała się w moim ręku, jeśli bowiem waszmość piastuje jaki urząd kościelny, zdawałoby mi się, żem popełnił kazirodztwo lub świętokradztwo.

– I jakie jeszcze świętokradztwo! – boleśnie zawołał student. – Bo choć nie jestem duchownym, a tylko u mniszek zakrystianem, pieniądze, które się w kiesce znajdowały pochodziły z kwartalnych wpływów kapelańskiego beneficjum. Powierzył mi je pewien znajomy mi ksiądz: są to więc pieniądze święte i nietykalne.

– Niech pójdą złodziejowi na zdrowie – wtrącił Rincon – ja zaś tyle tylko wiem, że nie chciałbym być w jego skórze, gdyż przyjdzie dzień sądu ostatecznego i wówczas okaże się, kto był sprawiedliwy i wyjdzie na jaw, kto ośmielił się wziąć sobie, ukraść i zbezcześcić pieniądze z kapelańskiego beneficjum... Ileż to takie beneficjum może przynosić rocznego dochodu, proszę mości zakrystiana?

– A idźże pytać dziewki, która mnie zrodziła: nie do tego mi teraz, abym dochody roczne obliczał! – zawołał zakrystianin nazbyt już uniósłszy się gniewem – powiedz mi raczej, bracie, czy wiesz co o mej kiesce, a jeśli nie, pozostań z Bogiem, gdyż mam zamiar mą zgubę publicznie ogłosić.

– Zdaje się, że niezły to sposób – zauważył Cortado – ale niechże waszmość daje baczenie, by nie pominąć żadnego szczegółu: jak wyglądała kieska, ile zawierała pieniędzy i w jakiej monecie. Najdrobniejsza pomyłka sprawić może, że nigdy waszmość swej własności nie ujrzy na oczy, a to, co mówię, pewne jest jak amen w pacierzu.

– Nie ma obawy, abym się omylił – odparł zakrystian – każdy szczegół dobrze utkwił mi w pamięci i o niczym nie zapomnę.

Mówiąc to wyjął z kieszeni chustkę haftowaną, aby otrzeć pot, który spływał mu po twarzy kroplami. Cortado ledwo chustkę ujrzał, już ją w duchu swoją uczynił; toteż, gdy zakrystian oddalił się, pobiegł za nim i dogoniwszy go około przysionka katedry, zawołał nań, wziął na bok i począł mu prawić takie niedorzeczności i fatałaszki, półsłówkami dodając mu nadziei, nie kończąc nigdy zaczętego zdania, że biedak, słuchając go, całkiem został oszołomiony. Nie mogąc zrozumieć treści tej powodzi słów bez związku, kazał chłopcu każde zdanie po dwa i trzy razy powtarzać. Cortado uważnie w twarz mu się wpatrywał i ani na chwilę nie tracił z oczu jego wejrzenia; zakrystian również patrzył mu prosto w oczy, wsłuchując się pilnie w jego słowa. Owo całkowite oszołomienie, do jakiego chłopiec doprowadził swego słuchacza, pozwoliło mu bez trudu dokonać zamierzonego dzieła: zręcznie wyciągnął zakrystianowi

chustkę z kieszeni, a przy pożegnaniu polecił mu, aby postarał się być wieczorem na tym samym miejscu, gdyż miał jakoby na oku pewnego chłopca, trudniącego się tym samym co on zajęciem, tego samego co on wzrostu, a który pono na złodziejczyka miewał zakusy. Cortado podejrzewał, że on to właśnie ukradł kieskę; odchodząc wreszcie obiecał, że prędzej czy później będzie wiedział, jak się ma rzecz cała.

Zakrystian, pocieszony nieco w swym utrapieniu, pożegnał Cortada, a ten powrócił do oczekującego nań Rincona, który z niewielkiej odległości przyglądał się całej scenie. Nieco opodal stał inny wyrostek, jak oni chłopiec do posyłek, który również wszystko widział i zauważył, jak Cortado oddawał chustkę Rinconowi: ten zbliżywszy się do naszych dwóch przyjaciół, zapytał:

– Chciałbym wiedzieć, cni panowie, czy ichmoście z naszych, czy nie z naszych?

– Nie rozumiemy pytania, bracie miły – odparł Rincon.

– Czy ichmoście czasem nie doliniarze? – zapytał znowu chłopiec.

– Ani my z dolin, ani znad morza – rzekł Cortado – jeśli ci czego potrzeba, to powiedz, a jeśli nie, idź z Bogiem.

– Nie rozumieją waszmoście? Powiem więc jasno, o co chodzi i wszystko wyłożę jak na dłoni: pytam, czy panowie nie złodzieje. Lecz nie wiem, doprawdy, po co pytam o to, skoro widzę, co się święci, a własne oczy mnie nie mylą. Ale proszę, niechże mi panowie powiedzą, czemu to nie zgłosili się jeszcze do biura mości Monipodia.

– Czy w tym kraju płacić trzeba podatki od kradzieży, panie błaźnie? – zawołał Rincon.

– Nie ma mowy o podatkach – odparł chłopiec – ale każdy złodziej winien przynajmniej zameldować się u mości Monipodia, który dla wszystkich złodziei jest ojcem, mistrzem i opiekunem. Toteż radzę wam, abyście poszli ze mną i przyrzekli mu posłuszeństwo, a jeśli nie, byście nie ważyli się kraść bez jego pozwolenia, gdyż drogo was to może kosztować.

– Zdawało mi się – rzekł Cortado – że złodziejstwo jest zajęciem niezależnym, wolnym od wszelkiego myta i patentów, że gdy przyjdzie okup płacić, to raz jeden tylko się płaci, ale własną skórą i gardłem. Lecz co kraj, to obyczaj: skoro więc jest, jak mówisz, niech będzie dla nas prawem obyczaj tej ziemi, Sewilla bowiem jest najdoskonalszym miastem na świecie i przyjęte w niej zwyczaje muszą też być niepośledniej miary. Prowadź nas tedy acan do siedziby owego pana, gdyż, wnosząc z tego, co o nim słyszę, nie wątpię, że zna się na rzeczy, że hojny jest i sprawny w swym rzemiośle.

– Czy jest sprawny? Czy hojny? – zawołał chłopiec. – Toż dość o tym, że oto już od czterech lat jest naszym dowódcą i ojcem, a w ciągu tego czasu czterech tylko poszło na h u ś t a w k ę, a do g ą s i o r a dostało się nie więcej, jak sześćdziesięciu dwóch.

– Prawdziwie, bracie – wtrącił Rincon – tak samo znajome nam są te wszystkie miana jak sztuka latania w powietrzu.

– Pójdźcie więc waszmoście ze mną – rzekł chłopiec – a ja wam po drodze objaśnię znaczenie tych wyrazów i kilku innych, które pokrótce staną się dla was chlebem powszednim.

Puścili się tedy w drogę, a chłopiec począł wymieniać i objaśniać różne wyrazy z gwary, którą złoczyńcy tamtejsi się posługują mieniąc ją germanią. O wielu innych jeszcze rzeczach gawędzili, gdyż droga była długa; między innymi zaś Rincon zagadnął swego przewodnika:

– Czy waszmość, jeśli wolno wiedzieć, też złodziej?

– Tak – odrzekł zapytany – Bogu na chwałę, a dobrym ludziom na pożytek; dotychczas jednak niezbyt jeszcze jestem biegłym w rzemiośle, gdyż dopiero nowicjat odbywam.

Zauważył mu na to Cortado:

– Nową dla mnie jest rzeczą, że bywają na świecie złodzieje Bogu na chwałę i dobrym ludziom na pożytek.

– Panie łaskawy – odparł chłopiec – nie znam się ja na t o l o g i a c h; wiem jednak, że każdy, jakimkolwiek trudni się rzemiosłem, chwali Boga na swój sposób, a Monipodio wydał

nawet przepisy w tym względzie dla wszystkich swych podwładnych.

– Nie wątpię – odezwał się Rincon – że mądre muszą to być przepisy, skoro pozwalają złodziejom kraść na chwałę Bożą.

– Tak są mądre – odrzekł chłopiec – że trudno by było w czymkolwiek je udoskonalić. Monipodio nakazuje, aby każdy z nas ze wszelkiej kradzieży odliczał niewielką sumę na olej do lampy przed pewnym świętym obrazem, który znajduje się w tym mieście. Otóż, bogobojny ten przepis sprawił, że istne cuda dane nam było oglądać. Nie dalej jak przed kilku dniami, po trzykroć zadano maglunek pewnemu h o ł o c i a r z o w i, który z j u c h c i ł na targu dwa k w i c z o ł y; ten, choć był wątły i w gorączce, zniósł wszystkie męki i nic nie wyśpiewał, jak gdyby nie czuł bólu. My wszyscy, wtajemniczeni, przypisujemy ten cud jego wielkiej nabożności, później bowiem siły go opuściły na sam widok oprawcy i h u ś t a w k i. Lecz domyślam się, że ciekawi waszmoście jesteście znaczenia niektórych słów, jakich użyłem; objaśnię więc je nie czekając, aż mnie o ich sens sami zapytacie. Wiedzcież waszmoście tedy, iż h o ł o c i a r z a m i nazywamy pędziskotów, m a g l u n e k w naszym języku oznacza torturę, k w i c z o ł y – to, z przeproszeniem, wieprzaki; h u ś t a w k a znaczy tyle co szubienica. Nie dość na tym, co waszmościom przed chwilą powiedziałem, gdyż co rano odmawiamy różaniec i mamy na każdy dzień tygodnia inną modlitwę. Jest przy tym w naszym gronie wielu takich, którzy nie kradną w piątki, a w sobotę poprzysięgli nie wdawać się z żadną kobietą, której by było Maria na imię.

– Wszystko to istne skarby – rzekł Cortado – lecz proszę ja waszmości: czy skradzionych rzeczy nigdy nie zwraca się poszkodowanemu i czy żadnych pokut nie ma prócz tej, o której wspomniałeś?

– O zwrocie skradzionych przedmiotów odparł chłopiec – mowy nawet być nie może, gdyż łup zostaje podzielony na drobne części, a każdy członek, czyli delegat, bractwa zabiera do domu to, co przypadło mu w udziale. W ten sposób sprawca kradzieży nic zgoła swej ofierze nie może zwrócić i tym mniej się o to troszczy, że nikt nie nakazuje mu podobnej zabiegliwości, nie mamy bowiem w zwyczaju chodzić do spowiedzi. Jeśli zaś zdarzy się, że klątwę rzucą na złodzieja, my się o tym nie dowiemy, gdyż w takich razach nigdy nie bywamy w kościele, a odwiedzamy go tylko w uroczyste święta, kiedy duży napływ ludzi zapewnia nam obfity połów.

– I przekonani panowie jesteście – zagadnął Cortado – że mimo to wszystko życie wasze jest cnotliwe i bogobojne?

– A cóż złego robimy? – zdziwił się chłopiec. – Czyż nie lepiej żyć jak my żyjemy, niż zostać heretykiem albo odstępcą, zabić ojca i matkę lub być s o l o m i k i e m?

– Sodomczykiem, chcesz waszmość powiedzieć – poprawił Rincon.

– To właśnie – rzekł chłopiec.

– I tak źle, i tak niedobrze – odparł Cortado. – Lecz skoro los zrządził, abyśmy weszli do owego bractwa, przyśpieszmy kroku; umieram bowiem z niecierpliwości ujrzenia mości Monipodia, o którym tak wielkie słyszę cuda.

– Rychło – rzekł chłopiec – spełni się życzenie waszmości, gdyż dom jego stąd już można dojrzeć. Poczekają waszmoście chwilę przed bramą, a ja tymczasem pójdę zobaczyć, czy Monipodio nie zajęty, bo o tej właśnie porze zwykł udzielać audiencji.

– Oby los był dla nas łaskawy! – zawołał Rincon.

Postąpili jeszcze kilka kroków naprzód i chłopiec wszedł do wskazanego przez się domu, który raczej nader złym niźli dobrym zalecał się wyglądem. Dwaj nasi towarzysze pozostali przed bramą. Nie czekali długo, gdyż po chwili chłopiec ukazał się znowu. Weszli za nim, a on kazał im czekać na niewielkim dziedzińcu wybrukowanym cegiełkami, a tak czystym i wymuskanym, że zdawał się być świeżo wymazany najszczerszym karminem. Po jednej stronie stała ławka o trzech nogach, po stronie przeciwległej – konew z odtrąconym wierzchem, a na niej dzbanek nie mniej niż ona uszkodzony. Opodal leżała na ziemi mata

szpagatowa, a pośrodku stała doniczka z bazylią, jakie w Sewilli spotyka się na każdym kroku.

Chłopcy przyglądali się uważnie wszystkim tym sprzętom, czekając, rychło-li zejdzie do nich Monipodio. Widząc, że mistrz zwleka już dobrą chwilę z przybyciem, Rincon odważył się wejść do jednej z dwóch izb parterowych, które wychodziły na dziedziniec. Ujrzał tam na gwoździach zawieszone dwie szpady do szermierki i dwie tarcze korkowe; na podłodze stała wielka skrzynia, bez wierzchu, nie przykryta niczym, a koło niej rozłożone były trzy maty. Na przeciwległej ścianie widniał przyklejony do niej obraz Najświętszej Marii Panny pośledniejszej roboty, pod nim zaś wisiał koszyczek z sitowia, a w ścianę wmurowana była misa fajansowa. Rincon domyślił się, że koszyk był tam umieszczony zamiast skarbony do ofiar, a misa służyła za kropielnicę i jak się później okazało, w istocie tak było.

Weszli tymczasem do domu dwaj chłopcy, w wieku lat około dwudziestu, po studencku odziani, a w chwilę po nich dwaj pachołkowie z koszykami i jeden ślepiec. Nowo przybyli, nie wyrzekłszy słowa, poczęli przechadzać się po dziedzińcu. Wkrótce ukazali się jeszcze dwaj starcy ustrojeni w bajową odzież i okulary, które miały snadź dodawać im powagi i wzbudzać dla nich szacunek. Obydwaj trzymali w ręku różańce o dźwięcznych paciorkach. Za nimi weszła jakaś staruszka odziana w fałdzistą suknię i w milczeniu skierowała się ku izbie. Zaczerpnąwszy wody święconej z kropielnicy uklękła pobożnie przed obrazem; po długiej chwili, po trzykroć ucałowawszy ziemię i tyleż razy podniósłszy ku niebu ręce i oczy, powstała, rzuciła swój datek do koszyka i poszła przechadzać się wraz z innymi po dziedzińcu. W ten sposób zebrało się wkrótce około czternastu osób, a każdy niemal z przybywających inaczej był odziany i innym widocznie trudnił się zajęciem. Zjawili się też, jedni z ostatnich, dwaj dziarscy i wytworni młodzieńcy: mieli wąs suty a pokrętny, kapelusze o szerokich skrzydłach, kołnierze z rabatami, barwne pończochy z okazałymi podwiązkami, szpady dłuższe nad przepisaną miarę[8], zamiast puginałów – pistolety i zawieszone u boku nosili puklerze. Ci, ledwo weszli, spojrzeli z ukosa na Rincona i Cortada, jak gdyby zdziwieni obecnością nieznanych im twarzy i zbliżywszy się do nich zapytali, czy należą do bractwa. Rincon odpowiedział twierdząco, uprzejmie dodając: „Na usługi ichmości".

Nadeszła chwila, że zeszedł z góry imć pan Monipodio, z tak wielkim upragnieniem oczekiwany od owego cnotliwego grona. Był to człowiek w wieku lat czterdziestu pięciu do czterdziestu sześciu, wysokiego wzrostu, o śniadej twarzy, zrośniętych brwiach, czarnej a gęstej brodzie i głęboko osadzonych oczach. Koszulę miał na sobie rozchyloną z przodu, a był cały tak gęsto zawłosiony, że poprzez ten otwór istny las widniał na jego piersi. Miał na plecach płaszcz bajowy, który prawie do samych stóp mu spadał; obuty był w trzewiki włożone na kształt pantofli, a nogi miał pokryte przez szarawary płócienne, szerokie i tak długie, że opadały mu poniżej kostek. Na głowie nosił kapelusz o dnie w kształcie dzwonu i zwisających skrzydłach; przez pierś i ramiona – przepasany temblak, na którym wisiał miecz krótki, o szerokiej klindze, podobny do szpad wyrabianych w Toledo, z wyrytym przy rękojeści pieskiem. Ręce miał krótkie i kosmate, palce grube, paznokcie szerokie, a zagięte jak pazury; nóg nie było widać, lecz stopy miał potwornie szerokie i kościste. Był to, w rzeczy samej, istny okaz barbarzyńcy, którego wewnętrzna istota w niczym nie ustępowała owej surowej i nieforemnej powierzchowności.

Wraz z Monipodiem wszedł do izby przewodnik naszych dwóch młokosów. Ująwszy za ręce Rincona i Cortada, w takich słowach przedstawił ich hersztowi bandy:

– Oto, mości Monipodio, owi dwaj młodzieńcy, o których waszmości mówiłem. Niechże ich waszmość wyegzaminuje, a przekona się, czy nie zasługują istotnie na to, abyśmy przyjęli ich do naszego bractwa.

– Chętnie to uczynię – odparł Monipodio.

[8] Zbiór praw hiszpańskich z roku 1564 ograniczał długość szpad, jakie wolno było nosić osobom cywilnym, do niespełna czterech stóp (1 i 1/4 vara). (Przyp. tłum.)

Zapomnieliśmy dodać, że ledwo Monipodio zjawił się na progu, wszyscy obecni skłonili mu się głęboko. Jedynie dwaj na końcu przybyli wytwornisie, uchylili tylko, jakby od niechcenia, kapeluszy i powrócili do swej przechadzki po dziedzińcu. Nieco opodal przechadzał się Monipodio pytając nowicjuszów, czym się trudnią, skąd rodem i czyimi są synami.

Rincon odpowiedział mu w te słowa:

– Czym się trudnimy – wiadomo, skoro przychodzimy po opiekę do waszmości; zaś miano naszej ziemi rodzinnej i nazwiska naszych ojców, zda mi się, żadnej nie posiadają wagi, boć tu chyba nikt nie zechce uczcić nas jakimś zaszczytnym tytułem lub orderem, aby trzeba było dochodzić naszej genealogii.

Odezwał się na to Monipodio:

– Dobrze mówisz, chłopcze; pochwalam twą oględność, że ukrywasz te rzeczy, jeśliby bowiem los z czasem przeciw nam się obrócił, nie trzeba, aby było napisane w księgach sądowych lub liście więziennej: „Piotr, czy Jan, czy Kacper, syn takiego a takiego, urodzony w takiej a takiej wsi, dziś został powieszony" albo „dziś chłostę odebrał". Te i tym podobne wzmianki niezbyt pochlebnie brzmią w cnotliwych uszach. Przyznaję więc, że słuszną jest to zabiegliwością przemilczeć miano rodzinnego kraju, ukryć nazwisko swych ojców i własne zmienić; a choć między nami winno panować wzajemne zaufanie i nic ukrywać nie należy, tymczasem spytam was tylko o wasze imiona chrzestne.

Powiedział więc Rincon swe imię, a za nim i Cortado toż samo uczynił.

– Otóż chcę – rzekł Monipodio – i ta jest moja wola, abyś ty, Rinconie, nazywał się od dziś dnia R i n c o n e t e, a ty, Cortado, C o r t a d i l l o, gdyż imiona te przypadają doskonale do waszego młodocianego wieku i zgodne są z naszymi rozporządzeniami. Musimy też wiedzieć, jak się zwą ojcowie naszych towarzyszy, gdyż zwykliśmy co roku zamawiać mszę za dusze naszych zmarłych i dobroczyńców. W tym celu, z jakiejkolwiek z dokonanych kradzieży zdejmujemy pewną kwotę, czyli s t u p i d i u m, aby zapłacić nią księdza, który ową mszę odprawia, mówią bowiem, że takie msze płatne są, p e r m o d u m n a u f r a g i i[9], wielce korzystne dla dusz czyśćcowych. Do dobroczyńców naszych zaliczamy p a p u g ę[10], która nas broni, b u r e g o, który nas ostrzega, oprawcę, gdy nam względy okazuje, każdego wreszcie, kto widząc na ulicy, jak za którymś z naszych tłum się ugania z okrzykami: „Złodziej! złodziej! trzymaj! łapaj!" – stanie pośrodku i powstrzyma rozpęd ścigających mówiąc do nich: „Dajcież mu państwo rozmyślać w pokoju o utrapieniach, którymi go los niemiłosierny dostatecznie obdzielił, a za grzech kara Boża go nie minie". Dobrodziejkami naszymi bywają też siostry miłosierdzia, kiedy przychodzą nam z pomocą w g ą s i o r z e lub na galerach; dobrodziejami naszymi są również ojcowie nasi i matki, za których sprawą przyszliśmy na świat; pisarze sądowi, którzy, jeśli składnie wezmą się do rzeczy, łacno mogą każdej sprawie dać taki obrót, że najcięższy występek nie będzie człowiekowi policzony za winę i nie będzie takiej winy, która by pociągała za sobą ciężką karę. W celu uczczenia tych wszystkich naszych dobroczyńców, bractwo rokrocznie wyprawia j a b u l e u s z, z największą o k a z y j n o ś c i ą i p r z y p y c h e m, na jaki możemy się zdobyć.

– Pewno – rzekł Rinconete (ochrzczony już ostatecznie tym imieniem) – pewno, że jest to dzieło godne niebywałego a głębokiego rozumu, jakim waszmość, panie Monipodio, słynie. Lecz ojcowie nasi żyją jeszcze, a jeśli śmierć w nich wcześniej jak w nas ugodzi, nie omieszkamy dać znać o tym waszemu bogobojnemu i dobrotliwemu bractwu, aby za ich dusze zmówiono ową mszę zbawienną, którą waszmość nazwał po łacinie n a u f r a g i u m czy t e m p e s t a s. Nie wątpię zresztą wcale, że będzie ona odprawiona z równym p r z y p y c h e m i równą o k a z y j n o ś c i ą jak te, o których była mowa, jeśli oczywiście nie

[9] S u f f r a g i („jako poparcie") chciał powiedzieć Monipodio, lecz nie dopisała mu łacina, podobnie jak wyżej, kiedy rzekł s t u p i d i u m, miast s t i p e n d i u m. N a u f r a g i u m – rozbicie okrętu. (Przyp. tłum.)

[10] W gwarze złodziejskiej: adwokat. (Przyp. tłum.)

będzie waszmość uważał za stosowniejsze przepychem raczej i okazałością obdarzyć podobną uroczystość.

– Niech mnie na miejscu piorun trzaśnie, jeśli ma się stać inaczej – odparł Monipodio. Po czym zwracając się do przewodnika naszych malców, ciągnął dalej:

– Pójdź tu, Ganchuelo: czy posterunki rozstawione?

– Tak – odrzekł chłopiec, któremu było Ganchuelo na imię – trzy szyldwachy stoją na straży i nie ma obawy, aby nas zaskoczono znienacka.

– Wracając więc do rzeczy – rzekł Monipodio – chciałbym wiedzieć, dzieci, co umiecie, aby wam wyznaczyć zajęcie, które by odpowiadało waszym upodobaniom i zdolnościom.

– Ja – odparł Rinconete – znam niezgorzej sam kwiat szlachetnej nauki Vilhana:[11] wiem kiedy można w rękawie coś na później zachować; wzrok zawsze mi dopisuje, kiedy należy znaczoną kartę rozpoznać; umiem robić wolty pojedyncze, podwójne i potrójne; sztuka filowania też mi nieobca; znam klempę i chodzika, a gdy naznaczę sobie miejsce, gdzie karty mają być zebrane, pewny być mogę, że mnie mój partner nie zawiedzie. Łatwiej mi wreszcie zmówić się z towarzyszem, by wspólnie orżnąć jakiegoś pyszałka niźli zaciągnąć się do wojska, a prędzej najbardziej szczwanemu graczowi podsunę jakąś niepotrzebną młódkę niż uda mu się wymamić ode mnie dwa reale.

– Niezły początek – rzekł Monipodio – lecz wszystko to sztuczki dziecinne, jak świat stare, a tak powszechnie są w użyciu, że zna je każdy początkujący i służyć mogą tylko przeciw jakiemuś bałwanowi z tych, którzy dopóty grają i odgrywają się, póki ostatniego szeląga nie wyłożą na stół. Miejmy jednak nadzieję, że z czasem, wziąwszy z pół tuzina lekcji, zdołasz się w tej sztuce wydoskonalić: ha, może nawet kiedyś staniesz się w niej mistrzem prawdziwym.

– Niczego nie zaniedbam – odparł Rinconete – gwoli zadowoleniu waszmości, jak również i cnych członków tego bractwa.

– A ty, cóż umiesz, Cortadillo? – zapytał Monipodio.

– Ja – rzekł Cortadillo – znam taką sztukę, że kładziesz dwa, a pięć wyjmujesz[12], prócz tego umiem zręcznie wymacać i spustoszyć wszelką kieszeń.

– Cóż więcej?

– Nic, za grzechy moje – odparł Cortadillo.

– Nie trap się tym, synu – rzekł Monipodio – gdyż znajdziesz u nas bezpieczną przystań i dobrą szkołę. Nie ma obawy, abyś tu zgnuśniał i bądź przekonany, że nie opuścisz nas nie nauczywszy się wszystkiego, co ci na przyszłość może być potrzebne. A jak tam z odwagą, chłopcy?

– O, tej nam nie brak! – zawołał Rinconete. – Żadne przeciwności nas nie ustraszą, jeśli chodzi o dokonanie jakiego przedsięwzięcia, które by miało styczność z naszą sztuką i rzemiosłem.

– Bardzo dobrze – rzekł Monipodio – lecz rad bym wiedzieć, że ta odwaga nie opuści was i w nieszczęściu: że potraficie znieść wszelki m a g l u n e k z zaciśniętymi zębami, nie powiedziawszy nawet: „oto moje usta".

– Wiemy już, mości Monipodio – odparł Cortadillo – co znaczy m a g l u n e k. Na nic nie zbraknie nam odwagi, gdyż nieuctwo nasze nie sięga tak daleko, abyśmy nie rozumieli, że za to, co język powie, gardłu trzeba będzie zapłacić. Szczęście to dla przestępcy, gdy w jego ręku spoczywa wybór między życiem a śmiercią, pod warunkiem, że będzie umiał należycie przypilnować swego języka. Zresztą, czyż jedno n i e trudniej wymówić niż jedno t a k?

– Doskonale! – zawołał Monipodio – więcej mi nie potrzeba! Słowa twoje tak

[11] W epoce Cervantesa przypisywano niejakiemu Vilhanowi wynalazek gry w karty i czyniono z niego niejako patrona szulerów. (Przyp. tłum.)

[12] „Mete dos y saca cinco". Ta sztuczka złodziejska polegała na wyławianiu przedmiotów za pomocą dwóch palców. (Przyp. tłum.)

przekonywająco świadczą o waszych zdolnościach, że widzę się zobowiązany, zniewolony, zmuszony wszystko uczynić, co będzie w mojej mocy, abyście zostali przyjęci niezwłocznie na rzeczywistych członków naszego bractwa, nie przechodząc przez rok nowicjatu.

– I ja myślę, że tak być powinno – odezwał się jeden z obecnych junaków.

Zawtórowali mu jednogłośnie wszyscy, prosząc Monipodia, aby pozwolił chłopcom korzystać ze wszelkich praw i przywilejów, jakie bractwo zapewnić mogło swym członkom, gdyż, zarówno ze względu na ich osoby jak przemówienia, godni byli tego zaszczytu. Monipodio odparł, że pragnąc uczynić zadość żądaniom ogółu, nadaje chłopcom wszystkie przywileje, których się słusznie dla nich domagano. Zwracając się następnie do Rinconeta i Cortadilla, powiedział im, jak wielkiego dostępują zaszczytu: na mocy bowiem owych przywilejów nie będą zmuszeni płacić myta od pierwszej kradzieży; nie będą używani przez rok cały, jak inni nowicjusze, do podrzędniejszych czynności, a więc nie będą zmuszeni chodzić z poleceniami od starszej braci do więzienia i do domu publicznego; pić będą wino niechrzczone; będą mogli wyprawiać uczty w dowolnym miejscu, kiedy im się tylko spodoba i nie prosząc o pozwolenie swego zwierzchnika; jako członkowie czerpać będą mogli od tej chwili, na równi ze starszą bracią, z ogólnego spichlerza, nie licząc innych zysków i korzyści, jakie im nowe stanowisko miało zapewnić. Chłopcy przyjęli wszystko jako łaskę niesłychaną i w gorących a serdecznych słowach podziękowali za zaszczyt, jakiego dane im było dostąpić.

Tymczasem przybiegł pędem i bez tchu prawie chłopiec jakiś, wołając:

– Alguacyl od włóczęgów kieruje się w stronę naszego domu; ale żadnej straży przy nim nie ma.

– Nie trwóżcie się, chłopcy – rzucił Monipodio – alguacyl jest naszym sprzymierzeńcem i pewno nie przychodzi tu w złych zamiarach. Niechaj się więc wszyscy uspokoją, a ja wyjdę na ganek z nim pomówić.

Obecni, zrazu słowami chłopca zastraszeni, uspokoili się, a Monipodio wyszedł na ganek, gdzie oczekiwał go już alguacyl. Pomówiwszy z nim chwil kilka powrócił do izby i zapytał:

– Komu z was wypadło dzisiaj znajdować się na placu świętego Salwatora?

– Ja tam byłem – odparł przewodnik naszych młokosów.

– Czemuż to więc – rzekł Monipodio – nic jeszcze nie wiem o pewnej kiesce, z którą tak łatwo dziś rano na tym właśnie miejscu ktoś dał sobie radę? Zawierała piętnaście dukatów w złotej monecie, dwa podwójne reale i nie wiem ile tam czwartaków.

– Prawda to – odparł chłopiec – że znikła dziś na placu świętego Salwatora kieska jakaś, zawierająca tę właśnie kwotę; ale nie moja w tym była ręka i nie pojmuję nawet, kto mógł ją sobie przywłaszczyć.

– Ze mną nie ma żartów! – zawołał Monipodio. – Kieska musi się znaleźć, bo prosi o nią alguacyl, który jest nam przyjacielem i rokrocznie setki usług nam oddaje.

Chłopiec począł zaklinać się na wszystkie świętości, że nic nie wie o kradzieży. Monipodio nie dawał za wygraną i zapałał takim gniewem, że zdało się, iż skry rzucały jego oczy.

– To nie kpiny! – wołał. – Niechaj nikt nie kusi się wykraczać przeciw najdrobniejszemu punktowi ustawy naszego bractwa, bo życiem może przypłacić taką swawolę! Kieska musi się znaleźć, a jeśli ją kto ukrywa, aby należnego myta nie zapłacić, z własnych zasobów pokryje szkodę, bo cokolwiek się stanie, alguacyl musi stąd wyjść zadowolony.

Chłopiec począł znowu przysięgać i zaklinać się mówiąc, że nie on popełnił tę kradzież i że nigdy owej kieski nie widział na oczy. Wszystko to sprawiło, że Monipodio gwałtowniejszym jeszcze zapałał gniewem, a całe zgromadzenie zaniepokoiło się widząc, że ich statuty i dobre porządki grożą ruiną.

Rinconete przeto, widząc tak wielką trwogę i zamieszanie, wpadł na myśl, że byłoby lepiej położyć kres owym niepokojom i dogodzić hersztowi bandy, który teraz pienił się już ze złości. Naradziwszy się tedy ze swym przyjacielem, za jego zgodą wyjął z zanadrza sakiewkę

zakrystiana i rzekł:

– Niechaj ustaną spory i waśnie, panowie, bo oto jest sakiewka, o której mowa, a kwota, której alguacyl się domaga pozostała w niej nienaruszona. Złowił ją dziś rano mój towarzysz, Cortadillo, wraz z chustką, która do tego samego należała właściciela.

Cortadillo tymczasem wyjąwszy z kieszeni chusteczkę pokazywał ją obecnym.

Monipodio widząc, jak się sprawa miała, z tymi słowy zwrócił się do chłopców:

– Cortadillo dobrotliwy (ten bowiem przydomek ma mu na przyszłość pozostać) niechaj zatrzyma dla siebie chustkę i niech zapisze na mój rachunek wdzięczność za oddaną nam przysługę, alguacyl zaś zabierze kieskę, gdyż jest ona własnością pewnego zakrystiana, którego łączy z alguacylem bliskie pokrewieństwo, a słuszną jest rzeczą, aby i dla niego okazało się prawdziwym przysłowie, które powiada: „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie". W istocie zacny ten alguacyl swym milczeniem tyle się nam w jeden dzień przysłuży, że i w pół roku nie zdołamy okazać mu należycie naszej wdzięczności, co zresztą nie leży w naszych zwyczajach.

Przyklasnęli wszyscy wspaniałomyślności naszych dwóch nowicjuszów i decyzji swego zwierzchnika, który wyszedł, by oddać kieskę alguacylowi. Cortadillo zachował przydomek dobrotliwego, podobnie jak ongi Don Alonzo Perez de Guzman, przezwany el Bueno, który z murów oblężonej Tarify rzucił miecz w obóz najeźdźców godząc na życie swego jedynego syna.

Gdy Monipodio powrócił, weszły wraz z nim do izby dwie dziewczyny o twarzach mocno urózowanych, wargach zabarwionych karminem i pomadą wymuskanych piersiach, ustrojone w jedwabne szale, ruchliwe i pełne bezwstydu. Wszystko to były niechybne oznaki, po których Rinconete i Cortadillo łacno poznali, że nowo przybyłe wychodziły z domu publicznego i w rzeczy samej nie mylili się wcale. Od samego progu rzuciły się w objęcia Szczutka i Żelaznej Ręki, tak bowiem nazywano dwóch na samym końcu przybyłych wytwornisiów, a przydomek tego ostatniego stąd pochodził, że miał istotnie żelazną rękę w miejsce własnej, którą ucięto mu na mocy wyroku sądowego. Młodzieńcy uściskali je radośnie pytając, czy przynoszą ze sobą jakąś drobnostkę do zwilżenia przewodu pokarmowego.

– A jakżeby nie, gołąbku mój? – odparła jedna z dziewczyn, którą nazywano Gananciosa. – Przyjdzie tu niebawem twój wierny pachołek, Silbatillo i przyniesie koszyk z butelkami, a w nich to, co Bóg raczył nam dać na dzisiaj.

Prawdą było, co rzekła, gdyż w tej samej chwili wszedł chłopiec niosąc koszyk do butelek pokryty prześcieradłem. Uradowali się wszyscy na widok Silbata, a Monipodio kazał niezwłocznie rozłożyć na środku izby jedną z mat szpagatowych, które znajdowały się w domu; kazał następnie wszystkim usadowić się wkoło, aby, zapomniawszy swary i niesnaski, o ważniejszych pogawędzić sprawach. Na to odezwała się staruszka, która zmówiła była modlitwę przed obrazem:

– Monipodio, synu miły, nie do uczt mi teraz, gdyż od dwóch dni cierpię na takie zawroty głowy, że do szaleństwa mnie doprowadzają, a prócz tego, zanim nadejdzie południe, muszę zmówić pacierze i zapalić świeczkę przed Najświętszą Panienką i przed obrazem świętego Augustyna, bo tego obowiązku nie zaniedbam, choćby spadły śniegi i wichry się rozhukały. Przyszłam tu dzisiaj, gdyż Renegat i Stunogi przynieśli mi wczoraj wieczorem kosz do butelek, większy nieco od tego, który tutaj stoi, pełny nowiutkiej bielizny. Bogiem a prawdą, chłopcy nie zdążyli nawet usunąć resztek popiołu pozostałych po praniu, przyszli pokryci potem kroplistym i aż litość brała patrzeć na nich, tak byli zziajani i zadyszani, biedni aniołkowie. Powiedzieli mi, że poszli śladem jakiegoś handlarza bydłem, który sprzedał był w rzeźni kilka cieląt i zamierzali właśnie zawrzeć bliższą znajomość z sakwą pełną reali, którą miał przy sobie, gdy nadarzyła im się inna okazja. Nie wyłożyli bielizny ani jej nie policzyli, ufni w moją uczciwość i klnę się na Boga, że nie tknęłam nic z owego kosza i że stoi teraz u

mnie taki, jakim był, kiedy na światło dzienne się narodził.

– Wierzymy ci, pani matko – odparł Monipodio – niech sobie kosz stoi tymczasem u ciebie, a pod wieczór pójdę sprawdzić jego zawartość; wszystko porachuję i dam każdemu, co mu przypadnie w udziale, rzetelnie a sprawiedliwie, jak to jest moim zwyczajem.

– Niech będzie, jak zechcesz, synu – rzekła staruszka – a że czas zaczyna mi się dłużyć, dajcie mi przełknąć, czym chata bogata, aby pocieszyć ten strapiony żołądek, który wciąż mi omdlewa.

– A czegóż chciałabyś się napić, matko miła? – zapytała Escalanta (gdyż tak nazywała się towarzyszka Gananciosy).

To mówiąc otworzyła kosz i ukazał się miech skórzany, który zawierał około dwóch arrobów[13] wina, i wiadro z drzewa korkowego, w którym z łatwością pomieścić się mogły dwie kwarty. Escalanta napełniwszy wiadro winem podała je bogobojnej staruszce, która ujęła naczynie w obie ręce, zdmuchnęła pianę z wierzchu i rzekła:

– Dużo nalałaś, córko, lecz jeśli Bóg łaskaw, starczy mi sił i na to.

I podniósłszy wiadro do ust jednym tchem przelała z niego wino do żołądka, po czym dodała:

– Pańskie winko, z Guadalcanalu rodem i nawet jeszcze lekkiego smaczku gipsu nie straciło. Bóg ci zapłać, córko miła, takie mi dałaś pocieszenie. Boję się tylko, by mi nie zaszkodziło, gdyż od rana nic jeszcze w ustach nie miałam.

– Nie zaszkodzi, matko – odparł Monipodio – bo wino jest stare, trzyletnie.

– Tak mi Panno Najświętsza dopomóż – rzekła staruszka, po czym dodała, zwracając się do dziewczyn:

– A poszukajcie czy nie macie tam jakiego czwartaka, abym mogła kupić świeczki na ołtarz, bo tak śpieszno mi było do was z nowiną o koszu, że zapomniałam w domu torebki z pieniędzmi.

– Mam ja trochę drobnych, matko Pipoto (tak nazywała się owa zacna staruszka) – rzekła Gananciosa – proszę, oto dwa czwartaki; za jednego dla mnie kupcie świeczkę i zapalcie ją przed obrazem świętego Michała, a jeśli na dwie starczy, niech druga będzie dla świętego Błażeja, gdyż ci są moi obrońcy. Chciałabym też świeczkę dla świętej Łucji (bo i do niej modlę się niekiedy, ze względu na ową przeprawę z oczyma), ale nie mam już drobnych: przyjdzie jednak czas, że starczy nam na wszystko.

– Dobrze mówisz, córko – odparła Pipota – a dbaj zawsze o to, by ci nie zbrakło na starość zaoszczędzonego grosza, rzecz to bowiem wielkiej wagi, aby człowiek umierając miał przy sobie gromnicę zapaloną, a nie czekał aż mu ją przyniosą spadkobiercy lub egzekutorzy testamentu.

– Prawdę mówi matka Pipota – odezwała się Escalanta i sięgnąwszy do woreczka dała staruszce jednego jeszcze czwaraka prosząc, aby zapaliła i za nią dwie świeczki ku czci świętych, którzy wydadzą się jej najbardziej użyteczni i godni wdzięczności. Pipota zagarnęła miedziaki i skierowała się ku wyjściu, mówiąc na odchodnym:

– Bawcie się, dzieci, póki czas jeszcze po temu; bo nadejdzie starość i płakać będziecie chwil straconych waszej młodości, jak ja dzisiaj płaczę moich młodych lat. W waszych modlitwach polecajcie mnie Bogu, a i ja o was nie zapomnę i prosić Go będę, by nas ochraniał w naszym niebezpiecznym rzemiośle, by strzegł nas zawsze od najścia władz sądowych i ceklarzy.

To rzekła i odeszła.

Gdy za staruszką drzwi się zamknęły, wszyscy usadowili się dokoła maty, a Gananciosa, w braku obrusa, pokryła ją prześcieradłem. Następnie wyjęła z koszyka najpierw wielką wiązkę rzep i około dwóch tuzinów pomarańcz oraz cytryn, później sporą puszkę smażonego

[13] Arroba – dawna miara płynów w Hiszpanii: zawierała koło 15 litrów. (Przyp. tłum.)

sztokfisza pokrajanego w plasterki. Ukazało się potem pół sera holenderskiego i cały garnek doskonałych oliwek, półmisek homarów i krabów sosem kaparowym i pieprzem tureckim zaprawionych, wreszcie dwa bochenki przedniego chleba białego z okolic Gandulu. Biesiadników było około czternastu, a żaden z nich nie omieszkał położyć przed sobą noża o żółtym trzonku, prócz jednego Rinconeta, który wyjął swą złamaną szpadę. Starcom w bajowej odzieży i przewodnikowi naszych dwóch chłopców przypadł w udziale obowiązek nalewania wina do wiadra, które wszystkich obecnych obchodziło koleją. Lecz ledwo zabrano się do pomarańcz, gwałtowne pukanie do drzwi rzuciło popłoch na całe towarzystwo. Monipodio polecił wszystkim, by się uspokoili, wszedł do izby, zdjął ze ściany tarczę, dobył szpady i, zbliżywszy się do drzwi, głuchym a przeraźliwym głosem zapytał:

– Kto idzie?

Odpowiedziano mu z zewnątrz:

– To ja, czyli że jakby nikogo nie było, mości Monipodio. To ja, Tagarote, który stoję dziś na straży; a przychodzę powiedzieć, że idzie tu Julia Caricharta w tak wielkiej rozpaczy i tak zapłakana, że niechybnie jakieś nieszczęście musiało ją spotkać.

W tej samej chwili ta, o której mówił, nadeszła szlochając, Monipodio zaś usłyszawszy ją otworzył drzwi i polecił szyldwachowi, by wrócił na swój posterunek, a na przyszłość z mniejszym hałasem dawał znać o tym, co dostrzeże. Taragote oddalił się obiecując poprawę.

Weszła na dziedziniec Cariharta, dziewczyna tego samego rodzaju, co dwie poprzednio przybyłe i tym samym trudniąca się zajęciem. Była cała rozczochrana, twarz miała pełną sińców i ledwo ukazała się na dziedzińcu, padła zemdlona. Gananciosa i Escalanta rzuciły się jej z pomocą i rozpinając ją dostrzegły, że całą pierś miała jak gdyby poranioną. Obleli jej twarz wodą, tak że wkrótce odzyskała zmysły i wnet wołać poczęła:

– Oby sprawiedliwość Boża i sądy królewskie nie oszczędziły tego rzezimieszka skórozdziercę, tego tchórza poczwarnego, tego wszawego rozbójnika, który ma więcej grzechów na sumieniu niż włosów na głowie! A ileż to razy uratowałam go od szubienicy! I pomyśleć, że zmarnowałam moją młodość, że kwiat moich lat straciłam dla takiego pyszałka bez serca, podłego i niepoprawnego.

– Uspokój się, Cariharto – odezwał się na to Monipodio – bo ukaranie winowajcy do mnie należy: powiedz nam, kto cię skrzywdził, a sprawiedliwości stanie się zadość. Czyżby na cześć twoją ośmielił się kto godzić? Jeśli tak i zemsty żądasz, słówko starczy ci pisnąć.

– Co mi cześć moja? – odparła Julia – na tamtym świecie niech mnie po śmierci szanują. Tutaj obym tylko mogła więcej zaznać szacunku od tego łajdaka, który jest lwem z owieczkami, a wobec ludzi staje się jagnięciem. Z tym łotrem, nicponiem miałabym jeszcze chleb wspólny pożywać i spać w jednym łożu? Niedoczekanie jego! Oby raczej szakale poszarpały mnie w kawałki! Spojrzyjcież tylko, jak mnie urządził.

Z tymi słowy uniosła sukni aż do kolan i nieco wyżej jeszcze, pokazując nogi pełne pręg i sińców:

– Oto jak mnie ubrał ten podły Repolido, który więcej dobrego mi zawdzięcza, niż matce, co go na świat wydała. A wiecie dlaczego tak mnie wymłócił? Myślicie może, że ja mu dałam do tego powód? Otóż nie: było to tak, że grał i przegrywał i kiedy już nie miał więcej gotówki, przysłał mi swego pachołka, Owczarka, abym mu dała trzydzieści reali; posłałam mu tylko dwadzieścia cztery, wszystko co mogłam. Oby trud, z jakim zdobyłam te grosze, policzony mi był na Sądzie Ostatecznym przy odpuszczeniu grzechów! I oto, w zamian za moje dobre serce, ten rozbójnik myśląc, że ukrywam coś przed nim z rachunku, który on sobie wyobraził, dziś rano wywiódł mnie na pole za Sady Królewskie i tam, wśród drzew oliwnych, rozebrał mnie do naga i począł okładać paskiem skórzanym nie zdjąwszy nawet klamry żelaznej; tak mnie w końcu wymłócił, że na wpół żywa zostałam wśród pola. Obym go mogła w kajdanach oglądać! Te sińce, które widzicie, są dostatecznym świadectwem, że szczerą prawdę wam mówię.

Tu znowu poczęła biadać i wołać o sprawiedliwość i znowu Monipodio, a za nim wszyscy obecni junacy przyrzekli pomścić jej krzywdę. Gananciosa wzięła ją za rękę i poczęła pocieszać mówiąc, że najcenniejsze swe klejnoty oddałaby za to, aby i jej się coś podobnego z jej kochankiem wydarzyło.

– Trzeba ci bowiem wiedzieć – rzekła – Cariharto, siostro miła, że kto się lubi, ten się czubi, a kiedy ci złodzieje gnębią nas, biją i kopią, wtenczas dopiero prawdziwie nas ubóstwiają. A powiedzże tak z ręką na sercu: kiedy Repolido dobrze cię zbił i wyłajał, czy nie próbował przebłagać cię jaką pieszczotą?

– Tysiąc pieszczot próbował – odparła, we łzach cała, zapytana – byłby dał palec sobie uciąć, abym tylko zgodziła się iść z nim do domu, a nawet zdaje mi się, że miał łzy w oczach, gdy odchodził.

– Nie dziwota to – rzekła Gananciosa – płakał pewno widząc, w jakim zostawia cię stanie, gdyż wszyscy oni w podobnych wypadkach, ledwo ochłoną od gniewu, już żałują swej winy. Przekonasz się, siostro moja, że zanim ten dom opuścimy, sam do ciebie przyjdzie, pokorny jak jagnię i błagać cię będzie o przebaczenie.

– Zaprawdę – zawołał Monipodio – ten szubienicznik nie przestąpi naszego progu, dopóki publicznie nie upokorzy się za swój postępek! I pomyśleć, że łajdak ośmielił się podnieść rękę na Carihartę, która czystością obyczajów i zapobiegliwością prawie słynie, jak nasza Gananciosa, a tej chyba jeszcze żadna nigdy nie dorównała.

Tu wtrąciła Julia:

– O, proszę, mości Monipodio, niechże waszmość źle nie mówi o tym łotrze przeklętym, bo mimo wszystko kocham go i strzegę jak oka w głowie, a to, co Gananciosa powiedziała na jego usprawiedliwienie wystarczyło, by mi rozum przywrócić. Doprawdy, mam ochotę iść po niego.

– Tego, radzę ci, nie czyń – rzekła Gananciosa – gdyż wzbije się w pychę i na przyszłość będzie pomiatał tobą jak ścierką. Uspokój się raczej, siostro miła, bo przekonasz się wkrótce, że sam do ciebie przyjdzie, pokorny i skruszony, a jeśli nie, napiszemy mu wierszem taki liścik, że ciężko zrobi mu się na sercu.

– Na to zgoda – odparła Cariharta – gdyż tysiąc rzeczy mam mu do napisania.

– Ja – rzekł Monipodio – będę sekretarzem, jeśli okaże się tego potrzeba; a choć wcale nie jestem poetą, wiadomo jednak, że jeśli człowiek zechce zadać sobie nieco trudu, zdoła sklecić jako tako choćby i dwa tysiące zwrotek. Zresztą, jeśli mi się to nie uda, mam ja pewnego przyjaciela, cyrulika, który jest prawdziwie wielkim poetą i w każdej chwili gotów nam dopełnić brakujących do rytmu sylab. My zaś, zanim zabierzemy się do dzieła, skończmy tymczasem zaczęte śniadanie.

Julia bez trudu usłuchała rady swego zwierzchnika i wszyscy powrócili do przerwanego g a u d e a m u s z takim zapałem, że wkrótce ukazało się dno kosza, a z łagwi ostatnią wyciśnięto kroplę. Starzy pili s i n e f i n e, młodzi – obficie, a niewiastom wypadło dopełnić miary owej litanii. Następnie Monipodio pozwolił starcom, na ich własne żądanie, opuścić towarzystwo, poleciwszy im, aby skrzętnie zbierali wszelkie wiadomości, które by mogły gminie być przydatne. Odpowiedzieli, że wszelkich dołożą starań, aby nie zdradzić pokładanego w nich zaufania i odeszli. Rinconete, który z natury był ciekawy, przeprosiwszy za swą śmiałość zapytał Monipodia, jaką by grać mogły rolę te dwa osobniki, tak siwe, powagi pełne i czcigodne. Odparł mu na to, zagadniony, że owych starców w mowie złodziejskiej zowią „szerszeniami", a zajęcie ich na tym polega, że przez dzień cały chodzą po mieście i zawiadamiają towarzyszy, do jakich domów można nocą iść na połów. Prócz tego w zakres ich obowiązków wchodziło śledzić urzędników, którzy wynoszą pieniądze z Mennicy, aby przekonać się kędy je zaniosą i w jakim miejscu ukryją. Wywiedziawszy się o tym wszystkim wracali do domu, gdzie pieniądze złożono i mierzyli grubość murów szukając, którędy najłatwiej będzie się włamać. Monipodio dodał, że byli to ludzie dla bractwa

niezmiernie cenni i że ze wszystkiego, co za ich sprawą skradziono, dostawali dwudziesty procent, podobnie jak piąta część Skarbu Narodowego przypada w udziale Najjaśniejszemu Panu. Rzekł wreszcie, że starcy owi byli wielce uczciwi, szanowani, dbali o swą dobrą sławę, sumienni i bogobojni, że co dzień słuchali Mszy Świętej i modlili się z przedziwnym nabożeństwem.

– Niektórzy z nich – dodał – a zwłaszcza ci dwaj, którzy wyszli stąd przed chwilą, zadowalają się wynagrodzeniem znacznie niższym od tego, jakie im, według naszych obliczeń, przypada w udziale. Mamy innych dwóch, którzy z zawodu są tragarzami i ze względu na swe rzemiosło chodzą często po przeróżnych domach, znają wszelkie wejścia i drogi do odwrotu i wiedzą, które z nich są niezawodne, które zdradliwe.

– Wszystko to istne cuda – rzekł Rinconete – i pragnąłbym gorąco przydać się na coś tak świetnemu bractwu.

– Niebo dobrym chęciom zawsze sprzyja – odparł mu na to Monipodio.

Gdy tak gawędzili o tych i innych rzeczach, zapukano do drzwi. Podniósł się Monipodio, aby zapytać, kto idzie i odpowiedziano mu z progu:

– Proszę otworzyć, mości Monipodio; to ja, Repolido.

Cariharta usłyszawszy te słowa podniosła głos do nieba, wołając:

– Proszę nie otwierać, mości Monipodio! Nie otwierajcie temu ludożercy, temu Herodowi, temu Okieńskiemu tygrysowi.

Nie przeszkodziło to jednak hersztowi bandy wpuścić nowo przybyłego na dziedziniec. Lecz Cariharta widząc, że wrota otwarte, zerwała się na nogi, wpadła do izby, gdzie znajdował się oręż i stamtąd, zamknąwszy drzwi za sobą, poczęła wołać wielkim głosem:

– Niech go nie widzę na oczy, tego próżniaka, tego kata niewiniątek, tego tępiciela gołębi domowych!

Żelazna Ręka i Szczutek starali się tymczasem przytrzymać Repolida, który gwałtem chciał wejść do izby, gdzie zamknęła się była Cariharta. Lecz, nie mogąc kroku naprzód postąpić, przez zamknięte drzwi wołał do niej:

– Dosyć już, dosyć, złośnico! Uspokój się, serce moje! Obyś tak w tym roku jeszcze wyszła za mąż!

– Ja, za mąż? – odparła Cariharta. – Patrzcież go, jaki chytry; chciałbyś ty pojąć mnie za żonę, ale raczej za pokrajanego trupa wyjdę, niż za ciebie!

– Cicho, głupia – rzekł Repolido – dosyć tego: skończmy swary, bo już późno. A uważaj, abym nie stracił cierpliwości, bo choć jestem spokojny i pokorny, jeśli się znowu rozzłoszczę, jak Bóg na niebie, gorzej będzie teraz niż dziś rano. Toteż moja rada, przeprośmy się i nie wywołujmy wilka z lasu.

– I diabła samego z lasu wywołam – krzyczała Cariharta – bodajbyś tylko poszedł na złamanie karku i żebym cię nie widziała więcej na oczy!

– Nie mówiłem wam? – odezwał się Repolido. – Na Boga żywego, zdaje mi się, że jeszcze chwila, a przerwę te układy i inną zacznę rozmowę.

Tu wmieszał się Monipodio:

– W mojej obecności nie będzie żadnych bójek: Cariharta wyjdzie nie na twoje groźby, ale dlatego, że ja ją o to poproszę i wszystko się skończy ku ogólnemu zadowoleniu. Bo niesnaski między kochankami to mają do siebie, że później tym przyjemniej jest się godzić. Hejże, Juleczko! hej, córko! Hej, Cariharto najmilsza! Wyjdźże do nas serce, a ja już to na siebie biorę, że Repolido na kolanach cię będzie przepraszał.

– Jeśli te przeprosiny mają być upokorzeniem – rzekł na to Repolido – lub mogą uchybić godności osobistej, to i przed całym wojskiem zbirów się nie upokorzę. Lecz jeśli o to tylko chodzi, że taki hołd ma być Cariharcie przyjemny, nie mówię, że się rzucę na kolana, ale rzucę się z wieży zamkowej, gdy ona tego zażąda.

Z tej odpowiedzi śmiać się poczęli Szczutek i Żelazna Ręka, co srodze zagniewało

Repolida, który myślał, że dworują sobie z niego. Toteż, zwracając się do nich, zawołał gwałtownie:

– Ktokolwiek będzie się śmiał albo zechce śmiać się z tego, co Cariharta powiedziała na mnie albo ja na nią, niechaj wie, że łże bezczelnie i będzie łgał za każdym razem, gdy mu przyjdzie ochota do śmiechu, jak powiedziałem.

Szczutek i Żelazna Ręka spojrzeli na siebie z ukosa, a Monipodio łacno spostrzegł, że źle może skończyć się ta rozmowa, jeśli sam nie zażegna kłótni. Toteż, stanąwszy wnet między nimi, zawołał:

– Dość tego, panowie! Zaniechajcie słów obelżywych i trzymajcie język za zębami. A tych wszystkich błahostek niechaj żaden z was nie bierze do siebie.

– Nie wątpimy wcale – odparł Szczutek – że podobnych słów nikt nie ośmieliłby się do nas skierować, bo gdybyśmy mieli tylko podejrzenie, że ta przemowa do nas się stosuje, pewno nie dalibyśmy czekać na odpowiedź.

– Jeśli cię ręka świerzbi, mości Szczutku – rzekł mu na to Repolido – wiedzże o tym, że i my mamy tęgie ramiona, a powiedziałem już, że ten, kto się tu zaśmiał, jest kłamcą i łajdakiem. Jeśli mi kto zechce zaprzeczyć, niech idzie ze mną, a z mieczem w ręku mu pokażę, że co rzekłem, to rzekłem.

Z tymi słowy Repolido kierował się już ku drzwiom prowadzącym na ulicę. Cariharta, która słyszała całą rozmowę, widząc, że tak zaperzony zamierza dom opuścić, wyszła na dziedziniec wołając:

– Trzymajcie go! Niech nie odchodzi, bo znowu coś zbroi. Czy nie widzicie, że złość nim trzęsie? A kiedy chodzi o odwagę, nie dorównałby mu sam Judasz Makarelusz. Wróćże się, ty mój bohaterze srogi!

To mówiąc zagrodziła mu drogę i mocno uczepiła się jego płaszcza. Monipodio wnet pośpieszył jej z pomocą i wspólnymi siłami zdołali go przytrzymać. Szczutek i Żelazna Ręka pozostali na boku, nie wiedząc, czy wypada im się gniewać, czy nie, i czekali, co uczyni Repolido. Ten zmiękł wreszcie na prośby Cariharty i Monipodia i powrócił, mówiąc:

– Nigdy przyjaciele nie powinni obrażać swych przyjaciół, ani kpić sobie z przyjaciół, a zwłaszcza wówczas, kiedy widzą przyjaciół swoich zagniewanych.

– Nie ma tu przyjaciela – odparł Szczutek – który by zdolny był drwić ze swych przyjaciół, a żeśmy wszyscy przyjaciele, niech przyjaciele podadzą sobie ręce.

Na to odezwał się Monipodio:

– Mówicie waszmość, jak winni mówić dobrzy przyjaciele i jako tacy podajcież sobie przyjacielskie ręce.

Uścisnęli sobie tedy powaśnieni dłonie, a Escalanta zdjąwszy z nogi jedną trepkę poczęła grać na niej jak na tułumbasie. Gananciosa wzięła miotłę, która przypadkiem tam się znajdowała i skrobiąc o nią paznokciami jęła wydobywać dźwięki, które choć przykre i piskliwe, zgadzały się jednak z uderzeniami trepki. Monipodio stłukł talerz i ująwszy między palce dwie skorupy począł nimi takt wybijać, wtórując trepce i miotle. Rinconete i Cortadillo przyglądali się ze zdziwieniem tym niezwykłym instrumentom muzycznym, gdyż nigdy przedtem nie widzieli podobnej orkiestry. Zauważył to Żelazna Ręka i rzekł do nich.

– Podoba się wam ta muzyka na miotle? Nie dziwi mnie to wcale, gdyż nie masz na świecie całym równie prostych i tanich narzędzi muzycznych, jak te, które przed sobą widzicie. Mówił mi przed kilku dniami pewien student, że ani O g n i f e u s z, który A r a n k ę wywiódł z piekła, ani M a r i o n, który wsiadł na delfina i jeździł tak po morzu jak na wynajętym mule, ani inny jeszcze wielki muzyk, który wybudował miasto o stu bramach i tyluż oknach, nigdy nie wynaleźli muzyki lepszej i łatwiejszej do nauczenia. Żaden z tych nieboszczyków nie umiał podobnie jak my grać na instrumentach bez strun i klawiszy, których w dodatku nigdy nie trzeba stroić. Słyszałem nawet, że ten wynalazek przypisują pewnemu zuchowi z naszego miasta, który jest pono w muzyce istnym Hektorem.

– Musi to być prawda – odparł Rinconete – lecz posłuchajmy, co też nam zaśpiewają nasi muzykanci, bo zdaje mi się, że Gananciosa splunęła, co jest nieomylnym znakiem, że szykuje się do śpiewu.

Tak też było w rzeczy samej, gdyż Monipodio poprosił ją był, aby zaśpiewała kilka powszechnie znanych w Sewilli zwrotek. Zaczęła jednak nie Gananciosa, a Escalanta, która wdzięcznym a melodyjnym głosem zaśpiewała:

Dla Sewillańczyka
O rudej czuprynie
Tak cała goreję,
Że aż serce ginie.

Ciągnęła dalej na tę samą nutę Gananciosa:

Gdzie szukać dziewczyny,
Która się nie sparzy
Na ognistym chłopcu
O brunatnej twarzy?

Następnie Monipodio, w szybszy ruch wprawiwszy swe skorupy, zanucił:

Waśnią się i godzą
Kochankowie młodzi:
Niech się czubią zdrowi,
Gdy im to nie szkodzi.

Nie chciała Cariharta pominąć milczeniem swego zadowolenia, bo wziąwszy również w rękę trepkę poczęła tańczyć, wybijając na niej takt i przyśpiewując:

Wstrzymajże, szaleńcze,
Tych razów wichurę,
Bowiem, koniec końców,
Własną smalisz skórę.

– Śpiewajcież sobie, ile chcecie – rzekł na to Repolido – ale nie poruszajcie starych dziejów, bo nie ma po co: co się stało, to się nie odstanie; o nowych mówmy więc sprawach i kwita.

Zanosiło się już na dłuższe tańce i śpiewy, gdy nagle szybkie pukanie do drzwi położyło kres zabawie. Monipodio zapytał, kto idzie, a szyldwach odparł, że na końcu ulicy ukazał się sędzia miejski i że szli przed nim dwaj ceklarze wydziału śledczego, Tordillo i Cernicalo. Odpowiedź ta, usłyszana przez wszystkich, taką trwogę rzuciła na towarzystwo, że Cariharta i Escalanta wdziały na wywrót swe trepki, Gananciosa odłożyła na bok miotłę, a Monipodio swe skorupy i w kłopotliwym milczeniu ucichła cała muzyka. Oniemiał Szczutek, zbladł Repolido, zatrwożył się Żelazna Ręka i wszyscy, jeden po drugim, skryli się po kątach, a niektórzy aż na dach weszli, myśląc, że tą drogą łatwiej im będzie się dostać na ulicę i umknąć. Nigdy strzał z rusznicy lub nagły odgłos grzmotu tak nie przeraził stada rozigranych gołębi, jak zatrwożyła owo szlachetne grono wiadomość o nieoczekiwanej wizycie sędziego i jego pomocników. Nasi dwaj nowicjusze, Rinconete i Cortadillo, nie wiedzieli gdzie się ukryć; pozostali więc na miejscu czekając końca owego nagłego zamieszania i ciekawi, co z tego wyniknie. Wynikło tyle, że wrócił szyldwach i oznajmił, iż sędzia przeszedł koło domu

nie zdradziwszy najmniejszym ruchem, aby miał coś złego podejrzewać.

Ledwo szyldwach skończył swą relację, zjawił się w drzwiach jakiś młody mężczyzna, po zawadiacku nieco odziany. Monipodio wziął go ze sobą do izby i kazał zawołać Szczutka, Żelazną Rękę i Repolida, innym zaś zabronił wchodzić. Rinconete i Cortadillo, pozostawszy na dziedzińcu, mogli słyszeć całą rozmowę między Monipodiem a nowo przybyłym gościem, który zaczął od tego, że zapytał herszta, dlaczego dane mu polecenie tak źle zostało spełnione. Monipodio odparł mu na to, że sam jeszcze nie wiedział, jak załatwiono rzecz całą, dodając że przyjdzie za chwilę jego pełnomocnik, któremu sprawę powierzono, a ten będzie mógł zdać ze wszystkiego dokładną relację. W trakcie tego zeszedł z góry Szczutek i Monipodio zapytał go, czy rozprawa nożowa na czternaście cięć już była załatwiona.

– Która? – zapytał Szczutek: – czy chodzi o sprawę tego kupca z zaułka?

– To właśnie – podchwycił gość.

– Aha; jeśli o tej sprawie mowa – odparł Szczutek – oto jak się rzeczy mają. Oczekiwałem go wczoraj z wieczora w pobliżu jego domu i zjawił się zanim zadzwoniono na Anioł Pański. Podszedłem, zmierzyłem go wzrokiem i okazało się, że ma twarz tak maleńką, iż na żaden sposób czternastu ukłuć nie można by na niej zmieścić; widząc tedy, że nie mogę uczynić tego, do czego się zobowiązałem i co nakazywała mi moja destrukcja...

– Instrukcja, chciał waszmość zapewne powiedzieć – poprawił gość – bo o żadnej destrukcji nie było mowy.

– Słusznie – odparł Szczutek. – Mówię tedy, że widząc, iż na tak miniaturowym obliczu nie sposób zmieścić umówione liczby ukłuć i nie chcąc, aby się nazywało, że czekałem na próżno – zamiast pana poczęstowałem nożem sługę, który mu towarzyszył, a ten przynajmniej miał twarz przyzwoitych rozmiarów.

– Wolałbym – zauważył młodzieniec – aby zadano siedem ran panu, niż czternaście słudze. Prawdziwie, nie wykonaliście mego polecenia jak należało, ale nie mówmy już o tym. Owe trzydzieści dukatów, które wyliczyłem waszmości jako zaliczkę, nie zrujnują mnie. Żegnam panów; sługa uniżony.

Z tymi słowy zdjął kapelusz i odwrócił się, aby odejść. Lecz Monipodio przytrzymał go za płaszcz aksamitny, który nosił na ramiona zarzucony, mówiąc:

– Niechże waszmość poczeka chwilę i dotrzyma swego zobowiązania, skorośmy naszemu słowu byli wierni i sprawę załatwili rozumnie i honorowo: brak nam jeszcze dwudziestu dukatów i nie wyjdzie stąd waszmość, dopóki nie da nam tej kwoty lub fantu tejże wartości.

– Więc nazywa to waszmość dotrzymaniem słowa, gdy zamiast pana, pachołka poczęstowano nożem?

– Wspaniale rozumie ten młodzieniec – rzekł Szczutek – a czy nie pamięta waszmość przysłowia, które głosi: kto miłuje przyjaciela swego, miłuje i psa jego?

– Nie pojmuję – odparł gość – co też to przysłowie może mieć wspólnego z naszą sprawą?

– Rzecz nader prosta – objaśnił Szczutek – czyż nie znaczy to, że kto nie miłuje swego wroga, nie miłuje i psa jego? Otóż wrogiem waszmości jest kupiec, waszmość go nie miłuje, jego sługa jest niby jego psem, gdy więc sługa dostał nożem, na wroga waszmości spada obraza i oto sprawa nasza załatwiona, a krzywda waszmości pomszczona: trzeba tedy niezwłocznie i bez targów zapłacić, co się nam należy.

– Święta racja – dodał Monipodio – z ust mi wyjąłeś, Szczutku, te wywody. Niechże się tedy waszmość, panie miły, nie wdaje w próżne spory ze swymi uniżonymi sługami i przyjaciółmi, ale posłucha raczej mojej rady i zapłaci za nasz trud, jeśli zaś waszmość pragnie, aby i samemu kupcowi dostało się kilka ukłuć, nie więcej jednak niż można umieścić na jego twarzy, proszę obliczyć swe wymagania, a my już sprawę załatwimy.

– Jeśli mogę na to liczyć – odparł młodzieniec – chętnie zapłacę wszystko, co się należy za wczorajszą wyprawę, a i za przyszłą wynagrodzę was z góry.

– Pewnym waszmość być może – rzekł Monipodio – że wszystko zostanie spełnione jak

najlepiej: tym razem Szczutek tak ładnie kupca uczęstuje, że mu nierychło przyjdzie znowu do swarów ochota. Na zbawienie mej duszy to wszystko mogę zaprzysiąc.

– Z taką gwarancją – rzekł młodzieniec – wierzę obietnicy: zostawię przeto waszmości jako kaucję ten oto łańcuch złoty; w razie potrzeby opłaci on wam i zalegające dwadzieścia dukatów i czterdzieści, które ofiaruję wam za tę nową rozprawę. Wart jest tysiąc reali i być może, że suma ta całkowicie wam się będzie należała, gdyż zdaje mi się, że niezadługo trzeba będzie inną jeszcze podobną wyprawę przedsięwziąć.

To mówiąc zdjął z szyi łańcuch misternej roboty i oddał go w ręce Monipodia, który zarówno po wadze jak po dotyku poznał, że był ze szczerego złota zrobiony. Monipodio przyjął ten zastaw z wielką grzecznością i zadowoleniem, gdyż odznaczał się zawsze niezmiernie dobrym wychowaniem. Egzekutorem pozostał nadal Szczutek, który obiecał, że tegoż wieczora wszystko będzie załatwione.

Młodzieniec wyszedł wielce zadowolony z wyniku układów, Monipodio zaś kazał przywołać wszystkich nieobecnych i zatrwożonych. Zebrali się zawezwani, a mistrz, stanąwszy pośród nich, wyjął z kaptura swego płaszcza książkę do notatek i kazał Rinconetowi czytać z niej na głos, gdyż sam czytać nie umiał. Rinconete otworzył książkę i na pierwszej kartce przeczytał taki napis:

WYKAZ ROZPRAW NOŻOWYCH,
KTÓRE MAJĄ BYĆ ZAŁATWIONE
W CIĄGU BIEŻĄCEGO TYGODNIA.

Pierwsza: Sprawa kupca z zaułka. Cena: pięćdziesiąt dukatów; trzydzieści dukatów zaliczki odebrano. Egzekutor: Szczutek.

– Zdaje się, synu, że w tej rubryce nic więcej nie zapisano – rzekł Monipodio: szukaj dalej rubryki: Wykaz rozpraw na kije.

Rinconete odwrócił kartę i na następnej ujrzał napis:

WYKAZ ROZPRAW NA KIJE,

a nieco niżej taką notatkę

Szynkarzowi z Alfafa dwanaście razów kijem większych rozmiarów, po dukacie. Odebrano osiem dukatów zaliczki. Termin do sześciu dni. Egzekutor: Żelazna Ręka.

– Można by wykreślić tę rozprawę – rzekł Żelazna Ręka – gdyż dziś wieczorem rzecz całą załatwię.

– Czy jest co więcej, chłopcze? – zapytał Monipodio.

– Jest jedna jeszcze – odparł Rinconete – tak powiada:

Garbatemu krawcowi, znanemu pod przezwiskiem Szczygieł, sześć razów kijem większych rozmiarów, z polecenia damy, która zostawiła nam naszyjnik. Egzekutor: Desmochado.

– Dziwi mnie – rzekł Monipodio – że nie załatwiono jeszcze tej sprawy. Desmochado musi być źle usposobiony w tych czasach, gdyż oto dwa dni minęły od naznaczonego terminu, a nie zabrał się jeszcze do dzieła.

– Wczoraj go spotkałem – odezwał się Żelazna Ręka – powiedział mi, że dotychczas nie mógł jeszcze spełnić swego zobowiązania, garbus bowiem był chory i nie wychodził z domu.

– Wierzę temu najzupełniej – rzekł Monipodio – gdyż znam Desmochada jako rzetelnego pracownika i wiem, że gdyby nie tak ważna przeszkoda i z trudniejszym przedsięwzięciem dałby sobie łacno radę. Czy jest co więcej, synu?

– Nie, mistrzu – odparł Rinconete.

– Idź więc dalej, a szukaj rubryki pod tytułem:

WYKAZ OBELG POSPOLITYCH.

Rinconete, odwróciwszy kartę, przeczytał:

Wykaz obelg pospolitych, dla pamięci: na czyich plecach tłuc butelki, kogo smołą wysmarować, komu przypiąć rogi, lub ośle uszy, nad kim się znęcać, kogo nastraszyć, komu nożem grozić itp.

– Cóż dalej stoi? – zapytał Monipodio.

– Niżej – rzekł Rinconete – napisano: wysmarować smołą w domu...

– Nie czytaj nazwy domu – przerwał Monipodio – bo wiem już o co tu chodzi. W dziecinnej tej sprawie ja sam jestem egzekutorem, a wynagrodzenie wynosi osiem dukatów, z których cztery odebrano.

– Istotnie, wszystkie te szczegóły są tutaj wymienione – odezwał się Cortadillo – niżej zaś napisano: przypiąć rogi...

– I tu nie czytaj nazwiska – przerwał mu znowu Monipodio – gdyż obelga sama wystarcza i nie należy obciążać sobie niepotrzebnie sumienia, rozgłaszając ją na wszystkie strony. Ja przynajmniej wolałbym tysiąc rogów ludziom przypiąć i tyleż oślich uszu (pod warunkiem, że za taką pracę odbiorę odpowiednią zapłatę), niż raz jeden się zdradzić, choćby to miało być przed matką, która mnie na świat wydała.

– Egzekutorem jest tutaj Narigueta – rzekł Rinconete.

– Ta sprawa już załatwiona i wynagrodzenie za nią odebrane. Patrz dalej, jeśli bowiem się nie mylę, musi tam być zapisana pewna sprawa z postrachem za dwadzieścia dukatów: połowę tej kwoty zapłacono, a w wykonaniu ma wziąć udział cała gmina, termin zaś za miesiąc. Wszystko, co tam zapisano, spełnimy co do joty i będzie to jeden z najpiękniejszych czynów, jakie od niepamiętnych czasów dane było oglądać naszemu miastu. Dajże mi książkę, młodzieńcze, gdyż wiem, że nic więcej nie ma tam zapisanego i wiem również, że robota źle idzie; ale po latach niepowodzenia nastaną lepsze czasy i tyle będziemy mieli zamówień, że nie zdołamy wszystkim naraz dogodzić. Nic się na świecie nie dzieje bez dopuszczenia Bożego i nie naszą to rzeczą zmuszać kogokolwiek, by do nas zgłaszał się po usługi, tym bardziej że każdy jest zuchem we własnym domu i nikt nie ma ochoty płacić innemu za robotę, której może sam podołać.

– Wszystko to prawda – odezwał się Repolido. – Niech jednak waszmość nie zapomina, że nie otrzymaliśmy jeszcze na dziś żadnych rozporządzeń, a tymczasem południe się zbliża i słońce zaczyna przypiekać nie na żarty.

– Oto więc, co należy czynić – rzekł Monipodio. – Każdy z was niech pójdzie zająć swój posterunek i zatrzyma do niedzieli wyznaczone mu miejsce. W niedzielę znowu się tutaj zbierzemy i podzielimy między sobą sprawiedliwie wszystko, co się do tego czasu nadarzy. Rinconete dobrotliwy i Cortadillo niechaj do niedzieli upatrzą sobie miejsce za granicami miasta, między Złotą Wieżą a bramą del Alcazar, gdzie można swobodnie ćwiczyć się w szermierce. Widziałem ja takich, którzy, choć mniej od nich mieli zdolności, przynosili jednak co dzień po dwadzieścia reali drobnymi, nie licząc srebra, posługując się jedną tylko talią, a i tej czterech kart brakowało. Ganchoso wskaże wam miejsce, o którym mówię; a gdybyście nawet mieli pociągnąć aż do kościoła świętego Sebastiana, nic to nie szkodzi, gdyż tego jedynie należy przestrzegać, aby nikt cudzych miejsc nie zajmował.

Chłopcy ucałowali mu rękę dziękując za łaskę, jaką im okazał i przyrzekli rzetelnie pełnić swe obowiązki nie zaniedbując żadnych starań i środków ostrożności. Monipodio tymczasem wyjął z kaptura swego płaszcza złożony arkusz papieru, na którym wypisana była lista członków i polecił, aby Rinconete umieścił tam nazwiska swoje i Cortadilla. Ponieważ nie było w domu kałamarza, Monipodio kazał chłopcu iść z listą do najbliższej apteki i zapisać

wszystko w następujący sposób: Rinconete i Cortadillo, członkowie; przyjęci bez nowicjatu; Rinconete – szermierz, Cortadillo – doliniarz; data i podpisy, bez wymienienia nazwisk rodziców i miejsca urodzenia.

W trakcie tego wszedł jeden ze starych szerszeni i powitał obecnych tymi słowy:

– Przychodzę donieść ichmościom, że spotkałem przed chwilą Wilczka, tego z Malagi: powiada, że tak się wydoskonalił w swej sztuce, iż grając nowiutkimi kartami podejmuje się wyprowadzić w pole samego Belzebuba. Mówi, że dziś nie może się tu stawić ani zdać sprawy ze swych działań, gdyż jest szczwany przez ceklarzy; ale w niedzielę przyjdzie z wszelką pewnością.

– Zawsze twierdziłem – rzekł Monipodio – że ten Wilczek stanie się rychło mistrzem w swej sztuce, gdyż ma ręce jakby stworzone do szermierki. W tym bowiem rzemiośle dobre narzędzie pracy jest nie mniej ważnym warunkiem powodzenia jak rozum, który pozwala człowiekowi należycie nauczyć się swej sztuki.

– Spotkałem też w pewnym domu zajezdnym – ciągnął dalej starzec – na ulicy de Tintores owego Żyda, który podaje się za kleryka. Zamieszkał on tam, gdyż dowiedział się, że dwaj Peruwiańczycy w tymże domu wynajęli pokoje. Przypuszcza, że uda mu się namówić ich do gry, a choćby na początek zyski były niewielkie, z czasem znaczniejszych spodziewa się wyników. Podobnie jak Wilczek, zapewnia, że w niedzielę przyjdzie na zebranie i zda sprawę ze swych działań.

– Ten Żyd – rzeki Monipodio – również doskonale pracuje, a posiada przy tym wielkie doświadczenie. Od dawna go już nie widziałem, a źle robi, że się nie pokazuje; doprawdy, jeśli się nie poprawi, będę musiał popsuć mu szyki, bo złodziej ten prawdziwie tureckich trzyma się porządków, a łaciny umie tyle, co moja matka. Czy jest jeszcze co nowego?

– To wszystko – odparł starzec: – ja przynajmniej o niczym więcej nie wiem.

– Dobrze – rzekł Monipodio. – Ta drobnostka dla was, dzieci (to mówiąc podzielił między zebranych około czterdziestu reali), a w niedzielę niechaj nie zbraknie nikogo, bo odbędzie się podział zysków.

Podziękowali mu wszyscy; Repolido i Cariharta znowu padli sobie w objęcia, a za nimi toż samo uczynili Escalanta, Żelazna Ręka, Gananciosa i Szczutek, po czym postanowili zejść się wieczorem u Pipoty. Miał tam przyjść i Monipodio, aby sprawdzić zawartość kosza, następnie zaś zamierzał uskutecznić wyprawę ze smołą, o której wyżej była mowa. Monipodio ucałował Rinconeta i Cortadilla i pobłogosławił im na pożegnanie, poleciwszy, aby nigdy nie mieli pewnej i stałej siedziby, gdyż tej ostrożności wymagało dobro ogółu. Ganchoso zaprowadził chłopców na wskazane im posterunki i opuszczając ich przypomniał, aby stawili się w niedzielę, przypuszczał bowiem, że Monipodio zamierzał udzielić zgromadzeniu instrukcji dotyczących właśnie ich rzemiosła. Wreszcie nasi dwaj towarzysze pozostali sami i długo jeszcze, pełni podziwu, rozmyślali o wszystkim, co dnia tego dane im było oglądać.

Rinconete, choć młody jeszcze, posiadał jednak wiele zdrowego rozsądku i obdarzony był od natury dobrymi skłonnościami, a zajmując się ze swym ojcem sprzedażą indulgencji nauczył się był nieco gładkiej wymowy. Toteż uśmiał się niemało wspominając różne wyrzeczenia, które usłyszał z ust Monipodia i jego zacnych kompanów: a zwłaszcza kiedy wspomniał, jak Monipodio, zamiast per modum suffragii, powiedział, że za pomocą rozbicia okrętu mszę za dusze czyśćcowe odprawiają; jak Cariharta, myśląc zapewne o drapieżcach Hirkanii, nazwała Repolida Okieńskim tygrysem; spodobała mu się szczególnie Cariharta, kiedy życzyła sobie, aby trud, z jakim zdobyła swe dwadzieścia cztery reale, został jej policzony w niebie przy odpuszczaniu grzechów; a nade wszystko w podziw go wprawiała ta ich wiara niezłomna, że wystarczy im modlić się co dzień, aby pójść prosto do nieba pomimo wszystkich kradzieży i zbrodni, którymi obciążone były ich sumienia. Śmiał się myśląc o owej staruszce, która przechowywała u siebie kosz skradziony, co nie przeszkadzało jej zapalać świeczek przed obrazami świętych i wierzyć mocno, że po śmierci dostanie się do

raju.

Nie mniej niż to ich nabożeństwo, dziwiły Rinconeta u tych ludzi oznaki ulegliwości i szacunku dla Monipodia, mimo jego nieuctwa i braku serca. Wspomniał wszystko, co wyczytał w jego książce do notatek i różne rozprawy tam wymienione. Pomyślał wreszcie o tym, jak źle w owej cudnej Sewilli władze wywiązują się z zadania i jak opieszale działać musi sprawiedliwość, skoro ludzie tak szkodliwi mogą w mieście tym żyć bezkarnie, wbrew prawom ludzkim i przykazaniom Boskim. I postanowił przełożyć swemu towarzyszowi, aby zaniechał tego życia zatracenia, pełnego niepokojów, a tak wstrętnego i rozpustnego. Lecz mimo wszystko, ile że był młody i niedoświadczony, spędził jeszcze wśród tych ludzi kilka miesięcy, a w ciągu tego czasu zaszło wiele wypadków, które dłuższego wymagają opisania. Zostawiamy przeto na inny raz opowieść o życiu Rinconeta i cudach, jakie dane mu było oglądać, jak również o czynach Monipodia i innych członków tej nikczemnej akademii, a wszystkie wypadki, które w owej historii znajdą odgłos, niemało nasuną rozmyślań i służyć będą przykładem i ostrzeżeniem dla tych, którzy by czytać ją zechcieli.

ZAZDROSNY ESTREMADURCZYK

Przed laty niewielu, z pewnej miejscowości w Estremadurze, wyruszył w świat majętny szlachcic, syn możnych rodziców i puścił się na wędrówkę po różnych częściach Hiszpanii, Włoch i Flandrii, marnując zarówno lata swe młode jak swe mienie. Wreszcie po długich podróżach (gdy umarli już jego ojcowie, a większa część majątku roztrwoniona została) zawinął do wielkiego grodu Sewilli, gdzie liczne znalazł sposobności, aby w krótkim czasie spożyć resztki swej fortuny. Widząc się tedy bez pieniędzy, a nader nielicznych przy tym posiadając przyjaciół, uciekł się do środka, do którego w mieście owym wielu zatraceńców się ucieka, a mianowicie postanowił udać się do Indii[14], które są przystanią i schroniskiem dla wszystkich szaleńców Hiszpanii, kościołem bankrutów, kryjówką dla zabójców, maską i zasłoną dla graczy (których biegłymi w sztuce niekiedy nazywają), najlepszą przynętą dla kobiet wolnych obyczajów, złudną nadzieją dla większości i skutecznym ratunkiem dla niewielu. Doczekawszy się więc czasu, kiedy eskadra jakaś w te strony wyruszyć miała, porozumiał się z admirałem, zaopatrzył się w zapasy żywności i hamak podróżny, po czym w Kadyksie wsiadł na okręt, śląc Hiszpanii pożegnanie. Podniesiono kotwicę i wśród ogólnej radości, przy pomyślnym a łagodnym wietrze, rozwinięto żagle. W kilka godzin z oczu załogi znikła ziemia, a ukazały im się niezmierzone wzrokiem przestwory wielkiego rodzica wód wszelkich, Oceanu.

Podróżny nasz zamyślony był głęboko i ważył w pamięci liczne a przeróżne niebezpieczeństwa, jakich doznał był w ciągu długoletnich wędrówek, uprzytomniając sobie, jak nierozumny całemu swemu życiu nadawał kierunek. I wynikiem tego porachunku, który sam ze sobą uczynił, było niezłomne postanowienie, że od tej chwili zmieni całkowicie tryb życia, w inny zgoła sposób rozrządzi mieniem, jakim Bóg zechce go obdarzyć i z większą niż dotychczas ostrożnością postępować będzie z kobietami. Gdy przez taką burzę wewnętrzną przechodził Filip de Carrizales (to bowiem było imię bohatera naszej opowieści), cisza zapanowała na morzu. Wkrótce jednak wiatr począł dąć ponownie i z taką siłą w okręty uderzył, że żaden z podróżnych nie zdołał utrzymać się na nogach, a Carrizales zmuszony był zaniechać swych rozmyślań i dać się pochłonąć całkowicie przez troski, które mu okoliczności nastręczyły. Podróż wypadła tak pomyślnie, że żadnych nie doznawszy niebezpieczeństw zawinęli do portu w Kartagenie.

Aby w kilku słowach przejść do porządku nad wypadkami, które z opowiadaniem naszym nie mają bliższego związku, powiem, że Filip liczył około czterdziestu ośmiu lat, kiedy do Indii wyjeżdżał, że w kraju tym spędził lat dwadzieścia i dzięki przemyślności swej i obrotności, w ciągu tego czasu zdobył majątek sięgający stu pięćdziesięciu tysięcy dukatów. Widząc się tak bogatym, a posłuszny naturalnemu i wszystkim ludziom wspólnemu pragnieniu powrotu do ojczyzny, wzgardził nowymi okazjami, które nadarzyły mu się w Peru, gdzie tak wielkie zebrał już był bogactwa. Kazał tedy wszystko, co posiadał, na sztaby złote i srebrne przetopić i, gwoli uniknięcia nieporozumień przeliczywszy swe mienie, wrócił do Hiszpanii. Wylądował w Sanlucar; przybył do Sewilli z równym brzemieniem lat i bogactw;

[14] Rzecz oczywista, mowa tu o Indiach Zachodnich, czyli Południowej Ameryce. (Przyp. tłum.)

ładunek srebrnych i złotych sztab odebrał nieuszkodzony. Jął szukać dawnych przyjaciół i dowiedział się, że wszyscy pomarli; zapragnął tedy powrócić do rodzinnego miasta, choć doszła go już była wiadomość, że śmierć nie oszczędziła żadnego z jego krewnych.

I oto, podobnie jak niegdyś, kiedy do Indii jechał ubogi i trosk pełen, samotne rozmyślania wśród wielkiego morza chwili wytchnienia mu nie dawały, i teraz, po wielu latach, choć na stałym lądzie się znajdował, nie zaznał spokoju, ale dla innych zgoła powodów: jeśli wówczas bieda spać mu nie dawała, teraz bogactwo własne napełniało go niepokojem. Bogactwo bowiem jest równie ciężkim brzemieniem dla człowieka, który doń nie przywykł i nie umie się nim posługiwać, jak nędza dla cierpiącego ustawiczny niedostatek. Trosk źródłem jest złoto i brak jego troski rodzi, ale wystarczy średniej zamożności, aby tym ostatnim zaradzić, pierwsze zaś wzmagają się w miarę wzrostu naszych skarbów.

Przyglądał się Carrizales swym sztabom drogocennym, nie żeby skąpy był, gdyż długie lata żołnierki nauczyły go hojności, ale że nie wiedział, co począć z nimi, zdawało mu się bowiem bezowocną zabiegliwością ukryć je, jak były, w bezpiecznym miejscu; obrócić je zaś na urządzenie domu – znaczyłoby to tyleż, co oddać je na pastwę chciwości ludzkiej i obudzić czujność grabieżców. Obumarła w nim chęć powrotu do zajęć handlowych i gdy baczył na swe lata, mniemał, że aż nadto posiada pieniędzy, aby na życie mu starczyło: rad by zamieszkał na swej ziemi i ofiarował jej w hołdzie majątek, aby w spokoju i spoczynku spędzić tam stare lata, dając Bogu, co oddać by zdołał, skoro oddał już był światu, co mu się od niego należało. Z drugiej jednak strony uprzytomnił sobie, że w jego ojczystej ziemi ciasno było niezmiernie, że mieszkańcy byli ubodzy i obrać sobie tam siedzibę znaczyło to uczynić z siebie cel wszelkich natrętnych oblężeń, których bogaci zazwyczaj od biedniejszych sąsiadów doznają, wówczas zwłaszcza, kiedy nie ma nikogo w okolicy, do kogo mogliby uciekać się o pomoc.

Szukał Carrizales w myślach jakiegoś dla bogactw swoich spadkobiercy i gdy wybadał swe siły zdało mu się, że zdolny był jeszcze znieść brzemię małżeństwa. Ale gdy ta myśl przyszła mu do głowy zdjął go strach wielki, który szamotać nim począł podobnie jak wiatr, który mgłę zwiewa i rozprasza, gdyż z natury, choć nieżonaty nawet, był najzazdrośniejszym na świecie człowiekiem. Toteż na samą myśl o małżeństwie zazdrosne uczucia go osaczyły i przeróżne podejrzenia dręczyć go poczęły z taką siłą, że postanowił nie żenić się wcale.

Gdy taką powziął rezolucję, o tym, jak życie swe urządzi nic jeszcze nie postanowił – los zrządził, że dnia pewnego przechodząc ulicą podniósł oczy i w jednym z okien ujrzał jakąś młodą dziewczynę, która liczyć mogła trzynaście do czternastu lat, a tak przyjemnej była powierzchowności i tak przedziwnej urody, że poczciwy stary Carrizales poczuł, iż broń wypadnie mu złożyć i niedołężność jego mnogich lat ulec musiała wreszcie przed młodym wiekiem Leonory (tak się bowiem piękna panna nazywała). Wnet mnóstwo myśli przeróżnych zakotłowało mu w głowie i tak jął mówić sam do siebie:

– Ta dziewczyna jest piękna, a o ile z wyglądu domu tego można sądzić, nie musi być bogata; przy tym wszystkim dzieckiem jest jeszcze; jej młode lata pozwalają mi zaniechać wszelkich podejrzeń. Ożenię się z nią tedy, w zamknięciu ją będę trzymał, na swój sposób wykształcę tak, że charakter jej ułoży się całkowicie według mojej woli. Nie jestem tak stary, abym nie mógł mieć dzieci, które by po mnie odebrały spadek. Nie przyjdzie mi troszczyć się o to czy przyniesie mi ona co w posagu, gdyż niebo dało mi dość mienia, aby na wszystko starczyło, a bogaci w małżeństwie nie bogactw winni szukać, ale zadowolenia, ono bowiem przedłuża życie, gdy przykrości i niesnaski małżeńskie bliską śmierć zwiastują. Dalej więc, do dzieła! Kości rzucone i oto los, który niebo mi przeznacza!

Po takich i tym podobnych ze sobą samym rozprawach, które po sto razy powtarzał w duchu, przeczekawszy jeszcze dni kilka, Carrizales rozmówił się z rodzicami Leonory. Dowiedział się, że, choć ubodzy, szlachetnego jednak byli rodu i wyjawiwszy im swe zamiary, wykazawszy, kim był i jaki posiadał majątek, jął prosić usilnie, aby oddali mu córkę

swą za żonę. Zażądali, aby pozostawił im nieco czasu do namysłu, chcieli bowiem dowiedzieć się czy prawdą było wszystko, co im o sobie powiedział, on zaś sam korzystając z tej zwłoki mógł jednocześnie upewnić się o ich szlachectwie. Pożegnali się tedy i obie strony rozpoczęły wywiady; okazało się, że wszystko zgodne było z prawdą i wkrótce Carrizales poślubił Leonorę złożywszy jej uprzednio w darze dwadzieścia tysięcy dukatów – dowód jak wielkim ogniem płonęło serce zazdrosnego starca.

Ledwo ślub został zawarty, w Carrizalesa uczucia zazdrosne tłumną uderzyły zgrają tak, że drżeć począł bez żadnej zgoła przyczyny i jęły dręczyć go troski, jakich nigdy przedtem nie zaznał. Pierwszą oznaką tej niebywałej zazdrości było, że nie pozwolił żadnemu krawcowi zbliżyć się do swej żony, aby zdjąć miarę na liczne suknie, które zamyślał jej sprawić; chodził tedy po mieście szukając kobiety tego samego wzrostu i tuszy co Leonora, aż znalazła się wreszcie jakaś biedna dziewczyna, na której miarę skrojono próbną suknię i gdy okazało się, że ta na jego żonie dobrze leżała, według tego samego wzoru inne kazał sporządzić, a obstalował ich takie mnóstwo, że teściom jego zdało się, jakoby wielkie szczęście ich spotkało, iż znaleźli dla siebie tak niebywałego zięcia i tak majętnego dla córki małżonka. Leonorę przeraził niemal widok tylu strojów kosztownych, gdyż te, które dawniej kiedykolwiek nosiła, ograniczały się do sukni z pośledniejszej tkaniny i kitajkowego kaftana.

Drugim objawem zazdrości Filipa było, że nie chciał zamieszkać wraz ze swą żoną, dopóki nie kupił jej osobnego domu i aż go w następujący sposób nie urządził. Nabywszy w wytwornej dzielnicy miasta za dwanaście tysięcy dukatów dom mieszkalny z wodą stojącą i ogrodem, w którym znajdowało się mnóstwo drzew pomarańczowych, kazał podmurować wszystkie okna, które wychodziły na ulicę tak, aby na niebo tylko patrzyły, po czym toż samo uczynił ze wszystkimi innymi oknami domu. Krużganek kryty, według sewilskiego zbudowany wzoru, zamienił na stajnię dla muła, a nad nim umieścił rodzaj strychu, przeznaczając go na mieszkanie dla starego Murzyna eunucha, któremu powierzona być miała piecza nad zwierzęciem. Ściany tarasów tak zostały podniesione, że wchodzący do domu w najprostszej linii spotykał się wzrokiem z niebem i nic więcej nie mógł dojrzeć. Zbudowano wreszcie galerię, która łączyła bezpośrednio krużganek z dziedzińcem wewnętrznym.

Do ozdoby domu kupił Filip sprzęty kosztowne, tak że same obicia, dywany i baldachimy wymownie świadczyły o jego wielkopańskim smaku. Nabył też cztery niewolnice białe, które cyframi swymi na twarzy naznaczył i dwie czarne, świeżo z Afryki przybyłe. Nie zapomniał również o podstolim, który miał mu dostarczać zapasów żywności, pod warunkiem, że ani spać w domu nie będzie, ani doń wchodzić, a tylko z galerii od krużganka wiodącej, będzie podawał na dziedziniec przyniesiony prowiant.

To uczyniwszy Carrizales umieścił część swego majątku na dobry czynsz w różnych a korzystnych przedsiębiorstwach, resztę zaś oddał do banku, pozostawiwszy sobie trochę pieniędzy na codzienne wydatki. Kazał również sporządzić klucz główny dla całego domu i zgromadził wszelkie zapasy, jakie mógł nabyć w większej ilości, a które miały starczyć na rok cały. Wreszcie, gdy wszystko tak zostało przewidziane i urządzone, udał się do domu swych teściów i upomniał się o żonę, którą wydali rodzice ze łzami, wyobrażali sobie bowiem, że do grobu ją prowadzą.

Tkliwa Leonora nie zdawała sobie jeszcze dobrze sprawy z tego, co ją czeka – zapłakała tedy wraz z rodzicami, poprosiła, aby udzielili jej błogosławieństwa i pożegnawszy ich, w otoczeniu swych niewolnic i pokojówek, wiedziona za rękę przez męża, udała się do jego domu. Gdy na miejsce przybyli, Carrizales zwrócił się do wszystkich służebnic z przemową, polecając im, aby miały nad Leonorą pieczę i aby pod żadnym pozorem nie wpuszczały nikogo poza obręb drzwi wewnętrznych, nie wyłączając nawet Murzyna eunucha. Straż nad Leonorą poruczył nade wszystko pewnej ochmistrzyni, osobie wielce poważnej i statecznej, która zostać miała niejako jej niańką i dozorczynią nad wszystkimi sprawami domowymi; prócz tego rozkazywać miała niewolnicom i dwom innym dziewczynom tych samych lat, co

Leonora, które przyjął był na służbę, aby młoda małżonka mogła w towarzystwie rówieśnic się zabawiać. Obiecał wszystkim, że tak się z nimi obchodzić będzie i tak hojnie je obdaruje, iż nie pożałują swego zamknięcia, zaś w dni świąteczne wszystkie bez wyjątku będą chodziły na mszę, ale tak wczesnym rankiem, że światło dzienne ledwo dojrzeć je zdoła.

Pokojówki i niewolnice przyrzekły mu, że wszystkie jego rozkazy wypełniać będą, nie ociągając się, pełne dobrych chęci i starania.

Gdy wstępne te zastrzeżenia zostały uczynione, poczciwy nasz Estremadurczyk rozgościwszy się w swym domu, jął używać jak mógł owoców małżeństwa, a te Leonorze, ile że nigdy innych nie pokosztowała ani nazbyt smakowite się nie wydały, ani mdłe nadmiernie i tak czas jej upływał między ochmistrzynią, pokojówkami i niewolnicami. One, aby im zbytnio czas się nie dłużył, oddawać się poczęły łakomstwu i rzadko dzień jeden mijał, aby nie zajmowały się przyrządzaniem tysiącznych smakołyków, którym miód i cukier nadawały słodyczy. Wszystkiego, czego im było potrzeba do podobnych zajęć, miały pod dostatkiem; u pana domu nie brakło również dobrej woli, gdy przychodziło dostarczać pieniędzy na owe potrzeby, zdawało mu się bowiem, że w ten sposób ustawicznie zajęte będąc zabawą, nie będą miały czasu myśleć o swym zamknięciu.

Leonora spędzała czas tak samo jak jej pokojówki, tym samym oddając się uciechom i w prostocie swojej jęła nawet bawić się lalkami i innymi dziecinnymi grami się zajmować, co było dowodem jej słabego rozumu i lat dziewczęcych. Wszystko to niewysłowioną radość sprawiało zazdrosnemu małżonkowi, gdyż zdawało mu się, że lepiej jeszcze swe życie ułożył niż mógł je sobie wyobraźnią zakreślić i że podstęp i złośliwość ludzka żadnym sposobem nie mogły już zakłócić jego spokoju. Jedyną więc jego troską stało się przynosić swej małżonce upominki i wciąż ją nagabywać, aby prosiła go o wszystko, co przez myśl jej przejdzie, podejmując się dogadzać wszelkim jej zachciankom.

W dni świąteczne, kiedy wszyscy, jak wyżej powiedziano, przed świtem na mszę się udawali, przychodzili do kościoła rodzice Leonory i rozmawiali z nią w obecności Filipa. Ten tak liczne i sute dawał im podarki, że choć niejednokrotnie litowali się nad córką widząc, w jak ścisłym żyje odosobnieniu, hojność czułego zięcia zamykała im usta.

Carrizales wstawał co dzień wczesnym rankiem i czekał na przyjście podstolego, dla którego co dzień z wieczora pozostawiano u wejścia kartkę z wypisanymi na niej zapasami żywności, jakie miał przynieść nazajutrz.

Po wizycie podstolego Carrizales wychodził z domu, pieszo zazwyczaj, uprzednio zaś zamykał na klucz drzwi wejściowe i wewnętrzne, między jednymi a drugimi ustawiając na straży Murzyna. Szedł na miasto, załatwiał swe sprawy – nieliczne zresztą – i rychło powracał; następnie zamykał się w domu i poczynał raczyć podarkami żonę i wyprawiać figle z pokojówkami, które szczerze go lubiły, gdyż był przyjemnych obyczajów i łatwy w obejściu: nade wszystko jednak lubiły go za to, że tak hojnym się dla nich zawsze okazywał. W ten sposób upłynął im rok cały nowicjatu i wszyscy przyzwyczajać się poczęli do nowego życia, zgodziwszy się na to, że wytrwać w nim trzeba będzie aż do końca własnych dni. I zapewne sprawdziłyby się ich przeczucia, gdyby niszczyciel ludzkich zamysłów nie był popsuł im szyków, a jak się to stało – zobaczycie.

Niechajże mi powie teraz ten, który nader rozważnym i oględnym być się mniema: jakie jeszcze środki ku ochronie swego bezpieczeństwa wynaleźć mógł stary nasz Filip, skoro nawet zwierzętom płci męskiej nie pozwolił przebywać w swym domu? Nigdy się tam kot żaden za szczurami nie uganiał, nigdy ujadanie psa nie rozlegało się po pokojach, gdyż wszystkie te stworzenia były rodzaju żeńskiego. Carrizales spędzał dni na rozmyślaniach, nie sypiał po nocach: sam był strażą naczelną, sam szyldwachem nocnym swego domu i Argusem umiłowanego przez się skarbu. Nigdy żaden mężczyzna nie wszedł poza obręb wewnętrznych drzwi dziedzińca. Filip ze swymi przyjaciółmi rozmawiał na ulicy. Wzorzyste kotary i obicia, którymi zdobne były pokoje, wyobrażały jeno postacie niewiast, gaje i kwiaty. Dom cały na

wskroś przesiąknięty był jakąś wonią poczciwości, niewinności i pogody, a tchnęły nią nawet baśnie, które w długie zimowe wieczory pokojówki opowiadały sobie przy kominku: zawsze bowiem pan domu był obecny i nie pozwalał, aby cień lubieżnej swawoli zakradł się do owych powieści. Srebro siwych włosów starca oczom Leonory wydawało się najczystszym złotem, gdyż pierwsza miłość w sercach dziewczęcych takie same pozostawia ślady jak pieczęć na wosku. Nadmierna czujność męża wydawała się jej tedy tkliwością: mniemała i święcie w to wierzyła, że przez te same, co ona koleje przechodzić musi każda młoda mężatka. Myśli jej nie wychodziły poza obręb ścian mężowego domu, a jej pragnienia we wszystkim posłuszne były woli Filipa; ulice widywała tylko w święta, kiedy na mszę chodziła, a było to zawsze tak wczesnym rankiem, że chyba tylko na powrotnej drodze z kościoła światło dzienne pozwalało jej dojrzeć, co się działo dokoła. Nie sposób wyobrazić sobie równie zamkniętego klasztoru ani bardziej skupionych w sobie mniszek, ani jabłek złotych lepiej strzeżonych. I mimo wszystko, Carrizales nie zdołał uniknąć losu, którego się lękał lub przynajmniej pozorów, że ziściły się jego obawy.

Jest w Sewilli cała klasa ludzi gnuśnych i bezczynnych, których nazywają zazwyczaj złotą młodzieżą. Są to synowie najbogatszych mieszczan z każdej parafii, próżniacy, hultaje i zawadiaki; o nich samych, o strojach, jakie noszą, o ich życiu, obyczajach i prawach, którymi się między sobą kierują, wiele by się dało powiedzieć, ale, przez wzgląd na opinię, pominiemy te sprawy milczeniem.

Jeden z tych fanfaronów, nieżonaty (gdyż i żonatych znajdziesz między nimi), zauważył sobie przypadkiem dom naszego czujnego Carrizalesa. Widząc, że zawsze jest szczelnie zamknięty, zechciał zbadać, kto w domu tym mieszkał i z takim zapałem począł czynić wywiady, że wkrótce ciekawość jego została zaspokojona. Dowiedział się, kim był starzec, jak piękną miał małżonkę i jak bacznie nad nią czuwał; wszystko to obudziło w nim pragnienie przekonania się, czy będzie rzeczą możliwą przemocą lub podstępem zdobyć tak dobrze strzeżoną twierdzę. Zwierzył się przeto trzem przyjaciołom swoim i postanowili razem zabrać się do dzieła; nigdy bowiem nie zbraknie pomocników i doradców tym, którzy zamierzają podobne przedsięwzięcia.

Jęli tedy rozważać przeszkody, jakie utrudnić im mogły dokonanie tak zuchwałego czynu i po długich naradach postanowili nareszcie plan działań, do którego zastosować się mieli. Loaysa więc (tak bowiem nazywał się nasz zawadiaka) pod pozorem nagłego wyjazdu znikł z oczu swych towarzyszów. Znalazłszy bezpieczną kryjówkę wdział czyste szarawary płócienne i czystą koszulę, na to jednak włożył zwierzchnią odzież tak wystrzępioną i połataną, że w całym mieście nie znalazłbyś nędzarza, który by chodził w równie ohydnych łachmanach. Ogolił następnie szczupły zarost, który miał na twarzy, przykrył plastrem jedno oko, jedną nogę mocno przewiązał szmatami i wsparłszy się na kulach przedzierzgnął się w istnego nędzarza, tak niepospolicie zmieniwszy swój wygląd, że najprawdziwszy żebrak, chromy i ułomny, nie mógłby iść z nim w zawody.

Taką przybrawszy postać, jął stawać co dzień, w czasie modlitw wieczornych, pod drzwiami domu Carrizalesa. O tej porze dom zawsze bywał już zamknięty, a Murzyn, któremu było Ludwik na imię, stał na straży, uwięziony niejako między jednymi a drugimi drzwiami. Znalazłszy się na swym stanowisku Loaysa wyjmował gitarę, nieco potłuczoną i pozbawioną kilku strun i jako młodzieniec nieco obeznany z muzyką, poczynał wygrywać skoczne a wesołe melodie i przyśpiewywać sobie, przy czym głos zmieniał, aby nie być poznanym.

Śpiewał więc romance o Maurach i Maurytankach nieco po zawadiacku, lecz z takim wdziękiem, że wszyscy, którzy przechodzili ulicą, zatrzymywali się, aby go posłuchać. Otaczała go zawsze zgraja chłopców, a czarny Ludwik zamknięty w przedsionku domu, uważnym uchem pożądliwie łowił dźwięki i pewno zgodziłby się prawą rękę oddać, aby móc jeno drzwi otworzyć i swobodniej posłuchać tych pieśni: tak wielkimi zwolennikami muzyki

są Murzyni.

Gdy Loaysa chciał, by słuchacze jego się rozeszli, przestawał śpiewać, chował swą gitarę i wsparty na kulach odchodził. W ten sposób cztery czy pięć razy uraczył Murzyna muzyką; w istocie, grał dla niego jedynie, zdawało mu się bowiem, że gdy się brał do podkopania owej budowli, od Murzyna jedynie trzeba i można było zacząć zamierzone dzieło i nie omylił się w swoich obliczeniach.

Pewnego wieczoru, zaledwie – tak samo jak dni poprzednich – stanął pod drzwiami domu i począł stroić gitarę, wyczuł niejako, że Murzyn słuch natęża. Zbliżywszy się tedy do szczeliny nad zawiasą, rzekł szeptem:

– Czy mógłbyś, Ludwiku, dać mi trochę wody, gdyż umieram z pragnienia i śpiewać nie mogę?

– Nic nie zdołam ci poradzić – odparł Murzyn – gdyż klucza od tych drzwi nie posiadam, a nie ma tu żadnego otworu, przez który mógłbym wodę ci podać.

– A kto ma klucz? – zapytał Loaysa.

– Mój pan – odparł Murzyn – a nie ma na świecie całym drugiego równie zazdrosnego jak on człowieka. Gdyby podejrzewał, że teraz z kimś tutaj rozmawiam, pewno musiałbym to życie pożegnać. Ale kto jesteś ty, który o wodę mnie prosisz?

– Ja – rzekł Loaysa – jestem biedak ułomny i chromy, a zarabiam sobie na życie, w imieniu Boga prosząc dobrych ludzi o politowanie; jednocześnie uczę kilku czarnych, a także i innych ubogich ludzi grać na gitarze. Właśnie w ostatnich czasach dawałem lekcje trzem Murzynom, którzy w krótkim czasie takie zrobili postępy, że mogą teraz grać i śpiewać na najwybitniejszych balach i w najlepszych oberżach; a zapłacili mi wcale niczego.

– Ja bym cię stokroć lepiej wynagrodził – wtrącił Ludwik – gdybym tylko mógł w jakiś sposób brać lekcje od ciebie, ale sposobu właśnie nie ma, gdyż mój pan wychodząc rano zamyka za sobą drzwi od ulicy i to samo czyni kiedy wraca, pozostawiając mnie uwięzionego w przedsionku.

– Klnę się na Boga, Ludwiku – zawołał Loaysa – że jeśli w jakikolwiek sposób umożliwisz mi dostęp do siebie, abym ci wieczorami mógł lekcje dawać, w niespełna dwa tygodnie nauczę cię tak biegle władać gitarą, że będziesz mógł nie wstydząc się przygrywać na pierwszorzędnych zaułkach. Muszę ci bowiem powiedzieć otwarcie, że mam do nauczania dar niepospolity, przy tym zaś doszła mnie wieść o tobie, że jesteś wielce uzdolniony, a sądząc z tego, co słyszę, organ głosowy posiadasz nader dźwięczny i dobrze musisz śpiewać.

– Śpiewam nieźle – odparł Murzyn – ale cóż mi z tego, skoro nie znam żadnej melodii prócz tej, w której mowa o gwieździe wieczornej i tej, która zaczyna się od słów:

Przez zieloną łąkę...

i tej jeszcze, którą teraz śpiewają, a która tak brzmi:

Żelaznej chwyta się kraty
Ręka więźnia niecierpliwa.

– Wszystkie te śpiewy – rzekł Loaysa – niczym są wobec tych, których ja mógłbym cię nauczyć: umiem wszystkie pieśni o Maurze Abindarraezie, o jego ukochanej Jarifie i wszystkie, w których mowa o przygodach wielkiego Sofi Tomunibeya, znam melodię sarabandy à lo divino, a są to rzeczy tak piękne, że nawet Portugalczyków w zachwyt wprawiają. Wszystkich tych śpiewów uczę w tak przystępny sposób, że choćbyś nie okazał wielkiej pilności, ledwo zdążysz zjeść trzy kwatery soli i ani się obejrzysz, jak będziesz biegłym i wszechstronnym na gitarze muzykantem.

Tu westchnął Murzyn i odezwał się:

– Cóż mi z tego, skoro nie wiem, jak cię do domu wprowadzić?

– Jest na to sposób – rzekł Loaysa. – Postaraj się jeno dostać od twego pana klucze, ja zaś zostawię ci kawałek wosku, na którym w ten sposób je odciśniesz, aby pozostawiły wyraźne ślady. Moja w tym rzecz, aby jeden z moich przyjaciół, ślusarz z zawodu, klucze podobne sporządził: w ten sposób będę mógł wejść do ciebie nocą i nauczyć cię wszystkiego lepiej, niżbym nauczył samego arcybiskupa. Widzę bowiem, że wielka byłaby to szkoda, gdyby z braku dostępu do gitary tak przedni głos miał być stracony dla świata, gdyż musisz wiedzieć, bracie Ludwiku, że najpiękniejszy głos traci na wartości, jeśli mu nie towarzyszą dźwięki jakiegoś instrumentu – gitary, klawicymbału, organów lub harfy. Ale dla ciebie najodpowiedniejsza będzie gitara, gdyż jest to ze wszystkich instrumentów najwygodniejszy w użyciu i najmniej kosztowny.

– Wszystko to prawda – odparł Murzyn – ale plan na nic się nie zda, gdyż nigdy kluczy do rąk nie dostaję: mój pan we dnie zawsze nosi je przy sobie, a nocą spoczywają pod jego poduszką.

– Inną tedy dam ci radę, Ludwiku – rzekł Loaysa – jeśli masz istotnie chęć wydoskonalenia się w sztuce muzycznej, w przeciwnym bowiem razie niepotrzebnie wysilam się i suszę głowę, aby ci przyjść z pomocą.

– Czy mam chęć? – zawołał Ludwik. – Ależ tak wielką, że wszystko uczynię, aby mieć pewność, że zostanę prawdziwym muzykantem.

– Otóż, jeśli tak jest w istocie – ciągnął dalej nasz zawadiaka – i jeśli zechcesz mi być pomocnym usuwając nieco ziemi spod progu, dam ci poprzez drzwi młotek i obcęgi: za pomocą tych narzędzi będziesz mógł wyciągnąć bez trudu gwoździe, którymi zamek jest przytwierdzony, później zaś z równą łatwością doprowadzimy wszystko do porządku, tak że nikt nie zauważy, iż zamek odejmowano. Gdy będę już wraz z tobą zamknięty w przedsionku, tak sprawnie zabiorę się do dzieła, że rychło ujrzysz więcej jeszcze niż przewidujesz, ku mojej korzyści, a twemu zadowoleniu. O to, co jeść będziemy, nie troszcz się wcale, przyniosę bowiem zapasów żywności pod dostatkiem, aby dla nas obydwóch na cały tydzień ich starczyło, gdyż mam uczniów i przyjaciół, którzy nie pozwolą, bym głód cierpiał.

– Co do żywności – odparł Murzyn – nie mam obawy, by nam jej zabrakło, gdyż z porcji, którą mój pan co dzień mi wydziela i z resztek, które od pokojówek dostaję, czterech takich jak my mogłoby się pożywić. Przynieś więc ów młotek, o którym mówisz i obcęgi, a ja wygrzebię tu pod progiem otwór, przez który będziesz mógł podać mi te narzędzia. Później, znowu ziemią go przykryję, a choćbym nawet odrywając zamek, kilka razy silniej młotkiem uderzył, mój pan sypia tak daleko od tych drzwi, że byłby cud lub dowód, że dziwnie się nam nie szczęści, gdyby coś usłyszał.

– Więc, jak mi Bóg miły – rzekł Loaysa – za dwa dni mieć będziesz, Ludwiku, wszystko, czego ci potrzeba, aby w czyn wprowadzić twe szlachetne zamiary. Unikaj jeno ostrych potraw, gdyż te pożytku ci nie przyniosą, a mogą być szkodliwe dla głosu.

– Od niczego tak nie chrypnę – odparł Murzyn -– jak od wina; tego jednak nie wyrzeknę się za żadne głosy i żadne skarby świata.

– Wina ci się strzec nie każę – odezwał się na to Loaysa – broń Boże, abym miał podobnych rad udzielać. Pij zdrów, Ludwiku miły, i wszystkiego najlepszego życzę ci z tego picia, gdyż wino używane w miarę nigdy nikomu nie przyniosło szkody.

– Toteż piję umiarkowanie – rzekł Murzyn. – Mam tu dzban, w którym mieści się nieco więcej nad dwie kwarty, a który mi niewolnice, bez wiedzy mego pana, co dzień winem napełniają: prócz tego podstoli przynosi mi co dzień butelkę, która również dwie kwarty zawiera, abym przy jej pomocy mógł luki w dzbanie wypełnić.

– Oby mi się tak na świecie dobrze działo – wtrącił Loaysa – jak mi do smaku przypadają te zwyczaje, gdyż zaiste z suchej gardzieli głosu nie dobędziesz.

– Idź więc z Bogiem – rzekł Ludwik – ale zanim przyniesiesz mi wszystko, czego trzeba,

abyś mógł do mnie się dostać, nie zapomnij przychodzić tu co wieczór i śpiewać mi pode drzwiami, gdyż umieram z niecierpliwości myśląc o chwili, kiedy sam gitarę będę trzymał w ręku.

– Rzecz oczywista, że nie omieszkam – odparł Loaysa – a nawet nowe przyniosę piosenki.

– Bardzo o to proszę – rzekł Ludwik – a teraz nie zapomnij coś zaśpiewać, abym z rozkoszą do snu się ułożył; zaś co do zapłaty, wiedz, mości nędzarzu, że wynagrodzę cię lepiej niż bogacz jakiś.

– Na to nie zważam – odparł Loaysa. – Ile warta będzie moja nauka, taką odbiorę zapłatę. Posłuchaj tymczasem tej piosenki, a kiedy będę przy tobie, istne cuda zobaczysz.

– Już teraz samą myślą się raduję – rzekł Murzyn.

Tymi słowy zakończyli swą długą rozmowę, po czym Loaysa zaśpiewał dowcipną a skoczną romancę, która w taki zachwyt wprawiła Murzyna, że liczyć począł godziny, które pozostawały mu do chwili, kiedy miał drzwi otworzyć.

Loaysa, ledwo o kilka kroków od domu się oddalił, żwawiej niżby się tego, wnosząc z kul, na których był wsparty, spodziewać było można, pobiegł zdać sprawę swym doradcom ze szczęśliwego początku i z dobrych nadziei, jakie na przyszłość rokował. Odnalazłszy swych przyjaciół opowiedział im, jaka umowa zawarta została między nim a Murzynem, nazajutrz zaś wyszukali narzędzia tak doskonałe, że posługując się nimi można było ciąć gwoździe jak drzazgi.

Nie omieszkał nasz zawadiaka zjawić się na swym zwykłym stanowisku, aby Murzyna muzyką uraczyć, ten zaś, nie zapomniał o otworze i wykopał dół dostateczny, aby zmieścić się w nim mogły narzędzia, które miał dostać od swego nauczyciela; przysypał go następnie ziemią tak zręcznie, że trzeba by było nader wprawnego i podejrzliwego oka, aby wykryć podstęp. Następnej nocy Loaysa dał mu narzędzia. Ludwik niezwłocznie zabrał się do dzieła i bez trudu gwoździe wyciągnąwszy, rychło zamek do rąk dostał. Otworzył drzwi i wpuścił do domu swego Orfeusza i mistrza, a kiedy zobaczył go, chodzącego o kuli i w łachmanach, podziw go ogarnął.

Loaysa nie miał już na oku plastra, gdyż niepotrzebnym się okazał. Ledwo próg przekroczył, uścisnął swego poczciwego ucznia i w twarz go pocałował, po czym wręczył mu wielką butlę wina, słoik konfitur i wiele innych przysmaków, w które dobrze zaopatrzył był swą torbę. Następnie, rzuciwszy w kąt kule, jak gdyby nic mu nie dolegało, począł kozły wywijać. Wprawiło to Murzyna w większe jeszcze zdumienie, co widząc rzekł doń Loaysa:

– Wiedz, bracie Ludwiku, że moja ułomność nie z choroby bierze początek, a przebiegłości, gdyż w ten sposób zarabiam sobie na życie, prosząc przechodniów w imieniu Boga o politowanie; przychodzi mi tu jeszcze z pomocą muzyka, tak że wiodę najprzyjemniejszy żywot, jaki można sobie wyobrazić na tym świecie, gdzie ludzie, którym obce są wybiegi i podstępy, umierają z głodu, a jak słuszne jest to moje zdanie, dalsze dzieje naszej przyjaźni cię przekonają.

– Zobaczymy – odparł Murzyn – teraz jednak postarajmy się przybić we właściwym miejscu ten zamek, tak, aby nie można było poznać, że był odejmowany.

– Doskonale – rzekł Loaysa.

I wyjąwszy z torby przyniesione na zapas gwoździe, zamek tak do drzwi przytwierdzili, że zdawać się mogło, iż nigdy swego miejsca nie opuszczał. Murzyn okazał się z takiego wyniku roboty wielce zadowolony, a Loaysa, wszedłszy pod pułap, gdzie uczeń jego miał swe legowisko, rozgościł się tam, jak mógł najlepiej. Ludwik zapalił następnie świecę woskową, a Loaysa nie czekając dłużej wyjął swą gitarę i począł grać na niej cicho a rzewnie, czym biedny Murzyn tak całkowicie został pochłonięty, że wsłuchany w dźwięki tej muzyki przytomność niemal postradał.

Pograwszy krótką chwilę, Loaysa znowu sięgnął do swej torby i przyniesionymi zapasami jął raczyć swego ucznia, który chociaż zjadał obficie słodycze, tak chciwie pił wino z butelki,

że ten poczęstunek do reszty pozbawił go przytomności.

Po takiej libacji, Loaysa postanowił rozpocząć lekcję, ale Murzyn, któremu od wina czupryna się kurzyła ani jednego tonu nie umiał dobyć z gitary. Nie bacząc na to Loaysa wmówił w niego, że już dwie melodie przynajmniej umie doskonale, Murzyn zaś, co najdziwniejsza, dał mu wiarę i przez noc całą nieustannie grał na gitarze rozstrojonej i pozbawionej niezbędnych strun.

Przespali kilka godzin, które do świtu jeszcze pozostawały, a około szóstej rano zeszedł na dół z wyższego piętra Carrizales, otworzył drzwi wewnętrzne i te, które na ulicę wychodziły i jął wyczekiwać podstolego. Ten zjawił się po krótkim czasie, pozostawił w galerii przyniesione zapasy żywności i odszedł zawoławszy uprzednio na Murzyna, aby zabrał owies dla muła i swoją porcję dzienną. Gdy Ludwik to uczynił, stary Carrizales wyszedł z domu i zamknął za sobą jedne i drugie drzwi nie zauważywszy psoty, z czego mistrz i jego uczeń niemało okazali zadowolenia.

Ledwo pan domu wyszedł, Murzyn porwał gitarę i jął grać na niej w ten sposób, że usłyszały go wszystkie pokojówki i zbiegłszy się do galerii, poprzez zamknięte drzwi pytać go poczęły:

– Cóż to znowu Ludwiku? Od kiedy masz gitarę i kto ci ją dał?

– Kto mi dał gitarę? – odparł Murzyn. – Najlepszy muzykant na świecie: ten sam, który w przeciągu niespełna sześciu dni ma mnie nauczyć sześciu z górą tysięcy melodii.

– A gdzież jest ów muzykant? – zapytała ochmistrzyni.

– Niedaleko stąd – odrzekł Murzyn – i gdyby nie wstyd i obawa przed moim panem, pokazałbym wam go może bez zwłoki, a ręczę, że nie pożałowałybyście tego spotkania.

– Gdzie to może ukrywać się ten człowiek, że go zobaczyć nie możemy – rzekła ochmistrzyni – skoro prócz naszego pana żaden mężczyzna nie wszedł nigdy do tego domu?

– Dość tego na teraz – odparł Murzyn – nic wam więcej nie powiem, dopóki same nie przekonacie się, w jak krótkim czasie nauczy mnie swej sztuki.

– Pewno – rzekła znowu ochmistrzyni – jeśli nauczycielem twym nie jest sam diabeł, nie wiem kto mógłby z ciebie w ciągu sześciu dni uczynić muzykanta.

– Cóż tu wiele mówić – odrzekł Murzyn – same się wkrótce przekonacie i zobaczycie na własne oczy, że prawdę powiedziałem.

– To być nie może – odezwała się inna pokojówka – gdyż nie mamy okien wychodzących na ulicę, abyśmy mogły kogokolwiek widzieć lub słyszeć.

– Prawda to – rzekł Murzyn – ale na wszystko jest sposób i jednej tylko śmierci człowiek się nie ustrzeże. Musicie mi jeno obiecać, że będziecie umiały milczeć.

– Milczeć, Ludwiczku miły? – zawołała jedna z pokojówek – tak będziemy milczały, jak gdybyśmy były nieme i lepiej jeszcze: wierzaj mi, przyjacielu drogi, że głowę dałabym za to, aby piękny głos usłyszeć, gdyż od czasu, kiedy nas tutaj między czterema ścianami zamknięto, nawet śpiew ptaków nas nie dolata.

Loaysa z niezmiernym zadowoleniem słuchał tej rozmowy, zdawało mu się bowiem, że wróżyła mu ona dobry wynik jego usiłowań i że los łaskawy przyłożył ręki, aby poprowadzić myśli wszystkich obecnych śladem jego pragnień.

Pokojówki pożegnały się z Murzynem odebrawszy od niego uprzednio obietnicę, że zawoła je, aby mogły posłuchać pięknego śpiewu, kiedy najmniej będą się tego spodziewały. Następnie w obawie, aby jego pan znienacka nie wrócił i nie zastał go na rozmowie z nimi, Murzyn dał im odejść, zaś sam wrócił do swego zamknięcia i kryjówki.

Rad by wziął lekcję muzyki, ale we dnie nie ośmielił się grać na gitarze, gdyż obawiał się, aby go pan domu nie usłyszał. Carrizales wkrótce po tym powrócił – i zwyczajem swoim – drzwi szczelnie zamknąwszy, w domu pozostał.

Gdy dnia tego przyjmował zwykłą porcję żywności, oznajmił Ludwik Murzynce, która mu z galerii jedzenie podawała, że wieczorem, kiedy Carrizales uśnie, wszystkie pokojówki mogą

zejść z komnat swoich do galerii, a usłyszą ów śpiew, o którym im powiadał. Zanim wszakże Murzynce to powiedział, prosił mistrza swego gorąco, aby zechciał zagrać na gitarze i zaśpiewać kilka pieśni owego wieczora u wejścia do galerii; przekładał mu, że w ten sposób będzie mógł wywiązać się z obietnicy, którą dał pokojówkom, jakoby usłyszeć miały niezwykły głos i zapewniał, że sobie na wielkie od nich wszystkich zasłuży pochwały.

Mistrz dał się nieco prosić, ale w końcu zgodził się uczynić zadość błaganiom swego dobrego ucznia, dając mu do zrozumienia, że tylko gwoli jego zadowoleniu, nie dla żadnej innej korzyści, śpiewać będzie. Murzyn uściskał go i ucałował w oba policzki, dając tym poznać jak wielką mistrz obietnicą swą sprawił mu radość. Tego dnia przygotował Loaysie na znak wdzięczności taką ucztę, jaką ten w domu tylko mógłby znaleźć, a może i lepszą jeszcze, gdyż mogło się zdarzyć, że w domu zabrakłoby mu pożywienia.

Nadszedł wieczór i o północy lub nieco wcześniej szepty jakieś poczęły rozlegać się w galerii, a Ludwik zrozumiał natychmiast, że zebrało się zaproszone przezeń zgromadzenie. Zawołał tedy swego mistrza i razem zeszli do przedsionka, z gitarą, tym razem we wszystkie struny zaopatrzoną i lepiej nastrojoną.

Zapytał Ludwik, jakie słuchaczki znajdowały się w galerii i ile ich było. Odpowiedziano mu, że wszystkie mieszkanki domu były obecne oprócz ich pani, która spała u boku swego męża, czym Loaysa strapił się niemało. Mimo to jednak, postanowił spełnić obietnicę i zadowolić swego ucznia: ująwszy więc w ręce gitarę, palcami z lekka trącił o struny i takie z nich począł wydobywać dźwięki, że zdumiał się Murzyn, a ciżba niewiast, która go słuchała, w natężeniu skupiła uwagę.

Cóż tedy powiedzieć o uczuciach, które zawładnęły nimi, kiedy Loaysa począł śpiewać pieśń „Tak bardzo boleję" i zakończył swój popis diabelskimi dźwiękami sarabandy, świeżo wówczas do Hiszpanii przywiezionej? Nie było starej, która by do tańca się nie rwała, młode zaś tak się rozbawiły, że szaty na nich były w strzępach niemal; wszystko to czyniły z zadziwiającą ciszą, a kilka z nich ustawiło się na straży, aby dawać baczenie, czy się stary nie obudził.

Loaysa zaśpiewał również znane zwrotki z „Seguida", czym przyłożył niejako pieczęć do wrażenia, jakie wywarł był na swych słuchaczkach, a one uporczywie prosić jęły Murzyna, aby im powiedział, kto jest ów cudowny muzykant. Ludwik odparł, że to biedny żebrak, najwytworniejszy człowiek, jaki mógł się znaleźć wśród wszystkich ubogich, którzy w Sewilli mieszkali.

Poprosiły Murzyna, aby dał im możność zobaczenia owego żebraka i aby go w ciągu dwóch tygodni co najmniej nie wypuszczał z domu; obiecywały, że dobrze go będą ugaszczały i postarają się, aby mu niczego nie zbrakło. Zapytały również, w jaki sposób Murzyn wpuścił go był do domu.

Na to ostatnie pytanie Ludwik nic nie odpowiedział; na inne odrzekł, że aby go zobaczyć mogą uczynić otwór niewielki w ścianie galerii, który później zalepią woskiem, o to zaś, aby go w domu zatrzymać mogły, on sam się postara.

Przemówił do nich również Loaysa i zaofiarował im swe usługi w tak dobranych słowach, że bez trudu poznały, iż nie mogły podobne wyrazy wyjść z ust nędznego żebraka.

Jęły go prosić, aby następnej nocy przyszedł na to samo miejsce, dodając, że przywiodą ze sobą swoją panią. Nadmieniły jednak, że niełatwo im to przyjdzie, ponieważ jej małżonek miał sen nader lekki, co było wynikiem nie lat starych, ale niebywałej jego zazdrości.

Loaysa odrzekł im na to, że jeśli chętnym uchem słuchają jego śpiewu, a nie chcą staremu snu przerywać, da im pewien proszek, którego szczyptę wystarczy wsypać mu do wina, a napój taki wywrze skutek, że Carrizales, w głębokim śnie pogrążony, spoczywać będzie dłużej niż zazwyczaj.

– Chryste Panie! – zawołała jedna ze służebnic – jeśli to prawda, jakiegoż to dobroczyńcę zesłano nam przez te drzwi zamknięte, choć niczym nie zasłużyłyśmy sobie na podobną łaskę

i nie słyszałyśmy nawet, jak wchodził do domu! Zaiste, nie będzie to tylko proszek nasenny dla niego, ale proszek życiodajny dla nas i dla naszej biednej pani, Leonory, jego małżonki, gdyż nigdy ani w cieniu, ani na słońcu, nie pozostawia jej samej i na chwilę nie spuszcza jej z oczu. Ach, panie najmilszy! Przynieśże waszmość ów proszek i niechaj Bóg za ten dobry uczynek ześle ci wszystko, czego serce zapragnie. Wracaj do nas co prędzej i nie zapomnij aby o proszku, panie mój miły, a ja się podejmę sama do wina mu go wsypać i wino wlać do szklanki. Daj Boże, aby stary spał trzy dni i trzy noce, my bowiem tyleż miałybyśmy czasu do szczęścia i uciechy.

– Przyniosę więc waszmościankom ów proszek – rzekł Loaysa. – Jest to, zresztą, środek całkiem niewinny i żadnej szkody nie może wyrządzić; tyle jeno, że sen ciężki sprowadza.

Poprosiły go wszystkie, aby jak najrychlej przyniósł im ów proszek i postanowiwszy następnej nocy uczynić za pomocą świdra otwór w ścianie i przyprowadzić do galerii Leonorę, pożegnały naszego gędźbiarza. Murzyn, choć bliskie już były zorze poranne, chciał, aby lekcja się jeszcze odbyła, na co Loaysa chętnie przystał, dając mu do zrozumienia, że żaden z jego uczniów nie posiadał równie jak on pięknego głosu, choć biedak ani wówczas, ani późniejszymi czasy jednego czystego dźwięku nie umiał z siebie dobyć.

Przyjaciele Loaysy dbali o to, by nocą znajdować się przed domem i pode drzwiami nasłuchiwać, na wypadek, gdyby towarzyszowi swemu w czymkolwiek mogli być pomocni. Gdy uczynili z góry umówiony znak, poznał Loaysa, że znajdowali się na stanowisku i poprzez otwór pod zawiasą, w krótkich słowach zdał im sprawę z dobrego stanu rzeczy, prosząc usilnie, aby wyszukali dlań jakiś środek nasenny, którym by mógł uraczyć Carrizalesa i dodając, że słyszał o jakichś proszkach, które do tego celu się nadawały. Odparli, że mają pewnego przyjaciela lekarza, który da im niezawodnie najlepszy środek, o jakim będzie wiedział, jeśli tylko proszki takie istnieją. Następnie dodawszy mu otuchy, aby nie zaniedbywał rozpoczętego dzieła i obiecawszy, że powrócą następnej nocy, pośpiesznie pożegnali się i odeszli.

Nadeszła noc i nasze stado gołębic zbiegło się znowu, zwabione dźwiękami gitary. Wraz ze służebnicami przyszła i naiwna Leonora, cała drżąca i pełna lęku, aby jej mąż się nie obudził; bo choć początkowo, zdjęta obawą, pójść z nimi nie chciała, wszystkie pokojówki, nade wszystko zaś ochmistrzyni, takie dziwy opowiadały jej o słodkim śpiewaniu i o junackiej osobie ubogiego gędźbiarza (tak, nie znając go nawet z widzenia, wynosiły jego postać nad Absalona i Orfeusza), że biedna ich pani, całkiem przekonana, musiała zdobyć się na krok, którego uczynić nie miałaby zamiaru.

Pierwszym ich staraniem było prześwidrować ścianę, aby ujrzeć muzykanta. Ten zrzucił był już nędzne łachmany i miał teraz na sobie obszerne szarawary jedwabne marynarskiego kroju, takiż sam żupan złotem wyszywany, beret płaski podobnego koloru i kołnierz na sztywno wykrochmalony z szerokimi, wyłogami – we wszystko to zaopatrzył był swą torbę, przewidując, że w takim znaleźć się może położeniu, kiedy wypadnie mu strój zmienić. Był młody, słusznego wzrostu i dorodnego oblicza, a niewiastom, że od tak długiego czasu prócz swego starego pana nie widziały żadnego mężczyzny, zdało się, że patrzą na anioła.

Jedna po drugiej kolejno, zbliżały się do otworu; i, aby dokładniej mogły go obejrzeć, Murzyn stał w pobliżu i z góry na dół przesuwał mu, od twarzy aż do stóp, zapaloną świecę woskową. Kiedy wszystkie już, nie wyłączając nawet Murzynek, napatrzyły się nań do syta, Loaysa ujął w dłonie gitarę i począł śpiewać tak pięknie, że wprawił w zachwyt wszystkie swe słuchaczki, zarówno stare jak młode, a gdy skończył wszystkie chórem jęły prosić Ludwika, aby szepnął słówko swemu mistrzowi i panu i wprowadził go do nich na pokoje, gdyż pragnęły napatrzeć się nań do woli i usłyszeć go z bliska, nie zaś ukradkiem tylko jak teraz, przez otwór w ścianie. Dodały, że będąc tak oddalone od swego pana lękają się, aby ten, obudziwszy się znienacka, nie przyłapał ich na gorącym uczynku, co nie mogłoby się zdarzyć, gdyby ukryły Loaysę w wewnętrznych pokojach.

Oparła się stanowczo temu żądaniu Leonora mówiąc, że nie chce, aby śpiewak wszedł do mieszkania, gdyż nie mogłaby przystać na to ze spokojnym sumieniem, tym bardziej że z galerii mogły oglądać go i słyszeć bezpiecznie, w niczym honoru swego na szwank nie narażając.

– Cóż honor? – ozwała się na to ochmistrzyni. – Królom pozostawmy te troski. Zamknij się, jeśli chcesz, waćpani ze swym Matuzalem, ale pozwól nam bawić się jak możemy, tym bardziej że ten pan zda mi się być nader uczciwym człowiekiem i nie będzie wymagał od nas niczego ponad to, na co my zechcemy mu pozwolić.

– Ja, panie łaskawe – rzekł na to Loaysa – przyszedłem tu z tą myślą jedynie, aby służyć waszmościankom duszą całą i ciałem, tknięty litością dla was, które żyjecie w tym zamknięciu niesłychanym, tracąc bezpowrotnie najpiękniejsze chwile istnienia. Klnę się na głowę mego ojca, iż jestem człowiekiem łagodnym, układnym, posłusznym i że tylko to czynić będę, co waszmościanki mi rozkażą. Jeśli którakolwiek powie mi: „mistrzu, proszę usiąść tutaj; mistrzu, proszę tam stanąć, leżeć tutaj, przejść tędy" – wszystko uczynię, jak najposłuszniejszy i najlepiej wytresowany z piesków pokojowych, które skaczą dookoła króla francuskiego.

– Dobrze więc – rzekła niedomyślna Leonora – ale w jakiż to sposób będziemy mogły wpuścić tu mości śpiewaka?

– Nic łatwiejszego – odparł Loaysa – niechaj waszmościanki postarają się tylko odcisnąć w wosku klucz od drzwi wewnętrznych, a ja przyniosę nazajutrz inny, podobny, który celowi swemu najzupełniej będzie odpowiadał.

– Gdy klucz ten do rąk dostaniemy – odezwała się jedna z pokojówek – będziemy mogły otwierać wszystkie drzwi domu, gdyż jest to klucz główny.

– To nam w niczym nie może zawadzić – rzekł Loaysa.

– Prawda to – rzekła Leonora – ale przysiąc nam waszmość musi, że kiedy będzie tutaj z nami razem, śpiewać tylko będzie i grać,, i słuchać naszych rozkazów i nic ponadto; przy tym, gdziekolwiek go usadowimy, pozwoli się zamknąć i cicho będzie siedział.

– Przysięgam – odparł Loaysa.

– Nic niewarta taka przysięga – rzekła Leonora – musi waszmość przysiąc na głowę swego ojca i na znak krzyża i krzyż ucałować, tak, abyśmy wszystkie to widziały.

– Przysięgam tedy na głowę mego ojca – rzekł Loaysa – i na ten znak krzyża, który całuję moimi brudnymi ustami.

To mówiąc dwa palce na krzyż złożył i pocałował je trzy razy. Gdy to uczynił, inna pokojówka odezwała się:

– A niechże waszmość nie zapomni aby o proszku nasennym, gdyż jest to rzecz najważniejsza, jeśli chcemy, aby wszystko się udało.

Na tych słowach skończyła się rozmowa i wszyscy pozostali nader zadowoleni z jej ostatecznego wyniku.

Tymczasem los, który zdawał się coraz to bardziej sprzyjać sprawie Loaysy, w chwilę po odejściu niewiast (a było już po północy), przywiódł przed dom jego przyjaciół. Ci uczynili umówiony znak, a Loaysa, usłyszawszy głos trąbki, (gdyż ten był ich sygnał) przemówił do nich. Zdał im sprawę ze stanu, do którego doprowadził swe usiłowania i zapytał, czy przynieśli ze sobą proszek, o jaki ich prosił, albo inny środek, za pomocą którego mógłby uśpić Carrizalesa. Powiedział im również, że klucz główny od domu ma przyobiecany.

Oni odparli, że proszek czy maść odpowiednią przyniosą następnej nocy, a środek ten jest nader skuteczny, gdyż dość posmarować nim puls i skronie człowieka, aby sprowadzić nań sen głęboki, a tak długotrwały, że nie obudzi się przez dwa dni i dwie noce, jeśli nie obmyć mu octem posmarowanych części ciała. Co zaś do klucza, powiedzieli, że bez trudu każą go sporządzić, gdy będą mieli wycisk w wosku. To rzekłszy pożegnali się i odeszli.

Loaysa i jego uczeń przespali resztę nocy. Loaysa z niecierpliwością wyglądał nocy

następnej, ciekawy, czy jego słuchaczki spełnią obietnicę i dadzą mu odcisk klucza. A choć czekającemu wydaje się zazwyczaj, że czas płynie powoli i leniwie, w końcu jednak myśl samą prześcignąć jest zdolny i dobiega wreszcie upragnionego celu, gdyż nie zatrzymuje się nigdy i nie zna wytchnienia.

Nadeszła tedy noc i godzina, o której zwykły już były schodzić do galerii wszystkie służebnice, duże i małe, czarne i białe, stare i młode. Przyszły wszystkie, gdyż wszystkie żądne były ujrzeć pana muzykanta wewnątrz swego seraju; ale nie przyszła wraz z nimi Leonora, a kiedy Loaysa zapytał o nią, odpowiedziały, że ułożyła się do snu u boku swego męża, który zamykał na klucz drzwi sypialni i kładł następnie klucz pod poduszkę. Otóż ich pani powiedziała im była, że gdy stary uśnie, postara się wydobyć klucz główny z owego ukrycia i odcisnąć go w bryle wosku, którą miała przy sobie, umyślnie na ten cel przygotowaną, one zaś miały wkrótce udać się do przyległego pokoju i poprzez otwór w drzwiach z jej rąk odcisk odebrać.

Zdumiał się Loaysa słysząc, do jakich sposobów uciekał się oględny starzec, nie osłabiło to jednak bynajmniej jego pragnień i gdy tak z pokojówkami rozmawiał, usłyszał nagle głos trąbki. Pobiegł do drzwi od ulicy i zastał tam swych przyjaciół. Podali mu oni przez otwór w ziemi wykopany słoik obiecanej maści, o której własnościach już poprzedniej nocy mu powiadali.

Wziął Loaysa słoik i kazał im czekać chwilę, mówiąc, że da im wzór klucza. Wrócił od drzwi prowadzących na galerię i polecił ochmistrzyni, która bardziej niż inne zdawała się pragnąć jego wejścia na pokoje, aby zaniosła słoik swej pani, Leonorze, powiedziała jej o własnościach owej maści i kazała posmarować nią męża, ale tak ostrożnie, iżby nic nie poczuł, a cudowny skutek miał się okazać niezwłocznie.

Uczyniła ochmistrzyni, co Loaysa jej polecił i gdy do drzwi się zbliżyła, zastała czekającą już na nią Leonorę, która na ziemi rozciągnięta jak długa, przyłożywszy twarz do kociego dołku pod drzwiami, wypatrywała nadejścia którejś z pokojówek. Ochmistrzyni w ten sam sposób rozciągnęła się na ziemi i przyłożywszy usta do otworu powiedziała szeptem do ucha swej pani, że przynosi ze sobą obiecaną maść, po czym udzieliła niezbędnych wskazówek, jak sobie z nią należy poczynać, aby zamierzony wywarła skutek.

Leonora wziąwszy maść powiedziała ochmistrzyni, jako w żaden sposób klucza nie mogła dostać, gdyż mąż jej nie schował go był, jak zazwyczaj, pod poduszkę, ale między dwa materace, w ten sposób, że całym ciężarem ciała na nim spoczywał. Kazała jednak powiedzieć mistrzowi, że jeżeli maść skuteczną się okaże, z łatwością można będzie klucz dostawać za każdym razem, kiedy zajdzie tego potrzeba i w ten sposób zbyteczną już będzie rzeczą wyciskać go w wosku. Kazała jej iść zaraz, powtórzyć mu te słowa i szybko wracać, aby przekonać się, jak maść działać będzie, gdyż bez zwłoki zamierzała posmarować nią męża.

Ochmistrzyni zeszła do galerii i powtórzyła mistrzowi Loaysie, co jej pani powiedziała, on zaś polecił odejść swym towarzyszom, którzy przed domem na klucz czekali.

Drżąc, krok za krokiem i wstrzymując oddech, podeszła Leonora do łoża i ostrożnie posmarowała maścią tętna swego zazdrosnego małżonka; następnie w ten sam sposób posmarowała mu nozdrza, a gdy do nich palec zbliżała, zdało się jej, że śpiący drgnął i zamarła od trwogi wyobrażając sobie, że już ją przyłapano na gorącym uczynku. Wreszcie namaściła jak mogła najlepiej wszystkie miejsca, które jej wskazano i było to, jak gdyby balsamowała męża, nim go do grobu zaniosą.

Krótką chwilę tylko dały czekać na siebie cudowne skutki dobroczynnej maści nasennej, gdyż niezwłocznie stary począł chrapać tak donośnie, że z ulicy usłyszeć go mogli przechodnie, a była ta muzyka uszom młodej małżonki przyjemniejsza prawie niż śpiew mistrza, którego jej Murzyn do domu wprowadził.

Nie dowierzając jednak jeszcze temu, co jej oczy widziały, podeszła doń bliżej i trząść nim

poczęła, zrazu z lekka, potem silniej i jeszcze silniej, aby przekonać się, czy się nie obudzi. Tak się wreszcie ośmieliła, że całkowicie odwróciła go na łożu, co mu również snu nie przerwało. Gdy przekonała się, że mocno śpi, pochyliła się ku otworowi pode drzwiami i równie cicho jak poprzednio, zawołała na ochmistrzynię, która w sąsiednim pokoju już czekała:

– Powinszuj mi, siostro miła – rzekła – Carrizales śpi jak zabity.

– Czemu więc zwlekasz, pani, i klucza nie wydobywasz z ukrycia? – rzekła ochmistrzyni. – Wszak nasz muzykant czeka już przeszło godzinę.

– Poczekaj, najmilsza. Za chwilę klucz przyniosę – odparła Leonora.

Wróciła tedy do łóżka i wsunąwszy rękę między materace wyjęła klucz, który się tam znajdował, przy czym stary nie drgnął nawet. A gdy ujrzała się nareszcie z kluczem w ręku, poczęła skakać z radości; następnie, nie czekając już dłużej, otworzyła drzwi i pokazała swą zdobycz ochmistrzyni, która z wielką uciechą ją przyjęła. Kazała jej Leonora otworzyć drzwi śpiewakowi i do korytarza następnie go sprowadzić, sama bowiem nie śmiała odejść, w obawie, aby się Carrizales znienacka nie obudził. Przede wszystkim jednak poleciła jej, aby kazała Loaysie powtórzyć przysięgę, którą poprzedniej nocy złożył, że nic nie uczyni ponad to, co one mu rozkażą i w razie gdyby przysięgi nie chciał ponowić, aby mu pod żadnym pozorem drzwi nie otwierała.

– Będzie, jak chcesz, pani – rzekła ochmistrzyni – klnę się na Boga, że nie wejdzie tutaj, dopóki nie złoży dwukrotnej przysięgi i sześć razy nie ucałuje krzyża.

– Ilości mu nie wyznaczaj – przerwała Leonora – niech jeno krzyż ucałuje, a ile razy, to już jemu samemu pozostaw. Ale uważaj, aby przysiągł na głowę swych rodziców i na wszystko, co ma najdroższego na świecie, gdyż w ten sposób będziemy mogły przyjąć go tu bez trwogi i napawać się do woli jego muzyką i śpiewem; a klnę się na zbawienie swej duszy, że gra i śpiewa umiejętnie. Idź tedy i nie zwlekaj dłużej, bo nie trzeba, aby nam noc zeszła na tych rozmowach.

Poczciwa ochmistrzyni zakasała sukni i z niesłychanym wdziękiem zbiegła do galerii, gdzie czekały na nią wszystkie mieszkanki domu.

Gdy im pokazała przyniesiony klucz, taka je radość ogarnęła, że podniosły ją w górę na rękach niby profesora, wołając „Niech żyje! niech żyje!” Zadowolenie ich wzmogło się jeszcze, gdy im powiedziała, że nie trzeba było podrabiać klucza, skoro bowiem stary, maścią posmarowany, spał tak twardo, mogły rozporządzać domem za każdym razem, gdy im się to spodoba.

– Dalejże więc, moja miła – rzekła jedna z pokojówek – niech te drzwi się roztworzą i niech ten pan wejdzie do nas, gdyż dobrą chwilę już czeka; my zaś uraczmy się muzyką do woli i wszelkiej zbądźmy troski.

– Jedna jeszcze troska nam pozostała – odparła ochmistrzyni – gdyż podobnie jak wczorajszej nocy odebrać mamy od niego przysięgę.

– Wszakże on jest tak poczciwy – ozwała się jedna z pokojówek – że nie będzie zważał na przysięgi.

W tym miejscu ochmistrzyni otworzyła drzwi i pozostawiając je z lekka odemknięte, zawołała na Loaysę. Ten, poprzez otwór w ścianie słyszał całą rozmowę i zbliżywszy się do drzwi, chciał wejść od razu; ale ochmistrzyni kładąc mu rękę na ramieniu, tak doń przemówiła:

– Musisz waszmość wiedzieć, panie łaskawy, że wszystkie, które w tym domu mieszkamy, z wyjątkiem pani naszej, jesteśmy dziewicami, jak nas matki na świat wydały, a Boga i własne sumienie wzywam na świadków, że prawdę mówię. I ja sama, choć pomyśleć kto może, że cztery krzyżyki sobie liczę, gdy trzydziestu lat jeszcze nie skończyłam, bo mi dwa i pół miesiąca do nich brakuje, również jestem dziewicą – obym nie wyrzekła tego w złą godzinę... A jeśli starą być się zdaję, wiedz waszmość, że trudy, troski i rozczarowania do lat

człowieka dodają nieraz zero z prawej strony i dwa nawet, gdy im przyjdzie po temu ochota. Skoro jest, jak mówię byłoby to z naszej strony szaleństwem, gdybyśmy w zamian, za dwie, trzy, lub cztery pieśni, narażać się miały na utracenie takich zasobów dziewictwa, jakie tutaj się kryją; nawet Murzynka bowiem, której na imię Guiomar, jest dziewicą. Musisz waszmość przeto, panie mój serdeczny, zanim pozwolimy ci wejść do naszego królestwa, złożyć uroczystą przysięgę, że nic nie będziesz czynił ponad to, co ci rozkażemy, a jeśli żądanie nasze zda ci się być nazbyt wygórowane, pomyśl, że my się znacznie więcej narażamy. Zresztą, jeśli przychodzisz waszmość do nas w dobrych zamiarach, przysięga taka nie będzie ci ciężarem, gdyż dobrego płatnika o fanty głowa nie boli.

– Dobrze, doskonale powiedziała pani Marialonso – odezwała się jedna z pokojówek – przemówiła jak osoba rozsądna, która trzeźwo patrzy na rzeczy; jeśli ten pan nie chce złożyć przysięgi, niech do nas nie wchodzi.

Tu przerwała jej Murzynka Guiomar, która niezbyt biegle władała kastylskim narzeczem:

– Dla mnie zawsze więcej przysięga i wchodzi ze wszystkimi diabłami, bo sto razy przysięga, a kiedy jest tutaj, wszystko zapomni.

Loaysa z wielkim spokojem wysłuchał przemówienia pani Marialonso i poważnie a godnie takimi odpowiedział słowy:

– Zaiste, panie łaskawe, siostry i towarzyszki, zawsze było, jest i będzie moim zamiarem stać się dla was, wedle miary moich sił zwiastunem zadowolenia i uciechy. Tak tedy, nie będzie dla mnie rzeczą trudną złożyć przysięgę, której ode mnie żądacie; chciałbym jednak, aby dano wiarę moim słowom, każda bowiem obietnica, która wychodzi z ust takiego jak ja człowieka, winna być niejako wieczystym zobowiązaniem. Chcę bowiem, abyście waszmościanki wiedziały, że pod mnisią suknią gorące serce bije i nieraz płaszcz wytarty przedniego odziewa szermierza. Lecz abyście wszystkie przekonane były o moich dobrych zamiarach, zgadzam się złożyć przysięgę, jak na katolika i mężczyznę przystało. Przysięgam tedy na cnotę nieustraszoną i miejsca, które pod najświętszą i najtrwalszą postacią swoją zamieszkuje, na przejścia i wyloty świętej góry Libanu, na wszystkie cuda, które ku swej chwale zawiera w sobie prawdziwa a niezrównana historia o czynach Karola Wielkiego, przysięgam, że nie będę się uchylał od danej przysięgi ani od pełnienia rozkazów, które wydadzą usta najokrutniejsze i najniepokaźniejszej z pań tutaj obecnych, pod groźbą kary, że jeśli inaczej postępować będę albo uczynić co zechcę, od teraz aż do owego czasu, czyn taki wykreślony mi będzie i za niespełniony uznany...

Do tego miejsca doprowadził był Loaysa swą przysięgę, gdy jedna z pokojówek, która słuchała go z natężoną uwagą, wielkim głosem zawołała:

– Oto, zaiste, mowa, która by nawet kamienie wzruszyła. Niech skonam na miejscu, jeśli mam wymagać, abyś więcej jeszcze przysięgał, gdyż słowa, które powiedziałeś, wystarczyłyby, aby otwarły się przed tobą wrota samej Cabry pieczary.

To mówiąc, ujęła go za szarawary i wciągnęła do pokoju, po czym wszystkie obecne otoczyły go zwartym kołem. Jedna z pokojówek pośpieszyła niezwłocznie donieść o tym, co zaszło, swej pani, która czuwała nad snem męża. Leonora, gdy dowiedziała się od wysłanniczki owej, że śpiewak już na górę zmierza, uradowana jednocześnie i zmieszana zapytała, czy złożył przysięgę. Pokojówka odpowiedziała, iż przysiągł i to w tak dziwnych słowach, że równie dobranych nigdy w życiu nie słyszała.

– Tedy, skoro przysiągł – rzekła Leonora – trzymamy go w naszych rękach. Ach! Jakżem rozsądnie postąpiła, że kazałam mu złożyć tę przysięgę!

Gdy słów tych domawiała, zbite w ciżbę zjawiły się wszystkie mieszkanki domu z muzykantem naszym pośrodku, a Murzyn i Guiomar Murzynka oświetlali je pochodniami. Loaysa, gdy ujrzał Leonorę, rzucił się jej do nóg i chciał całować jej ręce i stopy. Ona, milcząc, ruchem ręki kazała mu się podnieść; dobrą chwilę stały wszystkie, jak gdyby oniemiałe, nie śmiąc słowa przemówić, w obawie, aby ich pan się nie obudził. Loaysa widząc,

że stoją tak w milczeniu, rzekł im, iż mogą mówić głośno, gdyż maść, którą posmarowany był Carrizales, taką własność posiada, że nie pozbawiając życia nadaje człowiekowi wszelkie pozory śmierci.

– I mnie tak się zdaje – rzekła Leonora – toć gdyby było inaczej, już by się obudził ze dwadzieścia razy: o tak lekki sen przyprawiają go zazwyczaj jego liczne niedomagania, a oto od chwili, kiedy go wysmarowałam, chrapie jak zwierzę.

– Skoro się tak rzeczy mają – rzekła ochmistrzyni – przejdźmy do sali frontowej, gdzie będziemy mogły i śpiewu mistrza posłuchać, i zabawić się trochę.

– Pójdźmy – rzekła Leonora – ale niechaj Guiomar pozostanie tu na straży, aby mogła nas uprzedzić na wypadek, gdyby Carrizales obudził się znienacka.

Na to odparła Guiomar:

– Ja, czarna, zostaję, białe idą, Bóg niech przebaczy wszystkim.

Pozostawiwszy więc Murzynkę na straży udały się wszystkie do sali wytwornymi sprzętami suto ozdobionej i usadowiwszy mistrza pośrodku wszystkie zasiadły dokoła. Wówczas poczciwa Marialonso ująwszy w rękę zapaloną świecę poczęła oglądać naszego muzykanta od góry do dołu, a inne za nią i coraz to któraś odzywała się:

– Ach, co za czupryna! Jaki włos piękny i trefiony!

Albo:

– A zęby jakie ma białe! Biada kości słoniowej, jeśli zechce z nimi iść w parze, bo nie może być bielsza ani piękniejsza.

Inna mówiła:

– A oczy, Chryste, jakie wielkie i błyszczące! Klnę się na Boga, toć ma oczy zielone; rzekłby kto – dwa szmaragdy!

Jedna chwaliła usta, inna nogi, a wszystkie razem obejrzały go szczegółowo niby okaz anatomiczny, o każdej cząstce jego osoby głośno wyrażając swe zdanie. Leonora tylko milczała, patrzyła nań uważnie i coraz to bardziej utwierdzała się w mniemaniu, że piękniejszy był od jej małżonka. Ochmistrzyni tymczasem, wziąwszy gitarę z rąk Murzyna podała ją Loaysie prosząc,, aby zagrał na niej i zaśpiewał zwrotki, które w Sewilli wówczas nader rozpowszechnione były, a zaczynały się od słów:

„Matko, moja matko,
Strzec mnie chcecie pono”.

Spełnił Loaysa jej życzenie. Powstały wszystkie i jęły tańczyć zapamiętale. Ochmistrzyni, która znała owe zwrotki, poczęła śpiewać, a więcej w tym śpiewie było zacięcia i swady niż głosu; słowa zaś były następujące:

„Matko, moja matko,
Strzec mnie chcecie pono:
Na nic straż, gdy sama
Nie chcę być strzeżoną”.

Powiadają w koło,
A prawda to przecie,
Że głód na tym świecie
Apetytu szkołą.
Burzom stawia czoło
Miłość, gdy stłumiona;
To niech cię przekona –
Chcesz mnie mieć więzioną:

„Na nic straż, gdy sama
Nie chcę być strzeżoną”.

Gdy się z własnej woli
Człowiek strzec nie będzie,
Próżno stawią wszędzie
Strażników niedoli;
Tak się wnet wyszkoli,
Że i śmierć oszuka,
A choć wielka sztuka
Zwieść matczyne łono,
„Na nic straż, gdy sama
Nie chcę być strzeżoną”.

Kto szczęście miał w dłoni
I kochał choć chwilę,
Jak nocne motyle
Za światłem pogoni.
Od złego mnie chroni
Szpiegów zastęp spory;
Wszędy widzę zmory –
Tak matce radzono:
„Na nic straż, gdy sama
Nie chcę być strzeżoną”.

Miłosne okowy
Taką słyną mocą,
Że ich nie zdruzgocą
Najżarliwsze zmowy:
Chaos czynią z głowy,
Z pożądań płomienie
I szerząc pragnienie,
Wdzierając się w łono:
„Cóż straże, gdy sama
Nie chcę być strzeżoną?”

Miały już zakończyć śpiewy i tańce hoże dziewczęta z poczciwą ochmistrzynią na czele, gdy nagle Guiomar, która pozostała była na straży, wpadła do pokoju zatrwożona tupiąc nogami i wymachując rękoma, jak gdyby w przystępie epilepsji się znajdowała i stłumionym, ochrypłym głosem rzekła:

– Obudził pan, pani, o pani, obudził pan, pan wstał i przychodzi.

Kto widział kiedy stado gołębic bez troski spożywających pośród pola ziarno przez obce ręce zasiane, jak spłoszone nagłym wystrzałem z rusznicy w popłochu ulata w górę i niepomne na opuszczony pokarm, pełne trwogi i zamętu w powietrzu się unosi – ten tylko pojąć może, jakie wrażenie wywarło na tę ciżbę rozochoconych tancerek zjawienie się Guiomary: osłupiały w pierwszej chwili z przerażenia, gdy usłyszały, jak nieoczekiwaną przynosi nowinę. Następnie każda oddzielnie jęła szukać swego usprawiedliwienia, a wszystkie razem – ratunku. Poukrywały się więc, to tu, to tam, po kątach i na strychu, a muzykant nasz pozostawszy rychło sam w pokoju zaniechał śpiewu i gitary i zakłopotany nie wiedział, co czynić mu wypada. Leonora załamywała piękne ręce; biła się po twarzy (choć

niezbyt silnie) pani Marialonso. Jednym słowem, wszyscy pełni byli popłochu, przerażenia i obawy.

Ochmistrzyni jednak, jako najprzebieglejsza i najbardziej ze wszystkich powściągliwa, postanowiła że Loaysa ukryje się w jej pokoju, ona zaś sama wraz z Leonorą pozostanie na sali; myślała bowiem, że znajdzie jakieś usprawiedliwienie przed panem domu, jeśli je tam razem zastanie. Ukrył się tedy Loaysa, a ochmistrzyni jęła nasłuchiwać, czy jej pan nie nadchodzi, nie słysząc jednak żadnego szmeru nabrała ponownie otuchy i odwagi i z wolna, krok za krokiem, skierowała się ku komnacie, gdzie spoczywał uśpiony Carrizales. Usłyszawszy, że chrapie po dawnemu, uniosła sukni i pobiegła z powrotem do sali; podzieliła się z Leonorą radosną nowiną, którą ona przyjęła ochoczo, winszując ochmistrzyni jej sprawności.

Nie chciała poczciwa ochmistrzyni stracić okazji, jaką los jej nastręczał i nie nasycić się przed innymi wdziękami, które według jej mniemania posiadać musiał Loaysa.

Pod pozorem tedy, że idzie go zawołać, poleciła Leonorze, aby poczekała na nią na sali i pozostawiwszy ją samą weszła do komnaty, w której Loaysa strwożony i głęboko zamyślony czekał, rychło-li nowa wieść jakaś go dojdzie o uśpionym starcu.

Przeklinał zdradliwość maści i skarżył się w duchu na okrucieństwo swych przyjaciół, wyrzucając sobie gorzko brak rozwagi, że nie wypróbował owego środka na innej osobie, zanim go kazał Carrizalesowi zastosować. Rozmyślania te przerwało mu wejście ochmistrzyni, która wnet jęła go zapewniać, że starzec nadal śpi jak zabity. Uspokoił się więc nasz junak i wysłuchał uważnie wynurzeń miłosnych, które Marialonso czynić przed nim poczęła, a rozważywszy w duchu jej słowa i swoje złe zamiary, postanowił uczynić z ochmistrzyni przynętę, aby łacniej złowić się dała jej pani.

Gdy tak obydwoje zajęci byli rozmową, inne pokojówki, które pochowały się były w różnych częściach domu poczęły wychodzić ze swych kryjówek, aby przekonać się, czy prawdą to było, że Carrizales się obudził; widząc, że dom cały był pogrążony w ciszy, rychło wszystkie ponownie zebrały się w sali, gdzie pozostawiły swą panią i dowiedziały się od niej, że stary śpi bez zmiany. Gdy zapytały o muzykanta i ochmistrzynię, wskazała im Leonora miejsce, gdzie się znajdowali i wszystkie, wśród ciszy niczym niezmąconej, poszły nasłuchiwać pod drzwiami, o czym oboje gawędzili. Nie zbrakło wśród nich i Murzynki Guiomary; Murzyn tylko był nieobecny, gdyż ledwo usłyszał, że pan jego się obudził, oplótł uściskiem gitarę i skrył się wraz z nią na strychu nad gankiem. Teraz zaś leżąc na swej nędznej pościeli, przykryty kołdrą, pocił się i drżał na całym ciele. Mimo wszystko jednak, palcami przebierał nieustannie struny gitary, tak wielkie było (niechaj go szatan ma w swej opiece) zamiłowanie jego do muzyki.

Dziewczęta usłyszały poprzez zamknięte drzwi, jakie wyznania miłosne czyniła stara ochmistrzyni i wnet posypały się z ich ust tysiączne urągania; nie omieszkała żadna nazywając ją starą, dodać odpowiedni epitet i przymiotnik, jako to: „czarownica brodata", „jędza zalotna" i inne jeszcze, które, dobrym obyczajom gwoli, pominiemy tu milczeniem. Najwięcej jednak uśmiałby się przygodny świadek z urągań Murzynki Guiomary, która, ile że z Portugalii była rodem i niezbyt biegła w hiszpańskim narzeczu, odgrażała się jej z niebywałym wdziękiem.

W samej rzeczy, ostateczny wynik rozmowy między Loaysą a ochmistrzynią był taki, że on zobowiązał się dogodzić jej pragnieniom pod warunkiem, że uprzednio wyda mu swą panią, aby mógł z nią nasycić swą żądzę. Ciężko było ochmistrzyni zgodzić się na warunki, które jej muzykant postawił; lecz, aby zadowolić ono pragnienie, które owładnęło jej duszą wdzierając się w ciało i kości aż do szpiku nie zawahałaby się obiecać mu, że spełni najniemożliwsze bezeceństwa. Opuściła go tedy i wyszła, aby rozmówić się ze swą panią; a gdy ujrzała, że u wejścia do pokoju zebrane były wszystkie pokojówki poleciła im, aby udały się do swych komnat, przekładając, że następnej nocy będą mogły nacieszyć się muzykantem

do woli, gdyż teraz popłoch miniony źle musiał wpłynąć na ich radość.

Zrozumiały wszystkie, że stara chce pozostać sama; nie mogły jednak odmówić jej posłuszeństwa, gdyż ona jedna wszystkim rozkazywała. Rozpierzchły się pokojówki, a ochmistrzyni wnet pobiegła do sali i jęła przekładać Leonorze, aby zgodziła się pofolgować pragnieniom Loaysy, w przemowie tak długiej i tak logicznie ułożonej, że zdawać się mogło, iż od długiego czasu już się jej była nauczyła.

W gorących słowach poczęła wychwalać jego urodę, odwagę, talent i liczne wdzięki, jakimi od natury był obdarzony, odmalowała jej w ponętnych barwach rozkosze, których zaznać by mogła w objęciach młodego kochanka i powiedziała, o ile słodsze będą jego pocałunki niż pieszczoty starego męża, obiecując jej, że najściślejszą zachowa tajemnicę i postara się o to, aby przy boku kochanka jak najdłużej zażywać mogła wczasów. Takich jej wreszcie naopowiadała rzeczy, które snadź sam szatan do ust jej włożył, o tak gorącym brzmieniu i tak niechybnym skutku, a tak pełne retorycznych zwrotów, że nie tylko miękkie serce naiwnej i niedomyślnej Leonory ugiąć były zdolne, ale nawet najtwardsze skruszyłyby marmury.

O, ochmistrzynie, które na świat przychodzicie i zużywacie, swe siły ku zatruciu tysiącznych pięknych zamierzeń! O, wielkie a schludne czepce, umyślnie dobrane, aby przejmować swą powagą sale i łożnice pań szlachetnego rodu – na jakież niegodne cele obracacie oto zrosłe niemal z wami zalety!

Jednym słowem, tyle ochmistrzyni chwaliła i tyle przekładała, że Leonora broń złożyła, że Leonora zwieść się dała, że Leonora poszła na zatracenie i padły w gruzy wszystkie zabiegliwości przezornego Carrizalesa, który spoczywał pogrążony we śnie śmierci własnego honoru.

Ujęła Marialonso swą panią za rękę i przemocą niemal, całą łzami zalaną, powiodła ją do komnaty, gdzie czekał ich Loaysa, po czym z fałszywym śmiechem jakieś demoniczne rzuciwszy im błogosławieństwo, zatrzasnęła drzwi za sobą pozostawiając ich samych zamkniętych w pokoju. Leonora, znienacka znalazłszy się na łożu, poczęła drzemać lub raczej oczekiwać biernie pieszczot narzuconego jej kochanka. Ale wkrótce zmogło ją zmęczenie po nocy bezsennie spędzonej i usnęła na dobre.

Moglibyśmy w owej chwili zapytać Carrizalesa (jeśli wolno byłoby nam zapomnieć, że w śnie głębokim był pogrążony), jaki odniosły skutek zaprowadzone przez niego środki ostrożności, jego obawy, jego wybiegi i obliczenia, wysokie mury jego domu, wzbronienie wstępu cieniowi nawet, który by męskie nosił imię, ciasna galeria kryta, grube ściany, okna nie przepuszczające światła, mocne zamki, wielki posag, jakim obdarzył Leonorę, podarki, które jej uczynił, dobrobyt, którym otaczał pokojówki i niewolnice, to wreszcie, że nie zapomniał o żadnej drobnostce, której by potrzebowały lub zapragnąć mogły? Powiedziano jednak, że próżnym trudem byłoby pytać go o to wszystko, gdyż spał mocniej, niżby tego okoliczności wymagały. A gdyby nawet pytanie usłyszał i zechciał odrzec na nie, nie mógłby dać lepszej odpowiedzi, jak wzruszyć ramionami, brwi zmarszczyć i powiedzieć: „Wszystko to, moim zdaniem, od podstaw padło w gruzy przez chytrość młodego zawadiaki i rozpustnika, przez złośliwość przewrotnej ochmistrzyni i łatwowierność niedoświadczonej małżonki, którą ze wszech stron nagabywano i podjudzano. Oby nas wszystkich Bóg strzegł od podobnych wrogów, gdyż nie ma przeciwko nim ani tarczy ochronnej, którą osłonić byśmy się mogli, ani miecza, który by drogę im zagrodził".

Mimo wszystko jednak Leonora tyle okazała siły ducha, że w najodpowiedniejszej po temu chwili zdołała opór stawić brutalnej sile swego chytrego uwodziciela, który nie zdołał przemóc jej cnoty: on tedy zmęczył się bez skutku żadnego, zwycięstwo przy niej zostało i w końcu legli oboje uśpieni.

W trakcie tego zarządziły niebiosa, że mimo działania maści; Carrizales obudził się i, jak to miał we zwyczaju, rękoma począł w łóżku szperać na wsze strony, a nie znajdując swej

ukochanej małżonki, zalękniony i zdumiony, skoczył na podłogę raźniej, niźliby się tego spodziewać było można po jego latach sędziwych. A kiedy nie znalazł swej małżonki w komnacie i ujrzał, że drzwi otwarte były i przekonał się, że klucz zniknął spod materaca, zdało mu się, że zmysły postrada. Opamiętawszy się jednak nieco, wyszedł na korytarz i postępując krok za krokiem, aby nie być słyszanym, doszedł do sali, gdzie spała ochmistrzyni, a widząc ją, że jest sama i że nie ma przy niej Leonory, skierował się ku jej komnacie i otworzywszy drzwi bez szelestu, ujrzał to, czego wolałby zapewne nigdy nie oglądać: ujrzał rzecz taką, że raczej byłby wolał oczu być pozbawiony, aby nie patrzeć – ujrzał Leonorę spoczywającą w objęciach Loaysy, a obojga śpiących snem tak głębokim, że zdawać się mogło, iż zamiast zazdrosnego starca, oni teraz działaniu maści podlegali.

Na ten widok Carrizales stanął jak wryty; krew zastygła mu w żyłach, głos zamarł w krtani, bezwładnie opadły mu ręce; rzekłbyś, że w posąg z zimnego marmuru się zamienił. A chociaż gniew spełnił swe zwykłe dzieło powołując do życia zamierające już zmysły, ból tak był potężny, że w nieszczęsnym starcu dech zapierał. I mimo wszystko, byłby wywarł na winowajcach zemstę, jakiej wymagała tak wielka obelga, gdyby broń jakąś miał pod ręką.

Postanowił tedy pójść po puginał do swej komnaty i powrócić tutaj, aby zmyć plamę hańbiącą ze swego honoru krwią nie tylko tych dwóch wrogów swoich, ale wszystkich nawet domowników. Taką szlachetną a nieodzowną wymyśliwszy zemstę, na palcach i w milczeniu skierował się z powrotem do swego pokoju, lecz tu mu się serce ścisnęło od bólu i niepokoju, że na nic innego nie mogąc się zdobyć, padł zemdlony na łoże.

Zaświtał tymczasem dzień i zastał cudzołóżców naszych oplecionych siecią własnych ramion. Zbudziła się Marialonso i w pierwszej chwili chciała biec upomnieć się o rozkosze, które, według jej mniemania, przypadały jej w udziale; widząc jednak, że już późno, postanowiła do następnej nocy odłożyć rzecz całą.

Zatrwożyła się Leonora, gdy ujrzała, że dzień już nastał biały i jęła narzekać na swoją opieszałość i niedbalstwo czartu zaprzedanej ochmistrzyni i obydwie, pełne niepokoju, pośpieszyły do komnaty, gdzie pana domu zostawiły, prosząc półgębkiem Nieba, aby zastały go jeszcze chrapiącego. Leonora pierwsza podeszła do swego męża i ująwszy go za ramię przewróciła z jednego boku na drugi, pragnąc przekonać się, czy się obudzi bez użycia octu, którym umyć go miała według danej instrukcji, kiedy zajdzie potrzeba zmysły mu przywrócić. Lecz Carrizales nagle ocknął się ze swego omdlenia i głęboko westchnąwszy, zamierającym a pełnym jęku głosem, rzekł:

– Jakże nieszczęsny jestem i jakże straszne rzeczy los każe mi oglądać!

Nie zrozumiała dobrze Leonora słów swego małżonka, ale widząc że odzyskał przytomność i przemówił zadziwiona, iż działanie maści nie trwało tak długo, jak jej to zapowiedziano, podeszła doń bliżej, twarz swoją do jego twarzy przytuliła i ściskając go czule zapytała:

– Cóż ci to, panie mój, iż zda mi się słyszeć skargę w twych słowach?

Poznał nieszczęsny starzec głos tej, która była jego bólu sprawczynią i szeroko rozwarłszy oczy, jak gdyby osłupiały i oczarowany, utkwił je w niej uporczywie; tak przez długą chwilę spoglądał na nią bez drgnienia, po czym odezwał się wreszcie:

– Uczyń mi łaskę, pani – i zaraz, nie zwlekając ani chwili, każ wezwać tutaj w moim imieniu swych rodziców, gdyż czuję w sercu coś nieokreślonego, coś, co męczy mnie niesłychanie i lękam się, że oto na jednym włosku wisi moje życie, a chciałbym zobaczyć się z nimi przed śmiercią.

Zapewne pomyślała Leonora, że prawdą było, co jej mąż powiedział, wyobrażając sobie, że raczej zbyt silne działanie maści, a nie to, co ujrzał, w taki stan go wprawiło. Odpowiedziała mu przeto, że spełni, co jej polecił i wydała rozkaz Murzynowi, aby bez zwłoki udał się do jej rodziców i do domu ich sprowadził. To uczyniwszy jęła męża swego ściskać i całować, czynić mu pieszczoty, jakich nigdy mu nie czyniła i dopytywać się, co mu

dolega w słowach tak pełnych czułości i umiłowania, jak gdyby kochała go bardziej nad wszystko na świecie. On spoglądał na nią w osłupieniu i każde jej słowo, i każda pieszczota były dlań jak ugodzenie włóczni, tak wpijało się w jego duszę.

Już ochmistrzyni powiedziała była domownikom i Loaysie o chorobie swego pana, wyrażając przypuszczenie, że zaniemógł poważnie, zapomniał bowiem rozkazać, aby drzwi zamknięto, gdy wysłał Murzyna po rodziców Leonory. Samo już to wezwanie niemało wszystkich zadziwiło, gdyż ani ojciec, ani matka Leonory od dnia jej ślubu nigdy do domu nie przychodzili.

Wszyscy chodzili po pokojach w milczeniu i zamyśleni, a nikt nie mógł wpaść na prawdziwą przyczynę cierpienia pana domu, który od czasu do czasu wzdychał tak głęboko i boleśnie, że zdawało się, iż każde westchnienie duszę wydziera mu z piersi. Leonora płakała, widząc go w takim stanie, a on śmiał się śmiechem człowieka, który zmysły postradał, ważąc w myśli jak kłamliwe były jej łzy.

W trakcie tego nadeszli rodzice Leonory, a zastawszy drzwi od ulicy i dziedzińca otwarte i dom cały pogrążony w milczeniu, jak gdyby opustoszały, zdziwili się i zaniepokoili. Udali się do komnaty swego zięcia i zastali go, jak wyżej powiedziano, z oczyma niezmiennie utkwionymi w oblicze swej żony, którą trzymał za ręce, a oboje wylewali łzy obfite; ona, myśląc o tym, że wkrótce na zawsze zamkną się jego oczy; on – że widział jak kłamliwe były łzy, które ona przelewała. Ledwo Carrizales ujrzał wchodzących swych teściów, przemówił w te słowa:

– Usiądźcie tu waszmość państwo i niechaj wszyscy inni opuszczą komnatę, a jedna tylko pani Marialonso niech tutaj pozostanie.

Uczynili wszyscy, jak Carrizales zażądał, a on, gdy sami pięcioro pozostali w pokoju, nie czekając, ażby kto inny głos zabrał, począł mówić w ten sposób:

– Przekonany jestem najmocniej, ojcze mój i matko, że nie będę potrzebował świadków stawiać przed wami, abyście uwierzyli w prawdę tego, co zamierzam wam powiedzieć. Pamiętacie niewątpliwie (gdyż wspomnienie to nie mogło się zatrzeć w waszej pamięci) z jaką miłością, z jakim serdecznym wzruszeniem, rok temu, miesiąc, pięć dni i dziesięć godzin, przyjąłem do mego domu waszą córkę ukochaną, którą daliście mi wówczas za żonę.

Wiecie również, jak hojnie ją uposażyłem, skoro wiano, którym ją obdarowałem, wystarczyłoby trzem takim jak ona, iżby z najbogatszymi, szukając męża, mogły iść w parze; nie zapomnieliście też, ile starania w to włożyłem, aby jej szaty sprawić co wspanialsze, klejnoty i wszystko, czego zapragnąć mogła, wszystko, o czym wiedziałem, że było dla niej przystojne. Widzieliście wreszcie, waszmość państwo, jako przyrodzonym wiedziony instynktem, pełen lęku, pod wpływem zarówno tej strasznej choroby, która mię teraz zapewne o śmierć przyprawi, jak i licznych doświadczeń, które w ciągu mego długiego życia, w przeróżnych a dziwnych przygodach wędrując po świecie zebrałem – chciałem strzec jak oka w głowie tego klejnotu, który wśród innych wybrałem, a który wy powierzyliście mojej pieczy; nadbudować tedy kazałem mury tego domu, pozasłaniać okna wychodzące na ulicę, wzmocniłem zamki, uczyniłem galerię krytą niby w klasztorze zakonnic, zabroniłem dostępu wszelkiemu żywemu stworzeniu, które by męskie nosiło imię.

Dałem waszej córce pokojówki i niewolnice, aby jej służyły i ani jej, ani jej służebnicom nie odmówiłem niczego, o cokolwiek mnie prosiły. Uczyniłem ją równą sobie, dzieliłem się z nią najskrytszymi moimi myślami, oddałem jej na własność całe moje mienie. Wszystko to uczyniłem po to jedynie, abym mógł żyć bez troski, używając w spokoju rozkoszy, które tak drogo mnie kosztowały; mniemałem, że Leonora starać się będzie o to, aby cień zazdrości nie zmącił pogody moich myśli. Lecz żadne ludzkie starania nie zdołają odwrócić od nas kar, jakie niebiosa zsyłają na tych, którzy nie powierzyli całkowicie Opatrzności troski o swe pragnienia i nadzieje; nie dziw przeto, że i ja zostałem w nadziejach moich zawiedziony i sam zgotowałem sobie truciznę, która oto niebawem położy kres mojemu życiu. Ale widzę, z jaką

uwagą wsłuchujecie się w słowa ust moich; chcę więc zakończyć tę długą przemowę i w dwóch zdaniach powiedzieć wam to, czego nie można by w tysiącu słów opisać. Mówię tedy, mości państwo, iż wszystko, co rzekłem i uczyniłem zmierzało ku temu, że dziś zastałem tę niewiastę (tu wskazał na swą żonę), zrodzoną snadź na moją zgubę i zatracenie, w objęciach pewnego dziarskiego młodzieńca, który teraz zamknięty jest w komnacie tej oto zapowietrzonej ochmistrzyni.

Gdy Carrizales tych słów domawiał, zamroczyło się serce Leonory i na kolana swego męża osunęła się zemdlona. Zbladła Marialonso, a rodziców Leonory tak coś za gardło ścisnęło, że słowa nie mogli wymówić.

Carrizales jednak, ciągnąc dalej swą przemowę, rzekł:

– Zemsta, jaką na winowajców gotuję, w niczym nie będzie podobna do tych, którymi zazwyczaj takie obelgi bywają karane; chcę bowiem, aby była wyrazem tej samej przesady, której dowód dałem we wszystkim, co przedsiębrałem, a mścić się zamierzam na sobie samym, jako głównym sprawcy tego przewinienia. Bo powinienem był przewidzieć, że młodość piętnastoletniego dziewczęcia nie zniesie brzemienia moich lat osiemdziesięciu i byłem jako jedwabnik, który sam sobie buduje dom, gdzie umrzeć mu przeznaczono. A ciebie nie winię, o dziecię nieopatrzne! (Tu nachyliwszy się złożył pocałunek na twarzy Leonory). Ciebie nie winię, powiadam, gdyż namowy starej sekutnicy i nalegania zakochanego młodzieńca bez trudu odniosły zwycięstwo nad tym rozumem jeszcze niedowarzonym, który cechuje lata młode.

I oto, aby wszyscy przekonać się mogli, z jaką męską stanowczością i z jaką wiarą niezachwianą cię kochałem, w tych ostatnich chwilach mego życia chcę dać dowód owej miłości, aby czyn mój pozostał na wsze czasy jako przykład, jeśli nie dobroci, to niesłychanej, nigdzie nie widzianej prostoty ducha. Oto tedy moja wola: niechaj niezwłocznie przywiodą mi tutaj notariusza, aby na nowo sporządził mój testament: podwoję w nim wiano, które Leonorze przeznaczyłem i prosić ją będę, aby po mojej śmierci, która rychło nastąpi, w niczym nie hamowała swej woli i zaślubiła, gdyż takie niewątpliwie będzie jej życzenie, owego młodzieńca, którego siwe włosy nieszczęsnego starca nigdy hańbą nie napiętnowały. W ten sposób przekona się ona, że jeśli za życia nigdy na krok nie odstępowałem od tego, co według mego mniemania, mogło dogodzić jej upodobaniom, i dziś w oczekiwaniu rychłej śmierci, nie zmieniam mego postępowania, gdyż chcę, aby szukała szczęścia w pożyciu z człowiekiem, którego tak bardzo musi miłować. Resztę mego mienia zapiszę na różne cele pobożne, wam zaś, mości państwo,, pozostawię dość zasobów, abyście mogli bez troski o jutro dni waszych dokonać. Notariusza niechaj przywiodą bez zwłoki, gdyż ból tak chwyta mnie za serce, że czuję, iż życie moje ulata z każdym tchnieniem.

Gdy tych słów domówił, zmogło go okropne omdlenie i osunął się na ziemię tak blisko Leonory, że zetknęły się ich twarze; niezwykły to był i posępny widok dla rodziców, którzy na córkę umiłowaną i na zięcia swego patrzyli.

Nie chciała zła ochmistrzyni czekać, aż rodzice Leonory strofować ją zaczną, wysunęła się więc cichaczem z pokoju i poszła powiedzieć Loaysie o wszystkim, co zaszło. Poradziła mu, aby nie zwlekając ani chwili dom opuścił, obiecując, że nie omieszka zawiadomić go przez Murzyna jak się rzeczy ułożą, gdyż zniknęły teraz drzwi podwójne i klucze, które by mogły stawać temu na przeszkodzie. Niemało zdumiały Loaysę przyniesione mu przez ochmistrzynię nowiny i idąc za jej radą, przywdziawszy znowu szaty żebracze, poszedł zdać sprawę swym przyjaciołom z dziwnego a niesłychanego wyniku swych zalotów.

Podczas gdy małżonkowie nasi oboje leżeli bez zmysłów, ojciec Leonory kazał wezwać pewnego notariusza, którego znał jako swego przyjaciela; ten, gdy przybył, oboje, córka i zięć, odzyskali już byli przytomność. Carrizales sporządził testament według wyłuszczonego przez się planu, a nic nie wspomniał o przewinieniu Leonory; napisać tylko kazał, że dla uzasadnionych powodów, prosi ją i nalega, aby w razie jego śmierci oddała swą rękę owemu

młodzieńcowi, o którym jakoby mówił jej w tajemnicy.

Leonora gdy to usłyszała, rzuciła się mężowi swemu do nóg (a serce w piersi jej biło straszliwie) i zawołała:

– Żyj długie lata, panie mój, najdroższy ty mój! A choć nie zasłużyłam sobie na to, abyś najmniejszą nawet moim słowom dał wiarę, wiedz, że jeśli wyrządziłam ci obelgę to myślą tylko, a nie czynem.

Tu chciała usprawiedliwić się i wszystko, jak było w istocie, szczegółowo opowiedzieć, lecz nie mogła głosu wydobyć i znowu padła zemdlona. Leżącą tak bez czucia ucałował niepocieszony starzec, ucałowali ją rodzice, i wszyscy tak rzewnymi zalali się łzami, że nie mógł powstrzymać się od płaczu nawet notariusz, który pisał testament. Testamentem owym Carrizales pozostawiał zapewniony wszystkim domownikom wikt dożywotni, obdarzał wolnością niewolnice i Murzyna, a przewrotnej ochmistrzyni polecał tylko wypłacić zaległe jej wynagrodzenie. Wreszcie, że pominiemy milczeniem pomniejsze wypadki, żałość tak go zmogła, że siódmego dnia zaniesiono go do mogiły.

Pozostała Leonora wdową, łez pełną i bogactw. A gdy Loaysa czekał, aby spełniła, co jej mąż w testamencie polecił uczynić, dowiedział się, że w tydzień po jego śmierci wstąpiła jako mniszka do jednego z najbardziej ustronnych klasztorów miasta; wówczas, wzgardzony i zawstydzony niemal, do Indii wyjechał. Rodzice Leonory pozostali pogrążeni w smutku, choć rychło pocieszyli się na widok bogactw, które im zięć w testamencie zapisał. Pokojówki pocieszały się tym samym, niewolnice i Murzyn – uzyskaną wolnością. I tylko zła ochmistrzyni pozostała w nędzy, zawiedziona we wszystkich swych niecnych nadziejach.

Mnie zaś pozostała chęć dobrnąć co rychlej do końca tego wydarzenia – przykładu i zwierciadła, w którym każdy dojrzy snadnie, jak mało ufać należy kluczom, galeriom krytym i ścianom wzmocnionym, gdy wola ludzka pozostaje wolna; i każdy przekona się, że jeszcze mniej zaufania należy pokładać w latach młodych i umysłach niedowarzonych, gdy powodują się one podszeptami owych ochmistrzyń o czarnej, obcisłej sukni zakonnej i skrzydlatych czepcach białych.

Nie wiem tylko, dla jakiej przyczyny Leonora z większym żarem nie broniła swej sprawy i nie dała do zrozumienia zazdrosnemu mężowi, jak czystą i bez plamy wyszła z owej przygody. Ale przestrach zapewne język jej obezwładnił, a mąż tak się ze śmiercią pośpieszył, że nie zdążyła nic powiedzieć na swe usprawiedliwienie.

Korekta: Barbara Bukowska